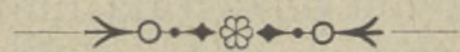
Ostatni okres w twórczości B. Zaleskiego.[1)]

(1841—1886).



Na kilka lat przed swojém ożenieniem się wyśpiewał Zaleski przyczynę swego smutku i żalu; poeta zachodził coraz to daléj w lata, a samotność nękała go wielce, nie było nikogo, ktoby mu mógł chmurę spędzić z czoła i w serce wlać zdrój sił nowych. Toż płakał, zwracając się w utworze, p. t. „Synowski żal", do swojéj matki-Ukrany: „Żebyś ty dobrą była—o! jedyna"—tobyś spytała mnie czasem, dlaczegom smutny, czemu pieśń więcéj nie leci z méj piersi ku tobie? A gdyby dobrą była,—toby posłała mu czarnobrewą za żonę, czarów ją wprzódy wyuczyła mnogo, by ona stroiła „ku pieśniom całunkami uszko".

„To-to-to matko! Tego by mi trzeba!
Uciekła wiosna—i lato ucieka:
Moja jedyna—o! nie gwiazdki z nieba,
O! nie ptasiego napieram się mleka.
Wtedy dopiero, o! święć się mi praco!
Na klęczkach matko będziesz uwielbiona;
Za słówko żalu—za grzeszne ladaco,
Sto dum rok rocznie tchnę ku tobie z łona!"

---

1) Ustęp z obszerniejszej pracy o Zaleskim.

I wnet po paru latach—dopełnił nasz poeta swojego życzenia, wnet żonę w dom samotny wprowadził, czy jednakowoż dopełnił i owéj obietnicy, tak wyraźnie w ostatnim wierszu pieśni wypowiedzianéj, czy istotnie z tą chwilą—dum roje zaczęły na świat boży ulatać z jego piersi—i twórczość się wzmogła niepomiernie szybko?

Niestety—nie dopełnił nasz poeta obietnicy, co więcéj—gęśl jego zaczyna od téj pory coraz to ciszéj dźwięczeć, coraz to rzadziéj zdarzy mu się piosnkę na niéj wygrać, w długim tym dwudziestoletnim z górą okresie ani trzeciéj części nie zdołał stworzyć Zaleski tego, co w poprzedniém czteroleciu, a gdybyśmy wzięli pod uwagę, jakie były te utwory, czy może lepsze i więcéj artystycznie wykończone, czy może większe rozmiarami swojemi, a wskutek tego nie mogło być ich wiele,—to niestety—odpowiedź nasza musi wypaść przecząco, pod względem artyzmu bowiem, jaki poeta w nie włożył—stoją na niższym od poprzednich stopniu, brak nowych myśli i poglądów, brak całkowity nowéj formy, któraby czarowała nasze umysły i serca,—wszystkie zaś te utwory nie były na szersze zakrojone ramy, owszem wszystkie były drobne,—z wyjątkiem chyba „Wigilii godów tysiącolecia", ta jednak nie została dokończona, z części drugiéj ani śladu niema,część trzecia pozostała niekompletna.

W czém więc trzeba szukać przyczyny tego zastoju w twórczości, tego coraz rzadszego odzywania się gęśli Zaleskiego, co mogło tak nieszczęśliwie oddziałać na zanik twórczości—kiedy on sobie obiecywał, iż przy boku kochanéj żony rozwinie szerzéj skrzydła do lotu, sto dum co rok stworzy? Tymczasem, kto wie,—czy z trudem doliczylibyśmy do stu—nie przez rok, ale przez długich lat dwadzieścia poetyckiéj działalności. Gdzie więc leżą powody tego smutnego objawu, który tak niespodziewanie nastąpił?

Wszak sił dosyć w nim było, skąd więc owo stopniowe coraz to przeraźliwsze milczenie, czy może zobojętniał dla poezyi—mając jakiś realny cel na oku, czy może wreszcie jaka troska go zgnębiła do tego stopnia, iż nie mógł ze strun teorbanu dobyć więcéj dźwięku? Nie!... Dla poezyi zobojętnieć nie mógł, chociażby był miał nawet przed sobą jakiś cel pracy wytknięty, a może go jaka troska zgnębiła i rozgoryczeniem napełniła duszę, może namiętny przeciwnik rzucił mu w twarz taką obelgę, która na długi czas zamąciła spokój wewnętrzny. Nie, i tak być nigdy nie mogło, bo miał Zaleski silną tarczę i puklerz wytrwały, co go bronił od rozpaczy, miał silną wiarę w sercu, a ta go podtrzymać była zdolna nawet w najcięższéj niedoli, i gdyby najstraszniejszą, najniegodziwszą potwarz był mu kto w oczy cisnął,—poeta miał siły na tyle, że byłby

najdotkliwszy cios zdołał znieść z pokorą, to nie mogło potargać strun lutni jego, owszem one byłyby się głośno odezwały—modlitwą i hymnem do Boga o łaskę poświęcającą i o przebaczenie zaślepionym, jak kapłan byłby się modlił za nieprzyjaciół swoich nasz poeta, jak to dawniéj czynił, słowami pokory i miłości:—„Panie! odpuść im, bo nie wiedzą co czynią!“ Gdzież więc szukać przyczyny tego obniżenia się lotu poetyckiego?

Jeden tylko widzimy tutaj czynnik, który musiał stać się powodem powolnego zastoju w działalności poetyckiéj Bohdana. Zbyt wiele stworzył już był nasz poeta, zbyt wiele wylał uczuć, ażeby mógł teraz nowéj barwy użyć do podmalowania utworu, ażeby mógł świeżemi elementami napełnić poezyę swoją, za dużo już wyczerpał Zaleski sposobów i form, a tych któreby były zdolne wzbudzić w czytelniku sympatyę, któreby były wywarły należyte wrażenie,—nie miał, już do dna wyczerpana była ta krynica, z jakiéj brał ciągle poeta barwę do swojéj poezyi, słowem, brakło teraz materyału nowego,—wszystkich już użył poeta sposobów, wszystkich pomysłów, a nowych już nie miał skąd zaczerpnąć. Już i zwrotka piosenki ludowéj spowszedniała na stepowym teorbanie—tylekroć powtarzana, i historyczna duma nie nastręczała świeżego materyału, a legendy w dzieciństwie słyszane—wszystkie weszły w skład jego poezyi—i religijne uczucie zbyt wiele stworzyło—i już tak bladło i stawało się z dniem każdym coraz to więcéj jednostajném, w Zaleskim zużył się był niemal całkowicie materyał na poetę. Nie dziw wobec tego, iż głos jego gęśli milknie—iż coraz ciczéj się odzywa, a jeśli się odezwie, to na dźwięk nam dawniéj znany, na ograny już ton wielokrotnie,—brak nowych czynników, musiał taką a nie inną sprowadzić konsekwencyę.

Musi też stąd w dalszym ciągu być pewny związek, pewna łączność z poprzednim okresem, nawet stale i ściśle określona, to aż nadto jasne i zrozumiałe. Szczególniéj, jeśli się rozpatrzymy w twórczości Zaleskiego w tych latach—każdego uderzyć muszą dwie cechy wybitne—jedną—to uczucie religijne, które i teraz dźwięczy nie mniéj silnym tonem, to uczucie głęboko zakorzenione—i teraz wylało się na papier z taką samą mocą, jak pierwéj—i stworzyło cały szereg utworów—o nie mniéj głębokim nastroju, jaki widzieliśmy w poprzednim okresie twórczości. Drugim takim charakterystycznym szczegółem—zanik dwu kierunków, jakie dawniéj silnie się objawiały na gęśli stepowéj Zaleskiego, a mianowicie—kierunku ludowego, że tak powiemy, kierunku, który dotąd od lat pierwszych twórczości przez bardzo długi czas brzmiał bez przerwy na strunach

i wydał bardzo wiele utworów, jakotéż kierunku dość blizkiego temu.—teraz i duma historyczna, co takim blaskiem zalśniła w ostatnich latach, głuchnie odrazu i nie odzywa się więcéj; „hetmańska duma“ nie miała już więcéj zagrać bojanowym tonem—zamilkła—na czarnym kurhanie, jak to sam poeta wieszczém ogarniony przeczuciem powiedział w ostatnim, końcowym wierszu „Potrzeby Zbarazkiéj“. Nie odzywają się tedy daléj te dwie struny stepowego teorbanu, a za to występuje uczucie religijne, teraz coraz to się potęgujące pod działaniem wielu czynników, które musiały taki wzrost jego spowodować koniecznie, a wyda ono i cykl dłuższy, p. n. „Wniebogłosy“ i wyda w kilkanaście lat późniéj „Wigilię godów tysiącolecia“.

O poszczególnych zresztą właściwościach i zboczeniach od tego ogólnego nastroju—dość jeszcze obszernie niebawem mówić będziemy.

Niepodobna dziś złożyć ścisłéj chronologii utworów Zaleskiego, napisanych w tém dwudziestoleciu, nie można co do utworów zwłaszcza drobniejszych marzyć nawet o podaniu mniéj więcéj kolei, w jakiéj po sobie następowały,—toż nie sądzimy, by nam to poczytano za błąd, by nas zarzut spotkał, iż traktując ten okres wzięliśmy na samo czoło cykl utworów, p. t. „Wniebogłosy“, utwory bowiem w nim pomieszczone sięgają jeszcze wcześniéjszych lat... Nie uważaliśmy za stosowne wydzielać tych utworów, których daty nam są znane, z ogólnego zbioru, tak samo postąpiliśmy i z drobnemi wierszami—omawiając je razem, dopóki bowiem chronologii ścisłéj nie będzie można ułożyć, inny sposób traktowania rzeczy byłby naszém zdaniem błędny.

Jak to już wyżéj zaznaczyliśmy—uczucie religijne poety nie przygasało—i teraz wzmaga się ono, zwłaszcza gdy jaka niepomyślna wiadomość z kraju dojdzie Zaleskiego, wtedy on u stóp krzyża szuka pocieszenia. Zbyt silnie targnęła za serce każdego wiadomość o rzezi galicyjskiéj 1846 roku, zbyt bolesną była,—wszak ugodziła piorunową strzałą duszę Krasińskiego, napełniając ją niewysłowioną skargą i goryczą, głęboko téż odczuł i nasz poeta tę straszliwą klęskę, kiedy „syn zabił ojca, brat zabił brata“ kainową ręką, gdy „chytry tygrys podmówił lwięta, by wytoczyły ojcowską krew“... Długi jęk bólu wydarł się na tę złowrogą wieść z piersi twórcy „Psalmów przyszłości“, nie mniejszy cios zadał fakt rzezi uczuciu młodego pieśniarza, co jak ongi Jeremi stanął na gruzach świątnic swego Jeruzalem—niosąc ku niebu „Pieśń zemsty“—i modlitwę błagalną za morderców: „Ależ o Panie!—oni niewinni, choć naszą przyszłość cofnęli wstecz“... I na-

szego poetę zgnębiła ta wieść—i z jego gęśli spłynął modlitwy szept cichy,—bo świat cały wydał mu się zbyt czarnym, zbyt strasznym, toż niemal równocześnie z Ujejskim zapragnął „pustyni, ciszy!—podziemnéj gdzieś ciszy! podziemnych cieni“,—jak tamten radby był się dostać „Pod ziemię“—daleko od ludzi. Wypowiedział Zaleski nam wszystkie swoje uczucia, jakie nim miotały, w utworze p. t. „Zgryzota i łaska“, kiedy go Pan potężną uderzył prawicą—i zerwał z przed oczu wszystkie mary senne, o których roił wiek długi. I czynił sobie zarzut z tego, iż „na kwieciach boży dar gnuśnie“ wysypiał, iż miękkiemi tony brzmiała jego gęśl, gdy naród tymczasem we krwi swéj brodził wytoczonéj własnemi dłońmi z własnéj swéj piersi—jak „gladyator w amfiteatrze“; a on nawet nad nim pieśnią nie zapłakał...

„Za zło—com widział bezdusznie oczyma,—
Za zło—com usty świegotał nikczemnie,—
Za zło—com nie klął—odpuszczenia niema,
Na wieki wieków niema. Zły duch we mnie“.

Sam siebie przeklął poeta,—wnet jednak przyszła mu w pomoc wiara silna, by go wydźwignąć z upadku i z grzechu. I ulitował się nad nim Pan, wejrzał na poetę i rozkazał mu powstać, ażeby siał „żywe prawdy między jednowierce“. Z tą chwilą „nowa moc weszła“ weń i „niszczyła gwar w łonie“, kiedy Pan zdeptał pychę a dźwignął pokorę. A silne snać było uczucie religijne, silny był popęd do tworzenia w tym kierunku, kiedy w ostatnim wierszu słyszymy zapowiedź: „Tobie samemu śpiewać chcę do skonu!“

Spełniły się wkrótce słowa Zaleskiego, wnet cały tłum melodyi podobnych wygrał na swojéj lutni, myśl zaś o rodzinnéj ziemi nie opuszczała go nigdy, dzwoni ona i w wierszu, p. t. „Cedr“, w którym ziemię tę jego kochaną „ciśnioną ręką Bożą“ „pomiędzy dwa morza“, co szumiała „pieśniami mnogie już stulecia“, wzywa do pokory i wiary w łaskę Pańską. Nie inna myśl dzwoni i w utworze, p. n. „Chwała Bogu“, bo i tutaj radzi jéj Zaleski, by przytarła „hardych rogów pysze“ i rozkrzyżowawszy „w świat ramiona“ przygarnęła w swe objęcia starszą i młodszą brać i krewnych. Wielki zasób uczucia rzewnego i skargi żałosnéj zawiera w sobie „Paralityk“: pił ten paralityk „najdłużéj ze źródła wiary“ i przez długie stulecia był tarczą przeciw hordom Osmanów,—a teraz jak Łazarz biblijny jęczy niemocą powalon na ziemię, kiedy jego dzieci „na wszystkich drogach bezdomni tułacze jęczą“. A każdy mu urąga, że trwa w wierze świętéj, wszyscy myślą, iż przejdzie między „podłe balwochwalce“, a on choć był sługą Przenajświętszéj Matki—przecież dziś kaleką bezsil-

nym. „Toż pod krzyż słać się“—woła poeta,—bo idzie Pan w wielkiéj chwale.

Tenże sam ton tętni i w utworze, p. t. „Do wtóru“, napisanym w 1861 roku, nie inny i w „Świętym Wincentym a Paulo“, jakkolwiek oba te utwory, do których dodać trzeba i wiersz, p. t. „Eucharystya“, nie mają w sobie téj mocy uczucia, co poprzednie, a i forma sama nie jest bez zarzutu, wiersz ten nawet ostatni zbyt jest monotonnym i nie może zrobić korzystnego wrażenia.

I nie rad wynurzał się poeta daléj, nie rad patrzał na świat ten i jego niedolę, jego grzechy i zbrodnie, to téż nie dziw, że zagłębiał się coraz więcéj w pokorę:

„Boje a znoje nam—bracia—na długo!
Głos archanielskiéj trąby gęśl oniemia:
Ograna pieśni moja, srebrna strugo,
Wróć w katakumby, w święte swe podziemia“.

Jak kapłan, napominał poeta wszystkich do poprawy, a zwłaszcza tych, co byli „i głusi i niemi na groźne głosy z dołu i z wysoka“, co knowali „w głowach zamyślenia głupie“. Napominał ich, bo niebawem „nieubłagany sąd się pocznie“, w którym zasiądą nieprzekupni sędzie z Chrystusem na czele, pocznie się sąd na tych, co jęku boleści nie słyszą, z których serc miłość bliźniego uciekła daleko, a z nią sprawiedliwość i wiara. I choć ich kościół Boży nawołuje do pokuty—oni głosu tego nie chcą słyszéć, bo i tak do kościoła wiodące „ścieżki oddawna chwastem już zarosły“, bo ludzie „na wynalazki nowe smażą mózgi" grożąc Panu rokoszem. Dziś tylko—„prostaczkowie cisi“ maluczcy „modlą się we łzach“. Więc przyjdzie srogie Pańskie ukaranie—i „ziemi moce na kolana upadną“—kornem bijąc czołem, kiedy zejdzie między nie Pan ze swym aniołem. I nie było to uczucie tutaj nieszczere,—poeta bowiem pisał ten wiersz pod wpływem wielkiego nieszczęścia...

Najdokładniéj zresztą o niém mówi Zaleski, o tém swojém gorącém uczuciu w utworze, który położył na samym końcu tego całego cyklu—p. t. „Święc się wola Twoja!" Od lat zarania przejęło się serce jego bojaźnią Bożą, wiarą i miłością, to też mimo, że nieraz gradowa chmura zaciemni nad nim niebo, przecież „bez trwogi patrzy w rozstrzeń tam ciemną“. I tylko ta wiara w miłosierdzie boże sprawiła, że nie oniemiał wśród wielkich nieszczęść, „wśród pogrobowych jęków“,—cały wiek swój spędził w téj Bożéj bojaźni—toż śmiało patrzy przed siebie ufny w łaskę Boga—stąd wreszcie, chcąc Bogu spłacić dług, za wszystkie dobrodziejstwa śpiewa pieśń na Jego chwałę.

Do tychże utworów religijnych—należy zaliczyć przekład dwu „Psalmów Dawidowych“ z 1849 roku, jakkolwiek oba one nie dorównywają takiemuż tłómaczeniu Kochanowskiego, psalm zaś p. t. „*Super flumina Babylonis*“—nie może nawet iść w porównanie z trawestacyą jego dokonaną w „Melodyach biblijnych“ przez Ujejskiego. Rozważając cały ten cykl wierszy p. n. „Wniebogłosy“—pod względem artystycznym, niepodobna przyznać, ażeby forma ich dorównywała utworom z poprzedniéj doby twórczości Zaleskiego, niekiedy nawet razi wprost swojém zaniedbaniem. Jest za to w utworach tych rzecz inna, która wyszła im na korzyść: uczucie to wprawdzie religijne nie inne jak przedtém, zawsze też same elementy jego się powtarzają, a jednak robią one tutaj na czytelniku wrażenie świeżéj myśli, nowego pomysłu, jakkolwiek w istocie rzeczy zupełnie tak znowu nie jest. Dlaczego przecież doznajemy odmiennego wrażenia, niż np. podczas czytania „Hymnów“ lub modlitw w poprzednim okresie? Umiał Zaleski teraz to uczucie religijne odświeżyć, umiał dodać innéj barwy, gdy tam bowiem rzadko odzywał się do narodu, a więcéj mówił o sobie, gdyż utwory były natenczas wypływem rozmyślań prowadzonych w samotności w zaciszném schronieniu, to w wierszach, o których przed chwilą mówiliśmy—wrócił się do swojéj rodzinnéj ziemi, do swojego narodu — podając mu rady i leki na jego choroby i dolegliwości, na jego ból i cierpienia, bo w nich, rzecby można, zapomina niemal o sobie, skierowawszy myśl w zupełnie inną stronę. Stąd téż poszło to, iż czytelnik czuje jakoby nową melodyę, jakkolwiek tak nie jest, uczucie to bowiem miłości ziemi rodzinnéj i narodu swego—już długi czas przedtém dźwięczało wybitnym tonem.

Wyśpiewał był już Zaleski dzieje swojéj młodości w „Złotéj Dumie“, wyśpiewał był i w „przygrywce do nowéj poezyi“—w „Duchu od stepu“, nie tknęło było jednak dotąd jeszcze jego pióro lat tych, kiedy to bujał swobodnie po Iwanhorze—wsłuchując się w poszumy przyrody stepowéj i w piosenkę wieśniaczą, co dzwoniła wieczorem od ogniska w kurnéj chacie znachora. I teraz to postanowił nasz poeta wypieśnić te chwile swobody i dziecięcego omamienia w większym poemacie, zwłaszcza że lata te dawały wiele materyału, z którego można było budować prześliczną całość,—niestety plan się nie udał, natchnienie nie dopisało Zaleskiemu, i z tego większych rozmiarów utworu—pozostało tylko parę drobnych fragmentów, parę obrazków luźnych. A przecież, chociaż nieliczne i niedługie wcale to urywki,—mogą nam mimo to dać dokładne wyobrażenie, jaką miała być całość, w jakim duchu i tonie pisaną.

Pierwszy z tych urywków, p. t. „Ptaszę lasze“ — jest jakoby wstępem do poematu tego zamierzonego i opowiada, iż w jarowém siole „na Poddnieprzu kędy Iwanhora“ żyło w Żujowéj chacie—małe chłopię. Fakta zaś, jakie tutaj poeta wprowadza, są żywcem z jego życia zaczerpnięte i nie zostały w niczém ani zmienione ani téż upiększone, słyszymy bowiem, iż to pacholę popadło w jakąś chorobę, że sam znachor zbierał wonne kwiecie „pod młodzik miesiąca“ na kąpiel dla dziecka, że umiłował jak własne „pacholę to cudze“. Odrazu na pierwszy rzut oka zaczynamy rozpoznawać to wszystko, wszak nie inaczéj miała się rzecz i z Bohdanem, kiedy to nabawiwszy się od szczeniąt choroby skórnéj—został przez ciotkę Jasieńską oddany Żujowi aż do czasu wyzdrowienia:

„Lasze ptaszę, jak w chacie go zwano.
Lasze ptaszę rączkami za szyje
Pieści Żuja,—całuje w kolano,
To Żujównom od cząt blask pije.
Jak z siostrami potulne, ochocze,
Gładzi kosy i piosnki szczebiocze!“

I skoro tylko „dzionek zabielał w okienko“, wnet chwaliło to dziecię Boga pobożną piosenką, wznosząc „w górę oczka i w górę rączęta“. A kiedy późniéj „w burzany dał nurka“—to i dzień cały spływał, a chłopczyna mknął drobnym krokiem po okolicznych polach lub z wysokiéj Iwanhory wypatrywał „bajdaki po Dnieprze“ i śledził lot ptaków nad „mogiły zamglone“. A wieczorem znowu na doświtkach i wieczornicach siedział w chacie zasłuchany cały w cudowną kazkę lub piosnkę tęskną córek znachora...

Na tém kończy się ten fragment—i teraz już każdy bez trudu spostrzegnie tę niezmierną zawisłość naszego poety od wypadków rzeczywistego życia, bo przecież inaczéj o tém wszystkiém już gdzieindziéj opowiedział. Dziwnie dobrze łączy się z tamtym urywkiem poematu inny, p. t. „Kwiat paproci“: minął już rok jeden i drugi i trzeci,—wyrosło już pacholę to małe—ciągle jak dzień długi siadując pod mogiłami, wsłuchiwało się w szum wichru to oczeretu nadbrzeżnego, a w noc ciemną „on oczu nie zmruży“ i chodzi „na jawie jak we śnie“... Wtém nagle zniknął chłopczyna „jak kamień do wody“ wrzucony „bez śladu i słychu“, budząc w sercach wszystkich w chacie Żujowéj żal i tęsknotę. taką to dla siebie posiadł był życzliwość. On tymczasem puścił się w daleką drogę po nad „rucianém wybrzeżem Siniuchy, po nad Rosią, śród białych konwalii wzdłuż Taśminy“ i zaszedł aż tam, gdzie step wał żmijowy przecina, tam zabłąkał się w dzikiéj ustroni. „Trzy dni długie i długie trzy noce“

błądził pomiędzy mogiły, aż wtém zaleciała go woń jakaś dziwna, czarodziejska, nito z morza kwiatów,—chłopiec usłyszał, jak step bezludny, pusty „śpiewał dumę po ojcach“. I szedł ciągle daléj i daléj, chociaż strudzony—nie spoczął na chwilę, bo cała przyroda nuciła jeden wielki hymn „w głos tęskny, sierocy“,—kiedy nagle ujrzał przed sobą paprociowy step, strzeżony pilnie przez stado żurawi. A gdy skinął na lasze pacholę żuraw jednooki, ono zbliżyło się doń bez trwogi—i otrzymało od niego kwiat paproci. Toż nagle wstąpiła w pacholę dziwna moc—i poczuło ono parę skrzydeł u ramion, usłyszało „co śpiewają i kwiecie i zioła“, których to pieśni dźwiękiem i krasą upajało się—rodzinną swą dumą. Kiedy zaś „w obrzask rumianéj jutrzenki“ step się cały rozwidnił,—to przyroda zaczęła wielką pieśń rozkoszną i świeżą,—a rusałki zawiodły wesoły, skoczny tan w zielonym gaju.

Niema, co prawda, w tym fragmencie owéj żywéj prawdy jak w poprzedzającym, ale czyż mógł poeta w inny od tego sposób przedstawić obudzenie się siły twórczéj, pierwsze poczucie zdolności do lotu wyższego, a ten—był właśnie zupełnie odpowiednim z powodu swéj cudowności. Raz to jedyny, rzec można, w tym okresie twórczości poetyckiéj Zaleskiego—obudziła się w nim dawna moc, urywki te bowiem są skréślone z taką żywą barwą, iż lśnią się pośród wszystkich innych z tego czasu utworów naszego poety, raz to jedyny, zabrał się poeta do pracy, która była zupełnie odmienną od reszty wierszy, niestety — marzenia prysnęły zbyt prędko. Innego już poematu częścią, nieznacznym urywkiem jest wiersz, p. n. „Pasieka“. I tutaj posłużyły poecie naszemu wspomnienia z lat młodych, dziecięcych za temat,—zbyt to krótki jednak urywek, ażeby z niego można nabrać jakiegokolwiek wyobrażenia, jaką miała być całość; na uwagę chyba zasługuje jeden krajobraz:

„Cisza... gdzieniegdzie po górach, po lesie,
Rozhuk rozderza się szparki,
Lub wiatr powonny tęskną nutę niesie,
Z przeciągłej dumy żniwiarki.
Wszystko, jak oko stąd i stąd zasięga,
Lśni blaskiem rosy lub słońca,
Rzeka przewiewa, niby złota wstęga,
Kobierzec srebrny bez końca“.

I nieraz wracały na myśl poecie wspomnienia lat dawnych, wspomnienia chwil spędzonych w lubém otoczeniu przyjaciół — takiéj to chwili owocem jest wiersz również niedokończony, p. t. „Nieszpór“. Przypomnieli się naszemu poecie ci wszyscy, z którymi

„dłoń w dłoni, a ramię o ramię“ śpiewał swoje piesni,—a dziś wszystko poszło „jakby z dymem i popiołem“; przypomniała się poecie Ukraina, na któréj godował „wesół, jak na dnia zaraniu“. A kiedy żegnał tę lubą krainę, „rąbek mgły bujał nad polami cienki“ i „piały słowiki w zapachu konwalii“. Przypomniały się poecie lata spędzone w Humaniu i owe „groty boginek“ w Zofijówce, po których błądził wespół z trzema przyjaciółmi — Goszczyńskim, Grabowskim i Krechowieckim, „co wespół wtedy i żyli i czuli“... Na tém kończy się ten fragment, z którego uczucie żalu z taką tchnie siłą, jak może w żadnym z utworów w tym okresie napisanych, nie inny duch wieje i z urywku, p. t. „Fata morgana“, bo i tutaj widać tęsknotę za minioną młodością, co mu tak szybko przeszła, z utworu tego nadto można się przekonać, jak takie przypomnienia pokrzepiały poetę na duchu i sił dodawały w tworzeniu:

„Czuję moc twórczą we mnie. Oto skinę!
Podniosę w górę lutnię złotostruną,
A po nad Polskę, po nad Ukrainę
Od mogilników duchy się wysuną,
Żywemi głosy zawtórują pieśni
Z nieskończoności swych jako rówieśni“.

Gdybyśmy zaś chcieli ocenić te fragmenta pod względem artystycznym—to bez wahania przyznać musimy, iż tak wykończonéj formy—nie zdarzy nam się spotkać w żadnym z utworów téj doby twórczości,—tu ona jaśnieje w całym przepychu i swojéj strojności, nie mniéj i pod względem myśli w téj zgrabnéj formie zawartéj odznaczają się te fragmenta jéj świeżością—szczerością i naturalnością, a jeśli jest żal, żal głęboki za przeszłością i za przyjaciółmi, to wypowiedział go Zaleski bez odrobiny retoryczności—z taką siłą, że utwór dany jest w stanie pozyskać w jednéj chwili naszą sympatyę i porwać ją za sobą, i choć czuć czasami pewną miękkość — to przecież ona ma w sobie coś, co ją przekształca w ton taki, który jest miłym dla ucha.

Dlaczego zaś ta Ukraina ciągle stawała poecie przed oczyma, o tém sam niebawem powiedział w jednym z „Pyłków”, p. n. „Ukraina i ja“:

„Tak dawno Ukrainę noszę w sercu, w duchu,
Że zrośliśmy się: mam ją we wzroku i słuchu:
Niech zamarzę z dziecinnych lat gdzieś okolicę,
W mgnieniu oka na papiér krajobraz jéj schwycę“

Dziwnie niekiedy bystra obserwacya prześwieca z „Pyłków“, których nie mało w tym okresie twórczości napisał nasz poeta, na

szczególniejszą zwłaszcza uwagę zasługują zdania Zaleskiego tyczące się poetów, krytyków i literatury, a zasługują na uwagę nie z tego powodu, żeby były zupełnie słuszne, ale dla tego, że charakteryzują niezwykłą orygilność poglądów. Z pewnością nikt nie zgodzi się na pogląd np. taki, wypowiedziany w „Krytyku Dantowym“, jakoby ten, kto nie napisał sam nigdy dobrego utworu, mógł a raczéj miał prawo oceniać dzieła poetów,—bo gdybyśmy zostawili sąd o dziełach sztuki—poetom, to bezsprzecznie sprawiedliwości by w nim nie było. Nie chcemy przeto wcale szukać powodów téj niesprawiedliwości w zawiści, i jakkolwiek stare powiada przysłowie, iż „*errare humanum est*“,—to przecież najczęściéj—sami poeci błądzili w poglądach na twórczość drugich, mylną była ich ocena utworów mniejszéj lub większéj braci w Apollinie, gdybyśmy tylko dla przykładu napomknęli o zdaniu Mickiewicza o Garczyńskim i Słowackim, pierwszego uczynił najgenialniejszym wieszczem stulecia w Polsce, drugiego zbytecznie poniżył odmawiając mu wszelkiéj wartości.

A gdybyśmy chcieli się przekonać, czém to imponowali poeci Zaleskiemu, których stawiał najwyżéj i dlaczego?—wnet na to znajdziemy odpowiedź: zachwycał poetę naszego Dante swoją wyobraźnią, która była „jako wieżyca wystrzelona w obłoki“, nie wszystko to jednakowoż było, czém stał ten mistrz włoski tak wysoko w opinii Zaleskiego, zachwycał go najbardziéj religijną myślą „Boskiéj Komedyi“, bo była w kościele jego Boża tajemnica“. Nie mniéj wielkim był i ów biblijny król Dawid, którego nasz poeta nazwał „królewskim wieszczem“:

„I nikt z nas po nim nie dostąpi cudu,
Póki po Bogu nie uczcim prostoty
I w proch nie padniem—aż na kogoś znijdzie
Duch Boży, który mistrzował w Dawidzie“.

Pieśni zaś Dawida—uważał jako jedyne dzieci Boga. Wstrętnym był za to dlań „pogański Jowisz“, Goethe, również nie lubił Zaleski Schillera z powodu owych psychologicznych motywów ogólnoludzkiéj jego poezyi. Głęboką prawdę zawiera za to wierszyk, p. t. „Pociecha“, gdzie mowa o smutnéj doli poetów, „którym się nie szczęściło wcale za żywota“, kiedy za to pomrą, wtedy nikt nie żałuje ni świec ni kadzidlanego dymu. Niezmiernie charakterystycznym jest „Wpływ geniuszów“, w tym bowiem dwuwierszu odbił się najdokładniéj cały sposób patrzenia Zaleskiego na poezyę; wpływ mistrzów jest wtedy wielkim, jeśli źródłem natchnień było serce, jałowym być musi, jeżeli rozum nadał moc poezyi ich, nie dziw tedy, jeśli nie po-

dobała się naszemu poecie Muza Goethego, jeśli nie lubił Schillera, którego wszystkie utwory wzięły początek swój nie z serca. Trudno wreszcie pominąć jeden z tych drobnych, że tak powiemy, epigramatów, w nim bowiem kreśli Zaleski genezę swoich „Pyłków“: były więc one, jak powiada w „Rymach, rytmach“—owocem zagłębienia się w rozmyślaniach, gdy duch się w nieskończoność wsłuchiwał i opuszczał ciało lecąc „jako Seraf wskroś płonący“, ażeby napoić się archanielską pieśnią. A kiedy wrócił napowrót z téj długiéj wędrówki—to przyniósł ze sobą garstkę złotych pyłków,—taki to nastrój wydawał na świat roje drobnych, choć często niepozbawionych wdzięku, jambów i epigramatów.

W dwadzieścia lat dopiéro z górą od czasu, kiedy napisaną została „Potrzeba Zbarazka“, co niejako zakończyła peryod obfitéj twórczości, obudził się znowu w Zaleskim popęd do napisania większéj całości,—zwłaszcza, że nadawała się ku temu doskonała sposobność—nadchodzącego tysiącletniego jubileuszu chrzcin narodu polskiego,—poeta chwycił w 1861 roku za pióro, ażeby opieśnić to zdarzenie radosne—teraz to zaczął pisać „Wigilię godów tysiącolecia“. Niestety—nie zdołał całkowicie jéj wykończyć—nadeszły wypadki i poemat się urwał. Z całości na szersze zakrojonéj ramy doszła do nas całkowicie napisana pieśń pierwsza, p. t. „Kruświca“, ukończona 31 stycznia 1863 roku, z pieśni drugiéj szkic tylko prozą pozostał, część trzecia wreszcie pozostała drobnym fragmentem. W ostatnich latach życia autor, wspominając o „Gople“, żałował, że twórczość jego tak prędko zwichnięta została i że nie zdołał dokończyć rzeczy, któréj zamierzał szerokie dać rozmiary. Poeta mawiał, iż w myśli jego było całe dzieje Polski przeprowadzić i odmalować stanowisko Słowian w przeszłości i przyszłości [1]). A poświęcił ją Zaleski: „Braci Wielkopolskiéj Polanom Wiślanym“...

Pieśń pierwsza zaczyna się opisem wędrówki narodu do Kruszwicy w okolicę nadgoplańską celem wspólnego święcenia uroczystości, iż lat tysiąc minęło, kiedy Polska otrzymała z niebios promień łaski, kiedy naród „z ukrzyżowanym zawarł przymierze“ i uczynił „rozbrat wieczny z czartem i grzechem“. Pierwszą gromadę pątników wiózł pleban i z jego to ust słyszymy opowieść o kołodzieju Piaście, którego „Pan wypatrzył w głuchym zakątku“ i przeznaczył na patryarchę ludu polskiego. Dobrze działo się narodowi długie lata, póki żył w bogobojności, lecz kiedy

„Szablę i pacierz zaniechał z czasem,
A pogardziwszy kontuszem, pasem,

[1]) J. B. Zaleski: „Dzieła pośmiertne“. II. 133.

Na mszy nie klęknie, nie kiwnie ręką,
Czapki nie zdejmie przed bożą męką“...

wtedy téż i Bóg się zagniewał. Tu jednak już musimy się zatrzymać, ażeby przeciwko takiemu przedstawieniu rzeczy założyć nasze *veto!* Gdzie i kiedy bowiem wzgardziła szlachta szablą, kontuszem i pasem, gdzie i kiedy wyrzekła się religii? Czy może pod Grunwaldem lub Wiedniem, czy na polach kresowych broniąc ziemi ojczystéj od napadu ordy tatarskiéj,—a i o bezbożności—nikt u nas nie słyszał, bo naród, co wydał dwu Stanisławów, którego zastępcy bronili dogmatów kościoła w Trydencie,—nie mógł stracić ufności w łaskę Bożą—jeśli tylko czcił Przenajświętszą Pannę, a przecież rycerstwo nasze zawsze z Jéj imieniem szło na bój ciężki z wrogiem, wszak ono było wzorem chrześcijańskich cnót, — niepodobna tedy przyjąć milczeniem takiego orzeczenia, bo błędy gdzieindziéj leżały.

Teraz to wprowadza spór poeta pomiędzy krewniakiem Pankracego z „Nieboskiéj komedyi“ a Głowaczem: sypie więc tamten cały stek dziwacznych zarzutów na szlachtę, która, jego zdaniem, chłopom „wszystko przed wieki“ wydarła, sytuacya zaś ta musiała być tutaj w zasadzie dobrą i zręcznie podjętą, każdy to pozna, jeżeli się jéj bliżéj przypatrzy. Widzimy tutaj daléj gości z różnych krajów słowiańskich,—a pomiędzy nimi i owego mitycznego śpiewaka czeskiego, Lumira, a skoro tylko on spuścił ręce na struny swéj gęśli,

„Grzmi, grzmi pieśń inna w męzkim nastroju,
Wielki Światopłuk przy Borzywoju,
W ciężkich zbroicach chrzęszczą wśród boju!
Bolesławowskie huczą zapusty“...

cała ta pierwsza pieśń poematu—jest pod względem wartości artystycznéj nadzwyczaj słaba zarówno co do formy, jak nie mniéj i myśli. Już samo wprowadzenie faktu bieżącego do utworu—było niezbyt stosowne i nastręczało samo przez się mnóstwo trudności w przedstawieniu rzeczy i przeprowadzeniu akcyi, akcyi téj zresztą zbyt mało w poemacie. I tu już widać upadek w działalności poetyckiéj Zaleskiego, poeta bowiem nie starał się o chociażby tylko znośne opisywanie wypadków, nie starał się niczém ich ożywić,—wprowadzając zaś zbytecznie długie monologi—nie mógł innego wywołać wrażenia prócz nudy,—tak że pieśń ta budzi nadzwyczaj przykre uczucie — i czytelnik nie jest w stanie początkowo zdać sobie sprawy—skąd wzięła się tak licha i niedostatecznie wykończona sytuacya „Wigilii”. O drugiéj pieśni—nie możemy nic bliższego powiedzieć, bo z tego

szkicu prozaicznego, zawartego w kilku wierszach, niczego się nie dowiadujemy, coby można związać i połączyć z częścią pierwszą. Pieśń trzecia za to, p. n. „Gopło”, z któréj doszedł do nas drobny fragment,—jest już w innym tonie napisana, inny duch przewiewa z jéj kart.

Uczucie religijne, jakiego ślady widoczne są na pierwszéj części poematu, obudziło się teraz dopiero z całą mocą—i tutaj słyszymy spowiedź poety z całego życia: od wczesnego zarania „wiarą wzmagał wiedzę swą”, uważając „mądrość swiecką”, jako górę pokrytą wiecznym lodem, toż uczynił go Pan swoim sługą. Długi wiek klęczał poeta w popiele umęczony srodze cierpieniem, niósł przecież zawsze przed ludem krzyż, wskazując mu go—jako źródło łask niewyczerpanych—

„O wiarę ludu serdeczną, prostą,
Czynną i żywą—jaką pod chłostą
. . . Wsiewałeś w duszę,
O taką wiarę w pokorze, w skrusze
Modlimy z głębi serca, o Panie!
Niech między nami znów zmartwychwstanie“.

Jak Krasiński, modlił się tutaj nasz poeta o łaskę tylko, bo — „wszystko nam dałeś, co mogłeś, dać, Panie!” — a ustęp ten cały na pierwszy rzut oka przypomni każdemu „Psalmy przyszłości”. Lecz tu już wchodzi poeta w sprzeczność z tém, co powiedział w części pierwszéj wigilii o szlachcie, tutaj bowiem wylicza czyny mężne jéj w obronie wiary Chrystusowéj—pod Warną, Chocimem i Wiedniem, snać—nie inne było przekonanie poety... A nie była pieśń ta, a raczéj urywek ten—pisany jednym ciągiem, Zaleski kilkakrotnie go przerywał, jak to nie trudno poznać z przypisków — aż wreszcie rzucił pióro, zwłaszcza że i natchnienie nie dopisywało w tym czasie. Jaki miał być związek tego urywku z poprzedniemi pieśniami—o tém nie można nic pewnego powiedziéć.

Dopiéro rok 1864 poruszył milczącą gęśl Zaleskiego, wyśpiewał „przy sercu” małżonki „Dum i dumek księgę trzecią” zawierającą 29 dłuższych, to krótszych utworów. Trzy tylko rodzaje uczuć przebijają się teraz z poezyi Bohdana, trzy jedynie czynniki były w stanie poruszyć strunę na lutni — jednym z tych czynników — uczucie religijne, drugim — wspomnienia przyjaciół; trzecim, który najsilniéj się objawił — miłość kraju rodzinnego i tęsknota za nim. Na samym wstępie tego cyklu utworów, które niebawem wydał Zaleski jako „Oratoryum wieszcze”, — napotykamy wierszyk, p. t. „Wieszcz-gość, w którym poeta kréśli obowiązki i powinności pieśniarza, — i stąd dosadnie przekonać się jesteśmy w stanie — jak

wzniośle przedstawiał sobie Zaleski powołanie poety, — jego zaś urząd—jest w oczach Bohdana równym kapłańskiemu,--szczytniejszego powołania niema więcéj na ziemi, lecz „biada mu! jeśli łechtając chucie, uroni choćby krztę łaski"...

„Święty Andrzéj, apostół na Dnieprze" — nie odznacza się żadnemi wybitniejszemi zaletami, ażebyśmy potrzebowali bliżéj się nim zajmować—treść wcale nie zajmująca, forma znowu zbyt słaba. Tęsknota jednakowoż za rodzinną stroną zwiększała się pod wpływem rozmaitych przeczuć,—które tak pięknie, z taką niezwyczajną mocą wyśpiewał Zaleski niedawno w wierszu, p.t. „Do moich dzieci".

Najwięcéj téż utworów wydała owa tęsknota i żal za dawno niewidzianą ziemią, któréj nie spodziewał się już nigdy poeta zobaczyć: tętni ona nutą boleści niewypłakanéj w wierszu, p. n. „W oman żurawi" — gdzie poeta powiada, iż ów kraj „zamierzchły z przed oczu", ów kraj, „kochany, daleki" na samo wspomnienie staje w całéj pełni krasy i wdzięku przed oczyma tak, że widne mu są stepy bujne, porosłe burzanem, barwinkiem, dziewanną, i mogiły, pod któremi będąc dzieckiem małém, długą przedumał godzinę. I widny mu jest stary Dniepr, jak „wdali się srebrzy" długim pasem,— a brzegi jego porosły w łozę i wierzbinę,—i widny mu orzeł i sokół, co w niebie zda się tonąć. Tam to spłynęła nań fala natchnienia— i jak ongi żegnał tę ziemię łzawą pieśnią— tak i dziś ku niéj zdaleka przygrywa.

Owocem znowu religijnego natchnienia i tęsknoty jest utwór, p.n. „Łzy", w którym wraz z psalmistą Pańskim woła do cierpiących: „Błogosławieni—którzy płaczą",—i jak niegdyś w „Duchu od stepu", w „Hymnach" i w cyklu „Wniebogłosy" — tak i tutaj wskazuje.

Nie inne dźwięki słyszéć się dają wyraźniéj w utworze „Senliwy szum", a i tutaj bardzo dobrze dostraja się forma do myśli w niéj zawartéj; gorącą téż wiarą w łaskę i sprawiedliwość Bożą tętni „Otucha", jakkolwiek wiara ta — mimo, że o wiele silniéj tu się objawia--to przecież wyrażona została w znacznie lepszym tonie, niż np. w „Hymnach".

A uczucie to tęsknoty za ziemią rodzinną nie znikło i teraz, odzywa się ono wyraźnym tonem już pod wpływem wspomnień osobistych z lat humańskich w utworze, p. t. „Na wiatr", nie mniéj i w „Naści", która nosi na sobie ślady pewnego oddziaływania „Słowa o wyprawie Igora". A i wspomnienia pomarłych druhów i towarzyszy poruszyły także struny na gęśli poety — toż gorzkim zapłakał rymem za Józefem Zaleskim, z którym tyle lat za granicą spędził nierozłącznie — przysiągłszy mu „braterstwo ślubne",—nie

mniéj rzewna nuta odezwała się i za serdecznym przyjacielem—Stefanem Witwickim, z którym za czasów jeszcze warszawskich bujał swobodnie w stolicy, a i późniéj miał w nim nieodstępnego towarzysza—i za Chopinem i Maurycym Mochnackim.

Pieśń ta „zmora śpiewna" nie umilkła prędko — czuł jednak poeta, iż już zerwana złota nić" jego twórczości, bo na obczyźnie „nigdzie serce nie odtętni, z każdéj piersi wieje chłód". Miał jednakowoż dość siły, ażeby choć po zgonie Grabowskiego — obronić go od zarzutów, jakie wszyscy mu robili, odsądzając go od czci i wiary,—i błagał Boga o przebaczenie winy swego druha. Nie mniéj donośnym jękiem „między zwałami skał, w lasów ciszy"—odezwały się razem wszystkie głosy—na wspomnienie niedawno zmarłego Mickiewicza, którego pamięci poświęcił Zaleski wiersz, p. n. „Angelus". Przypomniały się naszemu poecie te lata, kiedy wespół z przyjacielem „nucąc dumę po cichu" szedł „między wrzosy, paprocie"—gdy wizya czarowna stanęła im obom przed oczyma, aż w podziękę „głos w głosie Panu pieśń rozbrzmieli". I nie dziw, że aż w tylu utworach rozjękła ta struna płaczliwa żalu za straconymi przyjaciółmi,—uczucie bowiem przyjaźni, jeśli je ku komu czuł nasz poeta—było zbyt silne, by śmierć je rozerwać zdołała, zbyt miłował druhów swych poeta, by pamięć o nich zatracić, a jeśli czasem stawały w poprzek drogi nieporozumienia—np. między Grabowskim a Bohdanem w 1830 roku—to nie z winy naszego poety się stały,—zazwyczaj—ci, co byli z nim w zatargu jakimkolwiek—błądzili. Jak zaś to uczucie było silne i trwałe, o tém może nas dowodnie przekonać chociażby tylko sama apologia Grabowskiego. Niekiedy nawet uczucie to przyjaźni zwracało się ku tym, których nie znał,—i tém to tłómaczy się geneza utworu, p. t. „Mogiła Tarasowa". Nigdy nie znał nasz poeta Szewczenki, tego największego z piewców Rusi—Ukrainy, a o którym tylko wiele słyszał z opowiadań Bronisława Zaleskiego, towarzysza Tarasa w stepach orenburskich, utworów zaś jego znał nie bardzo wiele. Toż zapłakał Zaleski nad mogiłą nieznanego sobie poety, jakkolwiek on „waśń starą" zapomnianą wskrzesił w swojéj pieśni, poświęcił mu mimo to wiele współczucia—bo Szewczenko wyszedł z łona ludu.

Z utworem zaś tym, poświęconym pamięci Szewczenki, z którego wyraźnym tonem jęczy żal za Ukrainą — łączy się poniekąd inny wiersz, zbliżony wielce zarówno treścią swoją jak i nastrojem ogólnym do dumy historycznéj—p. t. „Teligoła". A skréślił postać tego starego kozaka poeta z przypomnianych teraz typów, jakie nieraz małém będąc dziecięciem spotykał na Ukrainie. W utworze

tym całym atoli uwidocznił się brak plastyczności — nie sposób bowiem dopatrzyć się wyraźniejszych rysów tego starca, — wiemy jedynie, iż stoi sam jeden na mogile — słyszymy z ust jego wiele wyrzekań, saméj przecież postaci nie widać, jakgdyby ona była zakryta jakąś tajemniczą osłoną. Sama treść zresztą żalów Teligoły— jest z wielką mocą przeprowadzona, co więcéj zawiera w sobie dużo prawdy historycznéj, --sam wreszcie sposób, w jaki ów starzec biada nad wielkiém nieszczęściem, odtwarza doskonale sposób mówienia prostego ludu.

Przyszły na myśl wreszcie naszemu poecie lata jego późne— i im to poświęcił parę utworów, które doskonale malują nastrój Zaleskiego w tych czasach i są w stanie objaśnić to coraz więcéj uderzające milknięcie strun jego gęśli, którą rdza bólów i przejść wielu powoli trawiła. Pięknie umiał przeprowadzić myśl tę nasz poeta w niedługim wierszyku, p. t. „Zamróz", sam nawet obrazek—zimowego krajobrazu jest żywo skréślony, a i owo porównanie zimy ze starością, chociaż nie nowe, ma przecież w sobie nie mało wdzięku, chociaż poeta mówi, iż dumka „leniwiéj łowi tętno".

Nie inny obraz widzimy i w „Zapóźnionym" — gdzie Bohdan porównywa siebie z ptaszkiem, co nie zdołał w cieplejsze odleciéć kraje. I tutaj zima—jak w utworze poprzednim, a przecież nosi ona na sobie inną, niźli tam barwę—kiedy to „grudniowy wicher uderzył w bór w pochód śniegowych" tumanów. I dobrze potrafił poeta zastosować rzecz do swojéj doli, wszak i on „zaznał wiele dotkliwych strat", wszak i w jego pieśni „niewysłowiony zwierciedli żal"—i on „zwiesił skrzydełka smutne", bo mu brakło siły do dalszego lotu. W utworze znowu, p. t. „Im daléj w lata" — tętni znowu pewien ton myśli o przyszłém życiu człowieka, bo już zobojętniał poeta na wszystkie cierpienia — i radość go więcéj nie wzrusza w tém „bezbarwném, jałowém życiu". I uczuć zdrój ściął się powłoką lodu, a oko mgłą ściemnione przymknęła powieka, lecz za to „przeczuć roje" w inny go unoszą świat, gdzie „na nowe hymny' przygrywa anioł biały".

A myśl poety padła téż i na fontaineblowskie lasy, wśród których lat tyle spędził, orzeźwiając się ich cieniem i błogą ciszą, wśród których „pieśń ograna cudnie różnogłosa wionęła tędy na domowe rzeki. I przypomniał sobie Zaleski owe szczęśliwe lata, kiedy to „pomiędzy skały czasem gromowłady gość ani zawitał z pobratynem trzecim", przypomniał sobie Mickiewicza i Stefana Witwickiego, z którymi toczył „górne biesiady" i ulatywał kędyś „po różczkę cudowną", i przypomniał sobie tę chwilę, kiedy „przy towarzyszce

wiernéj—na pustyni" sklecił sam „gniazdo niby pelikanie" otoczony życzliwością druha wiernego. Toż kiedy wspomniał, iż brakło już teraz owych trzech towarzyszy, iż znikły niepowrotnie, promienne z tylu lat dumania" — jęk żalu wyrywa się z piersi poety — bo los jego—nie inny, jaki dzieli każdy „Ptak daleki". Więc tęsknił w lepszy gdzieś kraj—i wołał do swojéj piosenki—„Czas w cieplice"—by tam u Pana „roztopić się w łzach" i zanieść przed tron Jego wszystkie bóle i jęki. wszystkie cierpienia i żale. A uczucie to, jakie dyktowało Zaleskiemu poprzedni utwór, odbija się jak najwyraźniéj i w wierszu, którym zakończył nasz poeta „dum i dumek księgę trzecią"—p. n. „Po leciech ku Zorynie": sięgnąwszy wzrokiem w odległe lata warszawskie, przypomniał sobie Zaleski pierwszą kochankę swoją ową Zorynę z „Rusałek", za którą teraz „w raj utracony przed laty" zdąża wolnym krokiem, za tą, któréj „żale i płacze w pieśń" skrysztalił w téj wiośnie, co wciąż w oddali „w rozpacz pobrzmiewa". A potém, kiedy ją już na zawsze pożegnał — to stanął „w chorowód wieszczów dobrany"—i atamanów i rusałki przyzywał w rym swéj pieśni, którą grał na gęśli Bojanowéj: toż zestarzał się wśród trudów — dziś już „chmurzy się coraz w jesieni"—a on śni o téj chwili, w któréj „z aniołami pod ręce odnajdzie gniazdko gdzieś swoje..."

Nie trudno to zobaczyć, jak mało przyniósł ten okres twórczości naszego poety, a okres to był długi, bo dwudziestopięcioletni, mało przyniósł pod względem ilościowym, mniej jeszcze pod względem jakościowym: brak widoczny teraz się uwydatnia większych poematów, jakie zarówno dały oba poprzednie okresy, jeden stworzył „Złotą dumę" i „Ducha od stepu", drugi „Przenajświętszą Rodzinę" i „Potrzebę Zbaraską". I teraz po długiém milczeniu zabrał się Zaleski do określenia rzeczy obszerniejszych rozmiarów, — niestety, żal nawet mówić, o ile poemat ten stoi niżéj od poprzednich,— poemat niewykończony zupełnie, i gdyby śmy nie wiedzieli, iż jest dziełem naszego poety, trudnoby nawet przypuszczać, ażeby z pod jego wyszedł pióra, tak jest pod każdym względem chybiony i słaby. I chciał Zaleski stworzyć jeszcze przed „Wigilią godów tysiącolecia" rzecz na szersze zakrojoną ramy, chciał osnuć ją na cieniuchnéj kanwie wspomnień z lat najmłodszych, kiedy jeszcze u Żujanachora przebywał, lecząc się z uporczywéj choroby,—jednakoż i tutaj stanął na przeszkodzie brak stosownie nagiętego natchnienia, choć rzecz sama była bardzo dobrze zaczętą i pomysł z dobréj uchwycony strony,—a barwa żywa i naturalna była w stanie dodać siły i świeżości; z zamierzonego poematu pozostały jedynie dwa urywki nieznaczne.

Nie dotrzymał tedy obietnicy poeta, kiedy mówił, iż odtąd rok rocznie sto dum w świat wypuści... Ale i natchnienie wyczerpywało się już prawie do dna, brak już nowych myśli i tematów, poeta staje się z dniem każdym coraz bardziéj monotonnym, a żal jego za Ukrainą w jednéj i téj saméj powtarzany formie nie może już przemówić do serca czytelnika, jakkolwiek jest szczery i naturalny. Uczucia jedne i te same grają wciąż na gęśli Bohdana: a nie byłoby w tém nic, coby osłabiało ich moc i siłę,—on jednakże nie starał się ich w właściwy wyrażać sposób—i wpadłszy na jedną nutę gra jéj melodyę z waryantami nieraz aż do znudzenia. Nie przybiera żadne z tych uczuć—ani religijne, ani żalu za Ukrainą,—nowéj formy,—która by była w stanie nas zająć i zaciekawić—lecz brzmi ciągle na ton jeden, niczém nie zmieniony. Zdarzają się, co prawda, niekiedy w utworach poety przebłyski nowych pomysłów, szczytnych nieraz i wzniosłych—one przecież muszą jedynie przebłyskać, jeśli Zaleski ich nie rozwinął szerzéj, jeśli nie ujął ich w wyraźniejsze kształty. Powiedzieliśmy wprawdzie, iż poecie nie starczyło więcéj materyału, by mógł grać z taką mocą, jak dawniéj, że wyczerpał był już krynicę swoich natchnień i pomysłów,—gdyby wszelakoż był się starał te pomysły, jakie mu jeszcze zostały — z innego podjąć stanowiska, gdyby był się starał z innéj oświetlić je strony i w formę wlać je właściwą,—upadek i obniżenie lotu poetyckiego nie byłoby tak jasne, tak wyraźne.

A ciekawą i uwagi godną jest ta chwila—w któréj głos gęśli Zaleskiego staje się coraz bardziéj przyciszonym, w któréj coraz rzadziéj się odzywa, za tę bowiem przełomową chwilę — należy wziąć rok 1841—gdyż późniéj zanika coraz wyraźniéj nastrój poetycki. A była to chwila, w któréj zjawił się na emigracyi prorok—w osobie mistrza Andrzeja, co wszystkie umysły za sobą pociągnął, sprawiając zwichnięcie twórczości nawet — u Mickiewicza,—kiedy ten się spodziewał, że Zaleski zostanie poetą Towiańszczyzny. Rzecz dziwna, iż w téj saméj chwili, kiedy Mickiewicz stanąwszy po stronie koła „braci"—zamilkł zupełnie—na zawsze, że i przyjaciel jego serdeczny, który przecież należał do zagorzałych przeciwników nowéj nauki, który błędność jéj otwarcie potępiał,— także zamilkł, chociaż jeszcze odzywał się od czasu do czasu. Nie należy przecież wątpić, iż w niemałym stopniu do tego zwichnięcia lotu poetyckiego Bohdana przyczyniło się to smutne przeświadczenie, że więcéj nie będzie oglądać swojéj Ukrainy, kiedy on o niéj śnił ciągle i żył długi czas tém marzeniem. Toż nie bez słuszności wyrzekł Zaleski w jednéj z dum, p. n. „Śpiewna zmora—te słowa o sobie:

„Cudzy kraj—to dom macoszy—
Lada co mnie stracha, płoszy,
Żal się Boże, dumkę śnić!

Głos twój znowu taki słodki—
Liczęż niżę, perły—zwrotki...
Ale rwie się złota nić“.

Jak dąb zgruchotany burzą tylu nieszczęść, jakie wielkim ciężarem przygniotły mu głowę, — zamilkł niemal teraz zupełnie nasz poeta. Zbyt wiele klęsk jedna po drugiéj nań spadało, jednéj jeszcze nie zdołał przeboleć, gdy już szła ku niemu inna,—toż nie dziw, że i usta nie były skore do pieśni, że gęśl jego głuchła z dniem każdym, aż wreszcie przycichła zupełnie. A do tych nieszczęść dodajmy jeszcze i starość, kiedy widział jak rówieśnicy jego zchodzili do grobu przedwcześnie niekiedy; dodajmy nareszcie powolną a bolesną utratę wzroku tak dalece, iż nie mógł przy świetle dwu lamp wieczorem pracować. Wziąwszy to wszystko razem pod uwagę, zrozumiéć nie będzie trudno, dlaczego to w tym dwudziestoletnim—ostatnim okresie—zbyt mało wydał poeta, dlaczego głos jego rzadko się odzywa i to przyciszonym jękiem, bo przecież mógł Zaleski z tych natchnień, już prawie do dna wyczerpanych, jakie mu zostały—stworzyć więcéj, znacznie więcéj, aniżeli nam w pośmiertnych dziełach zostawił, tyle bowiem, ile napisał przez tych lat dwadzieścia—niepodobna brać i stawić powyżéj minimalnéj liczby, jaką musiał stworzyć.

Sam jeden został był Zaleski wraz z Goszczyńskim, a późniéj sam jeden tylko z téj plejady wielkiéj poezyi polskiéj, z twórców romantyzmu, bo przecież Ujejskiego i Lenartowicza nie można tutaj brać w rachubę, został sam jeden, kiedy zaczynał się tworzyć przełom w pojęciach i zapatrywaniach na istotę sztuki, i tylko już patrzał wokół siebie na młodszą i najmłodszą generacyę.

W uczuciach jednakowoż jego nie zaszła żadna zmiana: wśród wielkich klęsk i dopustów bożych — jak pierwéj wśród szyderstw i śmiechów ludzkich—korzy się Bohdan przed Panem, w modlitwie znajdując ukojenie z bólów i tarczę przeciwko rozpaczy, jak przedtém tak i teraz nie przestaje błagać Go o łaskę i przebaczenie. A uczucie to głęboko religijne, podsycane ciągłemi rozmyślaniami nad swoim wiekiem podeszłym — było w stanie wydać nawet podniosłe i wielką mocą tętniące utwory, które wyróżniają się od reszty świéżością myśli i poglądów. Tak samo daléj, jak i dawniéj, w równéj teraz wystąpiło mierze uczucie miłości ziemi rodzinnéj i tęsknoty za nią, za tą ziemią, któréj wiek długi nie oglądał i któréj nigdy już nie

miał obaczyć: boleje tedy poeta i nad złą dolą, aż wreszcie wyrywa mu się z piersi rozżalonéj tęskna dumka: „Héj, héj ojcze atamanie" z taką siłą, na jaką oddawna nie stać już było naszego poetę. Dość często wreszcie występuje i rozmyślanie nad swoją starością,— i w tym okresie snuje poeta nić poprzednio zaczętą z równém rozrzewnieniem i szczerością uczucia. Od czasu téż do czasu chwytał rozmaite swoje spostrzeżenia, niekiedy bardzo trafne i zdradzające niemały talent obserwacyjny,—i uwieczniał je w drobnych króciutkich, a doskonałą nazwę noszących „Pyłkach", których wiele poprzedni przyniósł okres. Teraz nareszcie spostrzegamy nieliczną ilość drobnych wierszyków—w ukraińsko-ruskiéj mowie pisanych. A wszystkie te rodzaje poezyi ciągną się przez cały ten okres—jakkolwiek w bardzo skąpéj ilości, jeszcze mniejszéj — prawie o połowę — aniżeli to, co Zaleski w poprzedniém stworzył dwudziestopięcioleciu.

Zacznijmy od rzeczy religijnych. „Wielkanoc-Wełykdeń", jako téż „*Dies Irae*"—zamieszczone w rzędzie hymnów — wskazują na wyczerpanie natchnienia w tym rodzaju twórczości, oba bowiem one są pozbawione wszelkiego wdzięku i smaku artystycznego, barwa ich aż nadto blada—nie może przemówić do naszych serc, a tém mniéj ująć dla siebie, gdyż zbyt wiele posiadają braków i niedostatków nawet pod względem stylu. Bo czyż rymy takie: „stworzeńce— męce", lub téż zwroty tego rodzaju, jak „królu przewielmożny", „tam kozłowie (!) gżą niekarni" — są choć trochę znośne i czyż nie rażą— brakiem poczucia artystycznego i nie robią wrażenia pieśni kantyczkowéj?... I przyszło to natchnienie niebawem, a przyszło z wielką mocą w utworach—pomieszczonych w pośmiertném wydaniu poezyi pod nagłówkiem—„Modlitwy". Tutaj objawiło się ono we właściwéj formie tak, iż jest w stanie wywołać niestarte wrażenie, a głębią uczucia i barwnością myśli wznosi się wysoko po nad inne utwory téj epoki twórczości Bohdana, rzecby można nawet,—najwyżéj.

Jak kapłan, staje nasz poeta z modlitwą na ustach,—by przebłagać gniew Pana—i nic w tém niema dziwnego, nic tak nienaturalnego — jak np. to się z Ujejskim zdarzyło, kiedy chwycił piorunną gęśl Jeremiaszową — i nazwał się Jeremiaszem, kiedy był zaledwo uczniem jego,—Zaleski tymczasem nie jako prorok, lecz jak kapłan, staje przed obliczem Stwórcy. A czyż taka misya była dlań zbyt wysoką, wszak nie od teraz modlił o łaskę i odpuszczenie grzechów dla współbraci, wszak nie od dzisiaj był prawdziwym kapłanem:

„Panie! skłoń ucho na moje wołanie,
Albowiem, jako Hiob jestem, Panie!

Błyskawicowy jeden promień prawdy
Przeraził duszę nawskroś i nazawdy:
Łez mi nie staje, a gdyby i stało,
Na opłakanie grzechów mych zamało,
Ni lud mój, ni ja niegodniśmy cudu,
Ale, o Panie, nie karz mego ludu".

A czyż nie uczuje tu każdy téj wiary głębokiéj, z jaką te słowa wypowiadał Zaleski, czyż nie tchnie ona z każdego wiersza, z każdego zdania, czyż nie przemówi każdemu do serca to rzewne uczucie, posiadające jednakowoż wielką moc i siłę i potęgę myśli? Pokorą i Bożą mądrością i bojaźnią żywił poeta swoje chore serce, choć „setki pokoleń jak morskie bałwany grzmią i szturmują"—toż błagał dla nich o zbroję przeciwko złemu i o „łaski wiekuiste". Jak Krasiński—woła i nasz poeta: „Wszystko nam dałeś"... więc dziękuje Bogu „za wiarę niezłomną", za miłość i nadzieję tę, „co na wieczność stanie". A jak gorące uczucie tchnie znowu z tego wiersza, w którym poeta skarży się na swoją niedolę, jaką cierpi tak już długie lata, kiedy mu urągają bluźnierczém słowem, że aż w łonie serce mu zwiędło, że „wszelkie dobro postradał"—prócz wiary. Teraz—skarży się „wszystka moc moja dawna wyszła ze mnie", teraz mnie ciemność wokoło zalega: i dał mu Pan „przenikliwość oka", że strzegł się od grzechu, dał lutnię złotostruną, na któréj mógł grać pieśni roje—„pomimo ciągłych szyderstw, obelg świata"... Spowiedź więc niejako tutaj w tym utworze uczynił Zaleski całego swego życia, wypowiedział cały swój żal i troskę, ból i nadzieję, a utwór ten bezsprzecznie posiada w sobie wiele szczerego uczucia, wiele prostodusznych wyznań, wiele wreszcie prawdy, która zresztą cechowała wszystkie myśli poety, o czém tak pięknie sam mówi we wspomnianym wierszu:

„Odkąd pieśń pierwszą z serca wyjąknąłem,
Jakbyś nawiedził sam lepiankę lichą,
Wiarę i wolność uwielbiłem społem:
Nie nadymałem się światową pychą,
Lecz po anielsku Panu biłem czołem".

Nie inne wyznanie słyszymy nieco daléj („Dzieła pośmiertne" I. 78), kiedy poeta powiada, iż „wiarą, miłością, nadzieją od młodu" rósł i z nią się zestarzał, strzegąc tych cnót w całém życiu swojém, „jako źrenicy oka", bo, jak mówi w utworze, p. t. „W nieskończonościach", kiedy wzrok obróci na ziemię, swe „nicestwo widzi jak na dłoni". A strzegł cnót tych Zaleski, gdyż „Każdy wieszcz" pokorą zyskuje moc natchnienia, „że czasem buja o skrzydłach poczwór-

nych jak seraf"... bo na strunach lutni jego gra anioł biały, bo mu są dane „widzenia wielkie wskroś otchłani"...

Również i w utworze, p. t. „Nowy pański wyznawca", i w „Bożym chorążym", poświęconym „kochanemu ks. Hieronimowi Kajsiewiczowi ku dobréj otusze w powszednich przykrościach", drga toż samo uczucie, to samo natchnienie, chociaż już nie z taką siłą słowa, jak w poprzednich „Modlitwach", z których niestety wiele pozostało niedokończonych. Nawet i w wierszach, których myślą przewodnią żal i tęsknota za ziemią rodzinną, słychać odgłosy téj struny, bo i teraz objawia się to drugie uczucie, aczkolwiek w innéj ono występują formie. A tętnią oba te uczucia w utworze, p. t. „Dzisiejszość", gdzie słyszymy z ust naszego poety taką strofę nakoniec:

„Wiaro, piastunko moja białoskrzydła!
Wiedź na pokoje mnie swe kryształowe,
Krzyżem odżegnaj dawnych win straszydła,
O twe kolana pozwól oprzeć głowę;
Chwilkę niech jeszcze patrzę w słońce jasne,
Zanim zapadnie za chmury—i zasnę".

Nigdzie jednakowoż nie uwydatniła się owa tęsknota tak dobitnie i wyraźnie, tak szczerze i rzewnie, jak w dumce zaczynającéj się od słów: „Héj, héj ojcze atamanie!", bo żal serdeczny bije z każdéj strofki, że „Ukraina śpi w najlepsze i wiatr usnął na kurhanie"... Słyszymy nadto w utworze tym, napisanym z wielkiém zacięciem kozackiém i dobrze odtwarzającym ducha ludowéj piosenki, iż chociaż ciągle jeszcze

„Z nad burzanu, z nad limanu,
Przyśpiewuje ptactwo pięknie,
Lecz zerwana nie zadźwięknie
Złota struna teorbanu".

Raz jeszcze odezwała się ta nuta żalu za Ukrainą w utworze p. t. „Ongi a dzisiaj", gdzie poeta rozpamiętywa owe zarania swojéj młodości chwile, „gdy stepową nutą karmił się, a ona rozlewała się w symfonię ptasząt", w „niepoliczone dźwięki", kiedy „w dumki a szumki" wcielił swoją ukochaną ziemię, a dumki te ocierały mu „łzy z oczu". I przypomniał sobie poeta tę chwilę, w któréj „kwiatu paproci szukał na cuda", kiedy mu do wtóru pieśni huczał stary Dniepr, i „ojców mogiły żywemi głosy" grały wielki hymn: dziś— zlodowaciało nawet już serce... Dźwięczy téż poniekąd ta nuta i w „Próbkach rytmicznych", bo wspomniał sobie Zaleski starego Bojana, przypomniał te czasy, kiedy przyszedł „piosnki z nad Dnie-

pru piać u Wisły", gdzie uległ wdziękom prześlicznéj Laszki, by „głosy z pod mogił, wiatrów szumy, rozmowy ptactwa, kwiatów, ziół" nizać na wstęgę różnobarwną, kraśną swojéj lubéj, tęsknéj dumy—płaczki stepowéj.

„Dąb namogilny" znowu—to przypomnienie dawnych lat spędzonych wespół z nieodstępnym druhem, Goszczyńskim. Bezwątpienia owo porównanie przyjaciela swojego z „dębem kościotrupem mszystym" wybornie udało się Zaleskiemu: stoi dąb wśród „wycia groźnéj zawieruchy"—śni sen tajemniczy „lat minionych dziwy", a czyż to nie wierny obraz poety, który na starość zamilkł po ciężkich trudach i znojnych pracach? Przypomniał sobie Zaleski „milsze czasy", kiedy „przędząc mgłę cieniuchną" leżał w objęciach przyjaciela, kiedy przy nim całe mnóstwo dumek, pieśni stworzył. Lecz niebawem „zaszumiały gradobicia"—i obaj towarzysze musieli rozejść się w różne drogi w świat. Tak samo przypomnienia lat dawnych skłoniły Zaleskiego do napisania utworu, p. t. „Żuraw".

„A ileż lat, ile? bywało za wzrokiem
W stepowych bezbrzeżach—pod niebem wysokiem
Lubuję się w sercu wesoło!
Bezbrzeża tam nęcą zielenią i ciszą,
Podniebia przepychem błękitów—co wiszą
I złocą się słońcem wokoło".

I zagrzewała poetę pieśń i sprowadzała nań rajskie widziadła. A teraz?—„i ciasno, i mgławo, i łzawo"—bo więcéj nie huczy Dniepr po porohach, bo znikły limany, mogiły. Pod wpływem wspomnień—powstał również i utwór, p. t. „W zmierzchu dnia", kiedy poecie stanęły przed oczyma „szały, zachwyty, ukochania" i długi szereg braci po pieśni, jak nie mniéj i „Wstęp do powieści",—bo tutaj przypomnieli się Zaleskiemu jego rówieśnicy, którzy „przeciągłéj wtórowali pieśni",—a dziś go odbiegli, odlecieli daleko. A on, chociaż sam pozostał, „pomimo smutków śpiewać jednak" musi, gdyż „w ciele wątłém pieśnianą duszę" więzi—za grzechy ojców, dlatego téż teraz jest „ich głosem na krzyżowéj drodze".

Coraz to częściéj nasuwała się téż naszemu poecie myśl o niedalekim zgonie, z utworów to widać dokładnie, iż nieraz tracił czas na takich rozmyślaniach, a echa ich odzywają się w wielu utworach. I tak w „Rannym ptaszku" przeprowadza Zaleski porównanie lat młodości swojéj ze starością, a raczéj modlitwy, jaką mówił w dzieciństwie,—a teraz: za młodu „byle brzask w izbie zabielił na ściany", już wstawał i jąkał „dziecinne pacierze", a późniéj w dobie mło-

dzieńczéj „choć rano wstawał, modlił się już mało", bo myśli w inną leciały stronę i one to stworzyły „bożki i boginki w głazie, które uwielbiał młodocianym szałem". A dziś?—wzlatuje modlitwą do Pana, kiedy „anioł nieraz stoi" nad nim i chwali Stwórcę „w cudnym swoim hymnie", które poeta późniéj wprowadza do swéj pieśni, bo serce, dusza przesiąka temi tony na wskroś aż do saméj głębi. A przecież miewał częstokroć godzinę smutku, jak to widać z utworu, p. t. „Z dumań starca", a żal ten go ogarniał zawsze i czynił duszę smutną bez miary, kiedy ziarno zasiane przezeń ginęło niepowrotnie. I nie mógł już rozprzestrzenić tak swoich uczuć („Kochać i śpiewać"), jak to dawniéj czynił,—nie mógł kochać całém sercem, bo nie miał wiecznéj wiosny;—nie mógł pełną śpiewać piersią, bo niebo się nad nim zamgliło, bo cień i chłód zaległ głębie duszy. Spowiadał się tedy poeta ze wszystkich swoich bólów i zawodów, pragnień i nadziei, a spowiedź tę czynił z rzewném uczuciem i szczerém, jakgdyby w skrytości serca rozmowę ze sobą samym prowadził, pieśń jednakowoż nie szła mu już z taką śpiewnością jak dawniéj, nie szła sama z piersi, lecz powstawała w umyśle pośród długich rozmyślań, na jakich teraz stary poeta tracił nie jedną godzinę. Syntezą zaś niejako wszystkich uczuć jego—jest utwór—dominujący ponad inne potęgą myśli—p. n. „Niewyśpiewana".

Od czasu téż do czasu chwytał poeta drobne swoje uwagi, jakie mu się nasuwały, i przenosił na papier w formie rymowanych najczęściéj dwuwierszy „Pyłków", coś jakby w rodzaju jambów greckich. Nie nowy to rodzaj poezyi, już dawniéj rozpatrywaliśmy owe wierszyki,—jak dawniéj téż tak i w obecnie pisanych—brak widoczny świeżych myśli lub trafnych a bystrych spostrzeżeń i poglądów, nie godzi się jednakowoż pominąć milczeniem zdań Zaleskiego o poezyi i poetach, które stosunkowo najlepiéj się jeszcze udawały: mamy więc tu jakby dalekie echo dawniejszéj myśli, iż poeta dopiéro po zgonie zyskuje całe mnóstwo wielbicieli,—za życia bowiem, chociaż nosi wieniec, to przecież on jest „najczęściéj z pokrzywy" uwity. Wiele też prawdy zawiera „Gmach piśmiennictwa", gdzie Zaleski mówi o tych karłach, co chcą poprawiać budowę wystawioną przez wielkich poetów, a i „Podrzeźniacz" mieści w sobie trafną uwagę tyczącą się stosunku nizkiéj wiary poetów do mistrzów słowa, tytanów pieśni. Na baczną nadto uwagę zasługuje ze wszech miar dwuwiersz, p. t. „Do L. M.", gdzie Zaleski powiada, iż

„Nie metody, wywody o sztuce najszersze,
Spróbuj się ze Słowackim, napisz lepsze wiersze".

Bez trudu tutaj każdemu wpadnie w oko ta różnica sądu o Słowackim, którego dawniéj niejednokrotnie nasz poeta ostro oceniał, nazywając go „biednym mierzyną“, knotem, który błyszczy byrońskiém światełkiem. Czy jednak popadł może przez takie zdanie, a raczéj przez te dwa różne zdania Zaleski w sprzeczność, czy może teraz odmienił swój pogląd na wartość poezyi Słowackiego? Nie. Mimo różnicy napozór tych dwu zdań, wielka przecież pomiędzy niemi panuje zgodność: dawniéj bowiem mowa była o myśli zawartéj w utworach, któréj to myśli szukał nasz poeta i nie mógł odnaleźć, o formie ni słówkiem nie wspomniał,—tutaj zaś wypowiada jedynie zdanie o artystycznéj stronie dzieł Słowackiego, która rzeczywiście doprowadzoną była do możliwéj misterności w wykonaniu, i to wskazuje, iż w sądach o twórcy „Beniowskiego“—nie powodował się Zaleski nawet zaczepką uczynioną w wspomnianym poemacie, iż sąd jego nie był stronniczym.

Z reszty „Pyłków“ dwa jedynie zasługują na wzmiankę, gdyż zawierają materyał do wyjaśnienia pewnych faz twórczości naszego poety: jednym—„Samotność“, gdzie Zaleski tłómaczy to długie swoje odosobnienie od ludzi tém, że „sam na sam z pieśnią“ długie lata pędził szczęśliwie i nigdy do światowego nie zatęsknił gwaru, drugim—wierszyk p. t. „Niestety“, w którym słyszymy usprawiedliwienie, co skłania poetę do pisania „dumy, dumki“ i choć im nie rad—jednak pisać musi.

O wierszach pisanych rusko-ukraińską mową, a zebranych w pośmiertném wydaniu pod ogólnym tytułem „Ukraińszczyzna“—trudno więcéj po nad to powiedzieć, iż są zbyt słabe, a w dodatku pisane urywkami niedokończonemi, a urywającemi się najczęściéj na jednéj zwrotce. Wszystkie one tętnią nawskroś tęsknotą za krajem rodzinnym jakotéż odgłosem nieraz dość wyraźnym pieśni ludowéj, którą poeta nasz parafrazował mniéj lub więcéj dosłownie. Z przykrością wreszcie przychodzi nam tutaj zaznaczyć, iż wydane zostały te utwory, a była ich bardzo szczupła liczba, z wielkiém niedbalstwem, niedokładnością, błędów zaś językowych w nich taka ilość, że niemal w każdym wierszu można je co słowo spotkać, a przecież, jeśli drukuje się jakąś rzecz, chociażby nawet najsłabszą, z pietyzmu dla jéj twórcy, to powinno się wydać ją poprawnie i starannie, a nie w ten sposób, w jaki tutaj uczyniono.

„Step—step bezbrzeżny znowu mnie okola,
I mogił na nim piętrzy się bez liku,
Za pokoleniem bratniem schodzę z pola.
Żegnam swój zachód słońca w mogilniku“

Zdarzało się Zaleskiemu—iż to widzenie stoi przed oczyma jakgdyby na jawie, kiedy w istocie pisaném mu było zejść z pola, które obsiewał obficie rojem pieśniowéj melodyi, bo wokoło stała się niema jakaś cisza i ścieżki porosły burzanem. I w marzeniach swoich zatapiał wzrok w niebiosach, które mu na skroń prószyły „bieluchnym puchem kwiecia“,—w podeszłym wieku roił już tylko o „obiecanéj innéj, milszéj wiośnie“, bo jak to sam najwyraźniéj rzekł w „Niewyśpiewanéj“ doba taka natchnienia mu nie mogła przynieść. Kiedyś w zaraniu młodości był tęsknym słowikiem, co śpiewał „miłości szały i boleści szały, smutki zaznane i smutki przeczute“, gdy wtém w chwili, w któréj winien był na ton inny nastroić swą lutnię,—pośród nadziei skostniały mu ręce:

„Śniłem przez cały wiek wojenne gody,
Wyczekiwałem wielkiego hetmana
I czekam stary, jakem czekał młody,
Duma dum moich—ach! niewyśpiewana“.

A ta duma niewyśpiewana „żywa, wiecowy dzwon po Bojanie“, drgała żywot cały w jego sercu i duszy, choć on jéj nie zdołał wyśpiewać téj swojéj ukochanéj, wymarzonéj dumy, choć tak silnie w jéj poczęcie wierzył, dziś musi ją pożegnać na wieki, bo kiedy od krzyża zabłyśnie jasne znamię—pierś jego nie będzie już zdolna do śpiewu,—on pójdzie za braćmi po lutni w inny, lepszy kraj.

Z dniem każdym ubywało naszemu poecie siły żywotnéj, i wzrok i słuch tępiały, pozostał sam jeden z całego ongi licznego grona twórców szkoły romantycznej u nas, wszyscy zalegli mogiłę. Toż nie dziw, że usta milczały, że nie mogły wydać pieśni, kiedy w tém ostatniém dwudziestoleciu tyle klęsk i nieszczęść rodzinnych morderczym ciosem godziło w serce poety—i Józef Zaleski i żona—opuścili go na zawsze. Widać tedy w tych latach starości wielkie przygnębienie, wielką boleść po wielu stratach, z piersi jednak starca nie wydarło się nigdy łkanie rozpaczne, nigdy nie rzucił on pytania—za co go te ciosy spotykają, dlaczego Bóg żąda od niego téj ofiary. Widać z utworów Zaleskiego wielki ból, lecz równocześnie objawia się w nich silniejsza od bólu wiara, wiara gorąca trwała w miłosierdzie i łaskę Bożą, a wiara ta wzmacnia go na siłach, krzepi w nieszczęściu i dodaje wytrwałości do walki dalszéj—na przyszłość. I nic nie jest w stanie pozbawić go jéj—on zrósł się z nią tak, że bez niéj żyćby nie mógł, celu by mu zabrakło, zabrakło i siły żywotnéj—gdyby mu wydarto to jedno uczucie—on istnieć by przestał. Z poddaniem więc słucha woli Bożéj—jak kapłan

w szczęściu błaga Stwórcę o oddalenie zagniewanéj ręki... To też kiedy go ogarnęła nieraz tęsknota za lubą stroną, wnet przychodziło z pomocą owo uczucie religijne, by starca jak dziecię z płaczu utulić.

Że okres ten twórczości, aczkolwiek długi—nie wydał wiele, nie stworzył nawet tyle, ileby zajęła połowa utworów poprzedniego dwudziestopięciolecia, to całkiem jasne i naturalne i chyba nie potrzebuje więcéj objaśnień, dlaczego wszelakoż rzeczy teraz napisane grzeszą niekiedy pod wielu względami? Wyczerpało się było natchnienie już dawniéj niemal że do dna, trudno tedy żądać nowéj myśli, świeżego poglądu, śmiało nawet rzec można, iż Zaleski, jeśli pisał co teraz, to czynił jedynie z przyzwyczajenia, nie z popędu wrodzonego, a pisał tylko dla siebie—jedynie i wyłącznie, a nie dla ogółu. Niepodobna mu było starać się o formę taką, jaką posiadał dawniéj, kiedy los go złamał i podciął. A przecież mimo tego zdarzają się często pośród utworów tego okresu—rzeczy lśniące wielką potęgą i mocą uczucia i słowa, przepyszną budową zwrotki, rymów i rytmów, że nie ustępują w niczém dawniejszym, wolnym zupełnie od zarzutu wierszom, i robią na nas niestarte wrażenie chwytając każdego za serce i wiążąc je do siebie, w hymnach a raczéj modlitwach—świeżość myśli podniosłych zadziwia i porywa. Ostatnie to już jednak przebłyski talentu, który tyle stworzył—i byłby jeszcze tworzył, gdyby śmierć krzywdzicielka—nie była go wydarła. Dlaczego zaś twórczość poety tak małe w ostatnich latach wydała owoce, o tém sam mówi w wierszu, p. t. „Dzisiejszość“, a mówi całkiem jasno i wyraźnie:

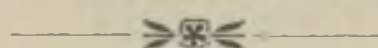
„Dusza mi w łonie na śmierć się osmutnia,
Zapał już czucia z umem w rytm nie skleja,
W rozstroju ludzkość—i w rozstroju lutnia,
Bo z wiarą—tęchną miłość i nadzieja“.

Stanisław Zdziarski.



BUDŻET PAŃSTWA

na 1899 rok.



Ogłaszany na początku każdego roku budżet Cesarstwa Rosyjskiego zwraca zawsze na siebie uwagę z dwóch przyczyn. Jest to przedewszystkiem szereg cyfr, odzwierciadlających finansowy stan państwa, w których wyraża się z mniejszą lub większą dokładnością administracyjna działalność wszystkich jego organów. Cyfry budżetu, wskazując zmniejszanie lub zwiększanie się pewnych rodzajów dochodów i rozchodów, pozwalają przytém wnioskować o wzrastaniu lub zmniejszaniu się pewnych potrzeb i pewnych sfer działalności ekonomicznéj narodu,—a tém samém, pod niektóremi względami, są odbiciem ekonomicznego życia samego społeczeństwa.

Po za tém jednak budżet państwa wywołuje jeszcze zainteresowanie się ogółu tém, że razem z nim ogłaszany bywa najpoddanniejszy raport ministra finansów, składany Monarsze przy przedstawieniu na Jego zatwierdzenie budżetu.

Raport ten dotyczy zwykle najżywotniejszych kwestyi ekonomiczno-finansowych życia państwowego i albo wyjaśnia rezultaty reform i rozporządzeń prawodawczych już dokonanych, albo jest zapowiedzią praw mających być wydanemi. W najpoddanniejszych raportach lat ostatnich, kwestya uporządkowania waluty zajmowała niewątpliwie miejsce naczelne. W raporcie tegorocznym obok wyjaśnień, dotyczących działania zarządzeń co do reformy waluty i mo-

nopolu sprzedaży napojów—podniesioną została kwestya jeszcze żywotniejsza, jeszcze ważniejsza — kwestya stosunków prawnych śród ludnosci włościanskiéj; kwestya zasadniczych podstaw bytu ekonomicznego 80 % obywateli państwa. Dlatego téż tegoroczny budżet i tegoroczny raport wywołały niezwykłe zainteresowanie śród inteligencyi i prasy w całém państwie i zachęcają nas do zaznajomienia naszych czytelników z treścią obu tych pierwszorzędnego znaczenia dokumentów.

I.

Ogólna suma zwyczajnych dochodów budżetowych w ciągu ostatnich lat (z wyjątkiem jednego roku nieurodzaju 1891) wzrastała stale, średnio o 5%. Wzrost ten w pojedynczych latach wyraża się w następującym szeregu cyfr [1]).

rok	suma dochodów zwyczajnych	% wzrostu lub zmniejszenia w porównaniu z rokiem poprzednim
1888	873,560,748	
1889	914,526,821	+ 4,8
1890	933,379,144	+ 2,
1891	890,545,476	— 4,6
1892	964,687,095	+ 8,3
1893	1,031,489,740	+ 7
1894	1,145,352,364	+ 11
1895	1,244,362.202	+ 8,1
1896	1,368,719,351	+ 10
1897	1,416,386,096	+ 3,5

Na lata 1898 i 1899 zamierzenia budżetowe przewidują dochodów zwyczajnych państwa:

na r. 1898 Rb. 1,364,458,217
„ 1899 Rb. 1,469,128,203

Przy normalnym wzroście o 5% rocznie, i opierając się na dochodzie rzeczywistym ostatniego roku, którego rachunki już zamknięto, t. j. roku 1897, suma zwyczajnych dochodów państwa mogła być obliczoną na (+ 10%) 1,558 milionów rubli. Przewidywania budżetowe ustanawiają cyfrę tę na 1,469 milionów, która stanowi 168% sumy dochodów zwyczajnych za rok 1888. Wzrost

---

[1]) *Bulletin Russe de Statistique et de legislation*, 1898, zeszyt 7—9 str. 495.

pojedynczych tytułów dochodu państwa — wykazują poniższe cyfry:

	Rok 1888	Rok 1889	Procent wzrostu lub zmniejszenia
I. Podatki bezpośrednie	84,087,771	113,554,631	+ 33,8
II. Podatki pośrednie	438,019,024	591,374,700	+ 35
III. Opłaty	57,094,257	75,807,757	+ 32,8
IV. Monopole (regalia)	31,230,483	145,016,800	+ 367
V. Dobra i przedsiębiorstwa państwowe	86,238,269	396,307,398	+ 359
VI. Sprzedaż dóbr państwowych . .	919,881	902,302	— 2
VII. Wykup gruntów włościańskich . .	95,124,579	77,694,000	— 18,3
VIII. Zwrot wydatków	68,077,945	62,827,019	— 7,7
IX. Różne dochody	12,768,539	5,643,596	— 55,8

W porównaniu tém zarysowują się wyraźnie trzy grupy dochodów państwowych, różniące się tak naturą swą, jak i procentem wzrostu. Trzy pierwsze tytuły: podatki bezpośrednie, pośrednie i opłaty, stanowią podstawę dochodów każdego państwa cywilizowanego; wzrosły one wciągu ostatnich lat 11-tu o 32 do 35%; monopole i dobra państwowe stanowią drugą grupę dochodów, któréj wielki wzrost wskazuje widocznie na włączenie do budżetu obrotów budżetem 1888 r. nie objętych; nakoniec cztery ostatnie tytuły dochodów — są, nie wyłączając wpływu za wykup gruntów włościańskich, przeważnie zwrotami wydatków, przez skarb poniesionych, lub ponoszonych, i zmniejszenie się ich albo właściwie żadnego znaczenia nie posiada, albo téż jest pośredniém powiększeniem się wydatków państwa.

Z całéj téj trzeciéj grupy wpływów, jeden tylko tytuł VII zasługuje na objaśnienie. Wpływy od włościan za grunta nadane im przy oswobodzeniu obliczono na 77,694,000 t. j. na 18,3% mniéj, niż w roku 1888—a w porównaniu z zamierzeniami budżetowemi na rok 1898 (których wpływ ten obliczono na 80,558,300 rb.) mniéj o 3,6%. Do pozycyi téj wrócimy późniéj, tu tylko zaznaczymy, że tytuł VIII „Zwroty wydatków" zawiera w sobie obowiązkowe wpływy od dróg żelaznych nie rządowych, zwrot pożyczek, dochody z różnych źródeł i z kontrybucyi wojennéj (tureckiéj).

Czwarty i piąty tytuł budżetu: monopole i dochód z dóbr i przedsiębiorstw państwowych powiększyły się od 1888 r. przeszło czterykroć w skutek włączenia do budżetu państwa budżetów rządowych dróg żelaznych (tyt. V) i zaprowadzenia monopolu sprzedaży trunków (tyt. IV).

W 1888 r. dochód *brutto* z dróg żelaznych rządowych wynosił 22,330,307 rb.; w budżecie 1899 obliczono wpływ z tego tytułu na sumę 311,791,260. Jednocześnie w wydatkach państwa koszta eksploatacyi dróg żelaznych rządowych wzrosły z 15,572,419 rb. do 207,360,888 rb., a wydatki na ulepszenia linii i powiększenie taboru: z 13,821,700 rubli w 1888 r., do 43,767,471 rb. w 1899.—Cyfry te dowodzą najprzód, że w 1888 r. państwo nietylko że nie miało żadnego czystego dochodu z dróg żelaznych skarbowych, ale nawet dopłaciło do nich 7,063,812 r. — zaś w 1899 przewiduje się dochód *brutto* 104,430,372, a po potrąceniu wydatków na ulepszenia, dochód czysty 60,662,901 rb. Obliczenie, ile kosztują skarb drogi żelazne, będące jego własnością, i jaka jest ich dziś wartość rzeczywista, jest niesłychanie trudne. Z jednéj strony wiele obligacyi emitowanych przy budowie dróg żelaznych, wypuszczone były po 80, 63 a nawet i 54% ich nominalnéj wartości; z drugiéj rząd wykładał ze środków budżetu na budowę nowych dróg, na ich poprawienie i powiększenie taboru nieraz znaczne sumy bez zaciągania nowych pożyczek;—wartość znów rzeczywista dróg, jako przedsiębiorstwa dającego dochody, także tylko w przebliżeniu może być obliczona.

Nie popełnimy jednak wielkiego błędu, jeśli idąc za urzędowém wydawnictwem statystyczném, z którego i inne czerpiemy cyfry—określimy sumę wydatków poniesionych przez rząd na wybudowanie i nabycie od towarzystw prywatnych dróg żelaznych, będących na 1 stycznia 1899 r. w posiadaniu skarbu na 2,800,000,000 rubli [1]). Źródło nasze, podając tę cyfrę, przypuszcza, że błąd w niéj zawarty nie dochodzi 10% całéj cyfry. W porównaniu z tą cyfrą dochód *brutto* z dróg żelaznych rządowych (104,430,372 rb.) stanowiłby 3,73%; dochód czysty (60,662,901 rb.) zaś stanowiłby 2,18% kosztów nabycia.

W długu państwowym suma pożyczek zaciągniętych na budowę i skup dróg żelaznych wynosi 2,552 $^2/_3$ milionów rubli [2]). Zauważymy przytém, że jakkolwiek nie obliczono tam, ile wynoszą procenty płacone przez skarb specyalnie od wyżéj wymienionych 2552$^2/_3$ milionów, to jednak wiemy z tego samego źródła, że procenty, jakie w d. 1 stycznia 1899 r. skarb państwa płacił od długów swoich, wynosiły średnio 3,96 a po potrąceniu podatku 3,86%. Na téj zasadzie wolno jest twierdzić, że wydatki skarbu z tytułu pożyczek zacią-

---

[1]) *Bulletin Russe*, 1898 № 7—9 str. 407.

[2]) l. c. str. 405—frcs. 6820 milionów, liczone 1 r.=2$^2/_3$ frcs.

gniętych na budowę i skup dróg żelaznych państwowych stanowią obecnie od (3,86%) 98,5 do (3,96%) 101,1 milionów rubli.

Ten sam tytuł V dochodów zawiera w sobie także wpływy od dróg żelaznych prywatnych—jako udział państwa w ich czystych dochodach. Wpływ ten w miarę powiększania się sieci dróg żelaznych państwowych musiał ulegać stałemu zmniejszaniu się. W 1888 wynosił on rubli 18,781,627—w 1899 r. przewidziano go w sumie 1,904,000 rb. Po wyłączeniu z V-go tytułu wpływów mających związek z drogami żelaznemi pozostałe pozycye wydatków rzeczywistych r. 1888 w porównaniu z zamierzeniami budżetowemi na rok 1899 przedstawiają wzrost następujący:

	Dochody rzeczywiste 1888 r.	Budżet na 1899 r.	Procent wzrostu
Cena dzierżawy dóbr i zakładów	12,363,335	15,115,391	22,3
Lasy	15,405,908	42,255,000	174,3
Fabryki i składy. , . .	8,646,897	12,928,038	49,5
Dochód z majątku ruchomego i zysk na operacyach bankow.	8,710,090	12,313,709	41,4
Razem	45,126,335	82,612,138	83%

Wzrost dochodów z całego tego tytułu za ostatnie lat 11 wynosi średnio 83%; najważniejszą pozycyą jest dochód z lasów państwa, który w ciągu lat ostatnich 12 wzrósł na 174,3% i stanowi więcéj, niż 50% dochodów z całego tytułu. Wzrost téj pozycyi dochodu dowodzi nietylko znakomitego wzrostu wartości drzewa, ale i dużéj poprawy w administracyi leśnéj, co jest tem ważniejsze, że wedle opinii sfer kompetentnych wzrastać będzie stale w przyszłości.

Do tytułu IV dochodów—monopole i regalia—włączony został od r. 1896 dochód ze sprzedaży alkoholu i wódki. Na 1899 r. dochód ten obliczono na 92,141,000 rubli. Pozostałe pozycye dochodu w porównaniu z rzeczywistemi wpływami 1888 r. wykazują następujący wzrost stosunkowy.

	Dochody rzeczywiste w 1888 r.	Budżet na 1899 r.	Wzrost w %
Podatek górniczy	2,227,063	4,032,000	81
Bicie monety	163,498	3,365,000	1952
Poczty	18,368,894	27,808,000	53
Telegrafy i telefony	10,471,028	17,670,000	69
Razem	31,230,483	52,875,000	70

Powiększenie się 20 razy dochodu z bicia monety pozostaje w ścisłym związku z wprowadzaną w życie reformą monetarną i po-

chodzi głównie z zysku na biciu monet srebrnych. Dochód z górnictwa wzrasta z rozwojem samego przemysłu górniczego w państwie, co się zaś tyczy dochodów z poczt, telegrafów i telefonów to ich wzrost rzeczywisty moglibyśmy obliczyć tylko po odtrąceniu wydatków ponoszonych przez państwo na ich utrzymanie. Wydatki te, a właściwie wydatki na utrzymanie linii i stacyj pomieszczone w oddziale wydatków ministeryum Spraw wewnętrznych, przewidziane są na r. 1899 w sumie 9,487,957—licząc w tém i wydatki na powiększenie linii telegraficznych i telefonicznych. W ten sposób dochód czysty państwa z regalii poczt, telegrafów i telefonów na rok 1899 ma wynieść sumę około 36 milionów rubli w czém jednak jeszcze mieszczą się wydatki na zarządy centralne. Porównania tych sum z dochodami i wydatkami za rok 1888—dla braku odpowiednich danych w naszém źródle dokonać nie możemy.

Nim przejdziemy do najważniejszéj części dochodów państwowych, zawartych w trzech pierwszych tytułach budżetu, musimy jeszcze raz wrócić do ogólnéj sumy zwyczajnych dochodów państwa.

Ogólna ich suma wynosi.		rb.	1,469,128,203
Odtrącając od tej sumy:			
dochód z dróg żel. rządowych	311,791,260		
„ „ „ prywatnych	1,904,000		
dochód ze sprzedaży spirytusu	92,141,000	rb.	405,836,260
otrzymamy sumę dochodów zwyczajnych na rok 1899		rb.	1,063,291,943
Dochody rzeczywiste za rok 1888 wynosiły . . .		rb.	873,560,748
a po potrąceniu dochodu z dróg żel. rząd.	rb. 22,330,307		
i od dróg żelaznych prywatnych	34,329,029	rb.	56,659,436
(sprzedaż rządowa spirytusu nie istniała wówczas) otrzymujemy ogół dochodów zwyczajnych państwa za rok 1888 w sumie		rb.	816,901,312

Z porównania tych dwóch sum wzrost dochodów państwa w szeregu lat 1888—1899 oblicza się na 30% i ten stosunek uważać należy za dokładniéj wyrażający istotny wzrost dowodów państwowych aniżeli stosunek 68% obliczony na podstawie porównania surowych sum ogólnych.

Trzy pierwsze tytuły dochodów państwa: podatki bezpośrednie, podatki pośrednie i opłaty, stanowią najważniejszą część dochodów. W porównaniu lat 1888 i 1899 stanowią one:

	1888 dochód rzeczywisty	1899 budżet	Procent wzrostu
Podatki bezpośrednie	rb. 84,087,771	113,554,631	33,8
Podatki pośrednie	„ 438,019,024	591,374,700	35,
Opłaty	„ 57,094,257	75,807,757	32,8
Razem rb.	579,201,052	780,737,088	34,8

Razem wzięte trzy te pozycye dochodu stanowiły w stosunku do ogółu dochodów państwa w 1888 roku 66,4% w 1899—53,2% a jeśli potrącimy z ogółu dochodów wpływy od dróg żelaznych i wpływ z monopolu sprzedaży spirytusu to stanowiły one w dochodach 1888 roku 71%, a w budżecie na 1899 rok 73,4%.

Stosunek wzajemny do siebie dochodu z trzech pierwszych tytułów wykazują następne cyfry procentowe:

	w 1888	w 1899
Podatki bezpośrednie	14,5	14,6
Podatki pośrednie	75,4	75,7
Opłaty	10	9,7
Razem	100	100

Stosunek wzajemny tych trzech źródeł dochodu w ciągu ostatnich lat 12 prawie żadnéj (ledwie w dziesiątych cyfrach procentu) nie uległ zmianie.

Zmiany zaszłe w ciągu lat 12 w ogólnych sumach dochodów z podatków bezpośrednich i w stosunku wzajemnym dochodów z różnych gatunków tych podatków wykazuje następne zestawienie:

	1888 dochód rzeczywisty sumy	%	1899 budżet sumy	%	wzrost w %
Podatki gruntowe i pogłówne	rb. 40,433,017	48	44,713,331	39,3	10,5
Podatki od handlu i przemysłu	„ 32,079,610	38	54,061,900	47,6	68,5
Podatki od kapitałów ruchomych	„ 11,574,744	14	14,799,400	13,1	27,7
Razem	rb. 84,087,771	100	113,554,631	100	33,8

Przy jednoczesnym wzroście wszystkich trzech pozycyi, przesuwanie się ciężaru podatkowego ze sfer rolniczych na sfery handlowo-przemysłowe jest bardzo wyraźne. W przyczyny tego kierunku wchodzić bliżéj nie będziemy, powołamy się tylko na to, cośmy powiedzieli w téj sprawie w „Ateneum“ w roku poprzednim [1]), mówiąc o nowym podatku przemysłowym.

[1]) „Ateneum“, rok 1898, t. IV, str. 57 — 85.

Kierunek ten stanie się nam tém widoczniejszy, jeśli się weźmie na uwagę tytuł VII dochodów państwa, podający wpływ od włościan za grunta oddane im przy uwolnieniu. Wpływy z tego tytułu wynosiły:

w r. 1888	rb. 95,124,579	w r. 1893	rb. 98,994,392
„ 1889	„ 94,592,025	„ 1894	„ 92,819,351
„ 1890	„ 90,725,457	„ 1895	„ 101,297,351
„ 1891	„ 70,781,196	„ 1896	„ 96,945,851
„ 1892	„ 77,088,234	„ 1897	„ 88,518,860

W zamierzeniach budżetowych na dwa lata ostatnie przewidziano:

1898 r.	rb. 80,558,300
1899 „	„ 77,694,000

Pozycya ta dochodu uległa zatém stanowczemu zmniejszeniu od 1888 r. o 17,430,579 rb., t. j. na 18,3%. W budżecie państwa wpływ z tego źródła ma znaczenie wpływu przechodniego, przeznaczonego na pokrycie procentów i na amortyzacyę t. zw. „Świadectw wykupowych (w Królestwie: listów likwidacyjnych) wydanych właścicielom gruntów oddanych włościanom. W ekonomii jednak włościańskiéj wydatek z tego tytułu nie różni się w niczém od właściwych podatków skarbowi płaconych i dlatego przy obliczeniu, czy i jakim zmianom uległo opodatkowanie rolnictwa w ciągu ostatnich lat 12, należy uwzględnić zarówno podatki gruntowe właściwe jak i wpływy, z tytułu wykupu, do kas państwa wnoszone.

Po włączeniu do tytułu podatków bezpośrednich całego dochodu za wykup gruntów podane wyżéj zestawienie wpływów z I tytułu ulegnie następującym zmianom.

	1888 rzeczyw. doch. suma	%	1899 budżet suma	%	Wzrost w %
Podatki gruntowe i wykup gruntów	135,557,596	75	122,407,331	64	— 10
Podatki od handlu i przemysłu	32,079,610	18	54,061,900	28,3	+ 68,5
Podatki od kapitałów ruchomych	11,574,744	7	14,779,400	7,7	+ 27,7
Razem	179,211,950	100	191,247,631	100	+ 6,3

Przy tém obliczeniu dochodów skarbu podatki bezpośrednie wzrosły w ciągu lat ostatnich tylko o 6,3%,—a podatki płacone przez rolnictwo zmniejszyły się o 10%.

Pornieszczone w tytule II-gim podatki pośrednie—inaczéj podatki od spożycia—stanowią dziś najpoważniejszą część wszystkich budżetów państwowych. W rzeczywistych dochodach Cesarstwa w r. 1888 stanowiły one sumę 428,019,024 rb. t. j. 50,1% ogólnéj sumy wpływów, a po odliczeniu z nich dochodów z dróg żelaznych państwowych—53,6% dochodów. W budżecie na 1899 wynoszą one sumę rb. 591,374,700; co stanowi 40,2% wszystkich zwyczajnych dochodów państwa—a 55,6% tychże dochodów po odliczeniu wpływu od skarbowych dróg żelaznych i z monopolu sprzedaży spirytusu.

Zestawienie zamierzeń budżetowych 1899 r. z rzeczywistemi wpływami za 1888 rok daje następujące rezultaty.

		1888		1899		
		sumy	%	sumy	%	wzrost w %
Napoje	rb.	265,115,759	60,5	270,820,000	45,2	2,1
Tytoń	„	28,130,359	6,4	35,350,000	5,8	26,6
Cukier	„	17,072,602	4	58,042,000	9,7	240
Nafta	„	6,607,779	1,5	23,551,500	3,8	257
Zapałki	„	2,712,410	0,5	7,011,200	1,2	195
Cła	„	118,380,115	27	196,600,000	34,3	66
Razem	rb.	438,019,024		591,374,700	100	35

Powyższe zestawienie wyjaśnia, że najgłówniejszy z podatków posrednich akcyza od trunków małemu tylko (2,1) zwiększeniu uległa. Gdybyśmy nawet dodali tu dochód z monopolu sprzedaży trunków rezultat nie uległ by wielkiéj zmianie.

Dochód z monopolu przewidziano w tytule IV dochodów na . .		rb. 92,141,000
W wydatkach jednak ministeryum finansów znajdujemy następujące pozycye:		
Koszta eksploatacyi monopolu.	rb. 79,099,811	
Wydatki na zaprowadzenie monopolu . . .	„ 8,750,000	rb. 87,849,811
Dochód więc czysty wynosi		rb. 4,291,189

Jeśli zaś za dochód z podatków od trunków przyjmiemy nie 270,820,000 ale sumę 275,111,189 rb. to jeszcze zwiększenie się dochodu z akcyzy od trunków za lat 11 wyniesie ledwie 4,5%, a więc znacznie mniéj niż procent średniego zwiększenia się wszystkich dochodów. Zmniejszanie się ciągłe znaczenia dochodu od akcyzy z trunków w budżecie państwa ujawnia się najwyraźniéj przy porównaniu stosunku między dochodem z tego tytułu a ogólną sumą dochodów zwyczajnych. W r. 1888 akcyza od trunków dawała skarbowi 265,115.759 rb. z ogólnéj sumy dochodów 873,560,748 rb. t. j.

30,3%. Na 1899 r. przewiduje się dochód 270,820,00 przy ogólnéj sumie dochodów zwyczajnych 1,469,128,203—t. j. 18,6%. Jeśli zaś z sumy dochodów zwyczajnych na 1899 r. wyłączymy dochód *brutto* z rządowych dróg żelaznych, wtedy akcyza od trunków stanowić będzie 23,4% ogółu zwyczajnych dochodów państwa.

Stałe zmniejszanie się stosunkowe dochodu z akcyzy od trunków pokrywa się w budżecie stałém zwiększaniem dochodów od innych gatunków akcyzy, w czém najpoważniejszą rolę gra akcyza od cukru. Zwiększenie jéj za ostatnie lat 11 stanowi sumę prawie 41 milionów rubli i 240% sumy za 1888 r. Dochód od tytoniu, cukru, nafty i zapałek wzrosł od 1888 roku z 54,5 na 123,0 milionów, t. j. o 69,4 milionów rubli. To zwiększenie się akcyzy wraz zwiększeniem się dochodów z ceł (78,3 m.) i podatku przemysłowego stanowi 172,937,129 rubli t. j. przeszło 80% ogólnego zwiększenia się podatków (pierwszych trzech tytułów budżetu) wynoszącego 201,536,036 rubli.

Trzeci tytuł budżetu—t. zw. opłaty, zawierają w sobie następujące pozycye, które podajemy wraz z odpowiedniemi cyframi dochodów za 1888 r.

	1888 r. dochód rzeczyw.	1899 r. budżet
Opłaty stemplowe	23,065,478	32,417,625
Stempel od nieruchomości .	14,028,190	21,563,000
Paszporty.	3,800,588	70,000
Podatek z dróg żelaznych .	8,708,875	10,500,000
Podatek od asekuracyi . .	3,566,026	3,200,000
Różne opłaty.	3,935,100	8,057,132
Razem rb.	57,094,257	75,807,757

Wzrost dochodu z opłat (o 32,8%) leży głównie w zwiększonym dochodzie od stempla, który w obu pozycyach stanowi 26,886,957 rb. i wykazuje zwiększenie się w porównaniu z 1888 r. o 72,5%. Zmniejszenie się opłat paszportowych do nieznacznéj sumy 70,000 rubli pozostaje w związku z reformą paszportową wprowadzoną w Cesarstwie od 1 stycznia 1898 roku.

W tytule dochodów nadzwyczajnych przewidziano tylko wpływ wkładów na wieczne czasy do Banku Państwa w sumie 4,000,000 rb.

Wydatki zwyczajne przewidziane na 1899 wynoszą sumę 1,442,659,627. W sumie téj mieszczą się i wydatki eksploatacyi państwowych dróg żelaznych na sumę 207,360,808, wydatki na ulepszenie tychże dróg i powiększenie taboru 43,767,471 rb. i wydatki na prowadzenie i zaprowadzenie monopolu sprzedaży napojów

(79,099,011 i 8,750,000 rb.). Dla porównania zamierzeń budżetowych 1899 r. z wydatkami 1888 r. musimy z budżetu pozycye te wyłączyć. Stosunkowa wysokość pojedyńczych tytułów wydatkowych i wzrost ich w procentach wyrażają niżéj podane cyfry.

	Wydatki 1888 r. suma rb.	%	Budżet 1899 r. suma rb.	%	Wzrost w %
Dług publiczny	259,435,616	32,1	270,238,086	24,5	8
Rada państwa Komitet Min. i Kancelarye osob. N. Pana.	2,147,093	0,3	2,880,621	0,2	34
Św. Synod	11,012,207	1,3	21,199,144	1,9	92
Ministeryum: Dworu	10,560,000	1,3	12,637,506	1,0	20
„ Spraw Zagran.	4,631,673	0,5	5,314,556	0,4	15
„ Wojny. . . .	212,885,018	26,3	323,791,710	29,3	52
„ Marynarki . .	40,914,889	5,6	83,065,000	7,6	103
„ Finansów . .	107,205,382	13,2	[3]) 145,532,077	13,1	36
„ Rolnictwa i Dóbr Państwa . . .	22.124,238	2,7	36,980.741	3,3	66
„ Spraw Wewn. .	71,908,288	8,9	82,145,703	7,4	14
„ Oświecenia . .	21,539,321	2,6	28,761,171	2,6	33
„ Dróg komunikacyi . . .	[1]) 17,572,295	2,1	[4]) 36,946,353	3,3	110
„ Sprawiedliwości	21,235,569	2,6	44,944,651	4,7	112
Kontrola Państwa, ...	3,330,788	0,4	7,459;627	0,6	124
Zarząd stadnin.	1,095,941	0,1	1,784.117	0,1	63
Razem .	[2])807,598,358	100	[5]) 1,103,681,063	100	37

Brak miejsca nie pozwala nam wchodzić w szczegółowe pozycye wydatków. Zaznaczymy tutaj tylko, że wzrost np. wydatków ministeryum sprawiedliwości ma swe źródło w przeniesieniu do wydatków tegoż ministeryum kosztów utrzymania więzień. Wzrost wydatków na ministeryum dóbr państwa pozostaje w związku z rozszerzeniem działalności tegoż ministeryum, przyczém nazwano go ministeryum rolnictwa i dóbr państwa. Nakoniec w budżecie pań-

[1]) W wydatkach 1888 r. 46,966,414 rb. w czem mieszczą się wydatki na drogi żelazne państwowe 29,394,119.

[2]) W wydatkach 1888 r. — 836,992,477 rubli, z których wyłączyliśmy 29,394,119 rb.

[3]) W budżecie 1899 r. 233,381,888 rb. w czem wydatków wywołanych monopolem 85,849,811 rb.

[4]) W budżecie na 1899 r. 288,074,712 rb. w czem wydatków na drogi żelazne państwowe 251,128,359 rb.

[5]) W budżecie 1,442,659,233 rb.

stwa wydatki na oświatę mieszczą się nietylko w wydatkach ministeryum oświecenia ale i w innych tytułach budżetu: w wydatkach Św. Synodu, ministeryów wojny, finansów, rolnictwa, spraw wewnętrznych i dróg komunikacyi.

Połowę powiększenia wydatków budżetowych pochłonęły wydatki ministeryów wojny i marynarki: objaw to zwykły w budżetach wszystkich państw europejskich. Zwiększenie wydatków na obronę kraju od 1888 r. stanowi 153 milionów rubli, a wydatki te, które wynosiły razem w 1888 r. do 32% ogółu wydatków, w budżecie na 1899 r. stanowią 37% budżetu. Wydatki ministeryum finansów w powyższém zestawieniu wzrosły o 36%; gdybyśmy uwzględnili wprowadzenie monopolu, wydatki tego ministeryum wynosiłyby 218% sumy wydatków 1888 r.

Nie możemy jeszcze pominąć milczeniem jednéj bardzo poważnéj cyfry. W sumie wydatków na procenty od długu państwa za 1888 r. mieści suma 61,207,165 rb. procentów od obligacyi dróg żelaznych. W budżecie 1899 r. odpowiednia suma nie jest wyraźnie oddzielona,—z danych jednak jakie posiadamy okazuje się ze już w wydatkach r. 1895 procenty od długu zaciągniętego na budowanie i skup dróg żelaznych wynosiły 101,212,204 rb., że zatém rozszerzenie sieci państwowych dróg żelaznych (dr. ż. syberyjska nie mieści sie w tém wcale), powiększyło wydatki na procenty od obligacyi państwowych prawie o 40 milionów rubli. Jeśli potrącimy tę cyfrę 40 milionów z ogółu wydatków wywołanych oprocentowaniem pożyczek państwowych, to okaże się, że wydatki te w ciągu lat 1888—1899 zmnîejszyły się z 259,4 do 240 milionów rubli t. j. prawie o 20,000,000 rubli. Jest to bezpośredni rezultat przeprowadzonych w ostatnich latach konwersyj długu państwowego.

Poniżéj przytaczamy zestawienie stosunkowych wydatków różnych państw europejskich na ważniejsze potrzeby państwa wzięte z Schönberg'a: *Handbuch der Politischen Oeconomie* (wyd. II tom III str. 56). Podług tych danych wydają, z ogółu budżetowych środków w procentach na:

	Prusy	Austrya	Włochy	Francya	W. Brytania
	procenty ogólnéj sumy wydatków				
Ogólne potrzeby państwa . . .	7,8	8,8	6,7	7,2	3
Procenty od długów	11	18	26,6	23,7	17
Finanse (pobór dochodów) . . .	31,5	21	10	7,2	7
Obronę kraju	12,5	12,3	16	17,5	19
Zarząd wewnętrzny . , . . .	10	7	8	5,3	15
Nauczanie i oświatę	10	6	4	9,6	6

	Prusy	Austrya	Włochy	Francya	W. Brytania
	procenty ogólnej sumy wydatków				
Drogi komunikacyi	5	3,8	8,6	9,2	5
Popieranie gospodarstwa krajow.	1,7	3,5	1	1,2	1
Różne wydatki, w tem wyznania	10,5	19,5	19,1	22	26

Grupując cyfry budżetu na 1899 rok w te same mniéj więcéj kategorye, otrzymujemy następujący rezultat:

Ogólne potrzeby państwa	1,6
Procenty od długów	24,5
Pobór dochodów	13,1
Obrona kraju	36,9
Zarząd wewnętrzny i wymiar sprawiedliwości	12,1
Oświata	2,6
Drogi komunikacyi	3,3
Popieranie gospodarstwa krajowego. . .	3,3
Różne—w tem wyznania	2,6

Wartość tego porównania jest tylko przybliżona ze względu na różnice w atrybucyach władz różnych ministeryów w różnych krajach.

Prócz wydatków normalnych objętych 15 tytułami budżetu i stanowiących ogólną sumę. . . . . rb. 1,442,659,233
budżet przewiduje jeszcze konieczność:
asygnowania dodatkowego:

na żywność i furaż dla armii w roku 1898	rb.	4,000,000
z tegoż tytułu na 1899 r.	„	4,000.000
na wydatki nieprzewidziane	„	12,000,000
Razem wydatków zwyczajnych .	rb.	1,462,659,233

Suma ta w w porównaniu z dochodami zwyczajnemi obliczonemi na 1,469,128,203 rb. daje przewyżki 6,468,970 rb.

W dziale wydatków nadzwyczajnych przewidziano następujące rozchody:

Budowa drogi żelaznéj Syberyjskiej	rb.	27,154,350		
Roboty dodatkowe przy tejże drodze	„	3,706,256		
Budowa innych dróg żelaznych	„	24,777,782		
Nabycie taboru dla dr. żel. rządowych	„	46,864,525		
Spłata przed terminem obligacyi dr. ż.	„	6,570,500	rb.	109,073,413
Razem wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych .			rb.	1,571,732,646

Na pokrycie tych wydatków skarb posiada:

Dochodów zwyczajnych . . .	rb.	1,469,128,203		
Dochodów nadzwyczajnych	„	4,000,000	rb.	1,473,128,203
brakujące			rb.	98,604,443

pokryte będą ze swobodnych sum skarbu państwa, t. j. z corocznych przewyżek dochodu ponad przewidywania budżetu.

II.

Najpoddanniejszy raport ministra finansów rozpoczyna się od zestawienia ogólnych cyfr dochodów i wydatków skarbu; objaśnia on daléj różnice pomiędzy budżetami na rok 1898 i 1899, przy czém omawia stan długów państwa na 1 stycznia 1899 r., zestawia ogólne rezultaty reformy waluty i zaprowadzenia w państwie monopolu sprzedaży napojów spirytusowych, a w końcu porusza sprawę ogólnego położenia ekonomicznego włościan w Cesarstwie.

W budżecie dochody państwa w r. 1899 obliczone są na 104,6 milionów rubli[1] więcéj niż w budżecie 1898 r. Najznaczniejszy udział w tém zwiększeniu zajmują cła, z których dochód przewidziano większy o 27,3 milionów rubli; daléj dochód z dróg żelaznych państwowych przewiduje zwiększenie o 30,3 mil., akcyza od spirytusu 10,4, monopol sprzedaży spirytusu 6,7 mil., z lasów 5,4. Z drugiéj strony wpływ z tytułu wykupu gruntów włościańskich ze względu na nieurodzaj 1898 r. zmniejszono w budżecie 1899 r. w porównaniu z budżetem roku poprzedniego o 2,9 a w porównaniu z budżetem 1897 r. o całe 10 milionów rubli.

Wydatki zwyczajne 1899 r. w porównaniu z takiemiż wydatkami 1898 r. powiększono w budżecie o 112,574,020 rubli. W sumie téj oprócz zwiększeń wydatków na armię (54,8mil. rb.) i marynarkę (15 mil. rb.) najwyższe sumy zwiększenia dotyczą budżetów: ministeryum dróg komunikacyi 23,4 mil. rb. (powiększenie ruchu na nowootwieranych drogach żelaznych); ministeryum finansów 22,1 (zaprowadzenia monopolu); oświaty 2,4,—sprawiedliwości 2,2,—spraw wewnętrznych 2,1,—rolnictwa 1,2 miliona i t. d.

Ogólna suma wydatków nadzwyczajnych — wywołanych wyłącznie przez potrzeby dróg żelaznych — stanowi 109,073,513 rubli. Z sumy téj 6,498,970 rubli pokrywają się przewyżką dochodów skarbu ponad wydatki zwyczajne; reszta 98,604,444 pokrytą zostanie ze swobodnych funduszów skarbu. Na 1 stycznia 1898 r. po zamknięciu rachunków budżetu 1897 r. suma tych swobodnych funduszów wynosiła 214 milionów rubli. W 1898 r. do sumy téj przybędzie 1) przewyżka dochodów po nad przewidywania budżetu 1898 r.—która to przewyżka w ciągu ubiegłych 11 miesięcy 1898 r. wynosiła 212,5 milionów rubli; 2) dochody nadzwyczajne

nioprzewidziane w budżecie 1898 r.—83,3 mil. i 3) kredyty wydatkowe nie zużyte w 1898 r. w sumie około 10 milonów rubli. Razem 520,5 milionów rubli. Z sumy téj już przeznaczono: na wydatki nadzwyczajne włączone do budżetu 1898 r. sumę 106,3 mil., na powiększenie floty wojennéj 90 mil. rb., na obwarowanie półwyspu Kuan-Tun 10,2 mil. rb., na wydatki wywołane nieurodzajem 1898 r. 35,2 mil. rb., na wycofanie obligów skarbowych i wykup przed terminem różnych obligacyi dr. żel., a także koszta konwersyi etc. 88,3 mil. rb., na zwrot Bankowi Państwa pożyczek udzielonych skarbowi 75 mil. rubli—razem, rozdysponowano 405 mil., pozostaje więc swobodnych 115,5 milionów rubli, które przewyższają sumę potrzebną na pokrycie wydatków nadzwyczajnych budżetu 1899 roku.

Raport zaznacza przytém, że mimo tak wielkich wydatków na wzmocnienie obrony kraju i na rozszerzenie sieci dróg żelaznych dług państwa w ciągu lat 12—od 1 stycznia 1887 do 1 stycznia 1899 r. wzrósł tylko 1,531 mil. rubli, z których 1,139 mil. użyte były na wykup dróg żelaznych z rąk towarzystw akcyjnych, a w tymże samym czasie rząd użył ze środków budżetowych jeszcze 425 milionów rubli na budowę nowych dróg żelaznych. Jednocześnie dług rządu Bankowi Państwa zmniejszył się o 439 mil. rb., tak że równowaga budżetowa była osiągana bez zaciągania nowych pożyczek.

Przechodząc do rezultatów ukończonéj w 1898 r. reformy waluty raport podaje następujące porównanie środków obiegowych w państwie w 1897 i 1888 r.

	Złoto		Srebro		Bilety kredytowe	
	w Banku Państwa, w kasach skarbu i u korespondentów zagranicznych	w obiegu	w Banku Państwa, w kasach skarbu i u korespondentów zagranicznych	w obiegu	w Banku Państwa i w kasach skarbu	w obiegu
	w milionach rubli					
w końcu 1897 roku	1,315	155	63	99	69	930
	1,470		162		999	
w końcu 1898 roku	1,146	445	48	142	41,8	683.2
	1,591		190		725	
w 1898						
zwiększenie	121		28		—	
zmniejszenie	—		—		274	

W 1897 r. z całéj sumy będącéj w obiegu rb. 1,184—było monety metalicznéj 254 mil. t. j. 21%; w 1898—z całéj sumy 1,270—monety metalicznéj 588 milionów t. j. 46%, sama zaś moneta złota stanowiła w 1897 r.—13%, w 1898—35% wszystkich środków obiegowych. Biorąc zaś na uwagę 65 milionów będącego w obiegu srebrnego i miedzianego bilonu: złoto stanowiło w 1897—12,2%, w 1898—33% środków obiegowych. Dane te nabierają jeszcze większéj doniosłości, jeśli zwrócimy uwagę na to, że w początkach 1896 r. złoto i srebro pełnowartościowe stanowiły ledwie 2% obiegu pieniężnego w kraju. Jednocześnie zapasy złota w Banku Państwa, które w 1897 r. stanowiły 141% wypuszczonych biletów kredytowych, w 1898 r. wzrosły do 168% sumy tychże biletów.

„Rezultaty te, mówi raport, osiągnięto w ciągu roku, którego druga połowa—z powodu wypadków politycznych i finansowych, jakie dały się uczuć całemu światu,—była wyjątkowo niekorzystna dla całości obrotów. Przesilenie to dowiodło faktami, jakie korzyści państwo osiągnęło już z reformy monetarnéj. Dawniéj—wypadki o wiele mniéj doniosłe pociągały za sobą, obniżenie wartości rubla i spadek kursu naszych papierów państwowych. Teraz niesłychane zmniejszenie kapitałów swobodnych na międzynarodowym rynku nie miało innego skutku, jak niewielkie podniesienie stopy dyskontowéj i procentu od kapitałów wypożyczanych".

Przechodząc do kwestyi monopolu sprzedaży spirytualii, raport kreśli historyę téj reformy, przypomina jéj motywy, podnosi wpływy na zdrowotność i moralność ludu i podaje niektóre ogólne rezultaty finansowe téj reformy. Najdłużéj monopol istnieje w 4 guberniach wschodnich: permskiéj, ufimskiéj, samarskiéj i orenburskiéj, w których został zaprowadzony od 1895 r.. W ciągu 3 lat 1895—1897 przy urodzajach nielepszych jak w poprzedniém trzechleciu 1892/4, ogół dochodów skarbu wzrosł do 61 milionów rubli—t. j. o 46,4% w porównaniu z trzechleciem 1892/4, w którém wynosił średnio rocznie 41 mil., wtedy, kiedy wzrost ten w pozostałych guberniach obliczył się średnio na 28,3%—a po odtrąceniu z ogółu dochodów wpływu z monopolu i z dróg żelaznych zwiększenia się wpływów z tych 4-ch gubernii wynosi 13,5%—wtedy kiedy dla pozostałéj części państwa wynosi tylko 10,7%. Wkłady do kas oszczędności w 4-ch tych guberniach od czasu zaprowadzenia monopolu zwiększają się silniéj niż w latach poprzednich. W 1893 r. dochód z akcyzy od trunków w 4-ch wymienionych guberniach wynosił 11,600,000 rubli, a z patentów na sprzedaż napojów spirytusowych 754,1000, razem 1,253,540,00 rubli. Dochód za trzechlecie 1895/7

powinien był zatém stanowić około 37 miljonów rubli, a przy uwzględnieniu wydatków wywołanych przez monopol: 37,700,000 rubli. W rzeczywistości wpływ z akcyzy i monopolu wynosił w r. 1895: 16,844,000,—w 1896—rb. 19,018,000,—w r. 1897 rb. 20,375,000,—razem 56,237,000 rb. Wszystko to dowodzi, że jakkolwiek w organizacyi monopolu są jeszcze niektóre szczegóły do poprawienia, w zasadzie—opiera się on jednak na racyonalnych zupełnie podstawach.

Chociaż urodzaj 1898 r. dla ogółu państwa okazał się lepszy od urodzaju 1897, a nawet lepszym od zwykłego średniego—mówi daléj raport—to jednak w niektórych okręgach państwa— w porzeczach Wołgi i Kamy niedobór ziarna był większy, niż w latach poprzednich i są miejscowości, w których zbiór nie zwrócił nawet siewu. Jednocześnie nieurodzaj siana i słomy dotknął te same okręgi. Ceny na ogół nie podniosły się anormalnie, tém więcéj, że w latach poprzednich były na ogół nizkie. Mimo to, dla okolic dotkniętych nieurodzajem rok 1898 jest rokiem klęski i rząd zmuszonym był asygnować dla walki z głodem sumę stosunkowo znaczną: 35,2 milionów rubli. Nie o tę sumę jednak idzie. „Daleko więcéj musi zwracać uwagę rządu ogólny stan ekonomiczny ludności rolnéj—stan, który wymaga asygnowania takich kredytów budżetowych". W produkcyi rolnéj kolejne następstwo złych i dobrych lat jest rzeczą zwykłą, normalną. Przy ekstensywnym systemie rolnym, który w Rosyi przeważa, systemie, który człowieka oddaje na łaskę sił żywiołowych i czyni go do walki z temi siłami niezdolnym,—następstwo kolejne obfitych urodzajów i nieurodzajów stanowi coś nie dającego się uniknąć, i dla tego téż wszelka działalność rolnicza musi być obrachowana na podstawie danych o średniéj produkcyjności ziemi w ciągu szeregu lat". Tak oblicza się rolnictwo w krajach, gdzie jest ono silnie zorganizowane, gdzie posiada zapasy i oszczędności, a wtedy nieurodzaj jest sprawą dotyczącą tylko rolnictwa.

Ale jeśli nieurodzaj jednego tylko roku w pewnych okręgach państwa wprowadza ludność rolną tych okręgów w położenie, z którego już bez pomocy państwa wyjść nie może, to stan taki musi zwracać na siebie uwagę sfer kierujących finansami państwa, bo „pomyślny stan finansów skarbu przy najlepszéj organizacyi polega ostatecznie na dobrobycie ludności".

Niepomyślny stan ekonomiczny ludności rolnéj, nie jest skutkiem wyłącznym ani przesilenia rolnego, ani systemu podatkowego, ani nizkiego stanu oświaty w kraju.

Co do przesilenia w rolnictwie, t. j. téj zniżki cen ziarna, jaka zapanowała w ostatnich latach na całym świecie, to na wpływ jego na gospodarstwa włościańskie w Rosyi—zdaniem raportu—nie można się zaptarywać ze stanowiska większéj własności ziemskiéj. Gospodarstwo włościańskie w Rosyi jest do dziś dnia gospodarstwem przeważnie naturalném, dla którego więcéj waży obfitość ziarna, niż wysoka jego cena. Spadek cen ziarna sam przez się nie tłómaczy niezadawalniającego stanu rolnictwa włościańskiego w Rosyi. „W ciągu ostatnich 30 do 40 lat, urodzaje bywały złe i dobre, ceny bywały i wysokie i nizkie i cokolwiekbyśmy sądzili o wpływie tych lub tamtych na gospodarstwo naszych włościan, to jedno wątpliwości nie ulega, że lata dobre nie dały im środków poprawienia stanu ekonomicznego i nabrania sił do walki w latach niekorzystnych”. Ogromna większość robotników, zajętych w handlu, rzemiosłach i przemyśle nie zerwała dotąd swego związku ze wsią,—wieś ciągle dostaje środki finansowe dodatkowe, zebrane pracą w innych sferach życia ekonomicznego, i jeśli mimo to stan ekonomiczny ludności wiejskiéj jest zły, to dowodzi, iż ten stan nie jest wyłącznie rezultatem warunków ekonomicznych rolnictwa.

Podatki gruntowe i wykup ziemi nie są téż przyczyną nędzy włościańskiéj; wynoszą one 1 r. 20 k. na głowę, a średnio na rodzinę 7 r. 20 k. Podatki ziemskie i gminne nie wynoszą więcéj, jak r. 2 k. 20; i wogóle podatki stanowią małą część włościańskiego budżetu. Być może, że w pewnych okolicach i dla pewnych rodzin podatki stanowią ciężar dotkliwy; na ogół są jednak tak niewielkie, że nie mogą być przyczyną zubożenia włościan. Najważniejszy z tych ciężarów: wypłata sum wykupowych nie powiększa się, ludność zaś rolna wzrasta ciągle. Daléj raport przytacza wszystkie ulgi w opodatkowaniu, jakie rząd dla włościan zaprowadził: ostateczne zniesienie pogłównego, opłat paszportowych, zmniejszenie rat wykupowych i cały szereg rozporządzeń o zniesieniu zaległości podatkowych i rozkładzie ich na raty a także o konwersyi całego obecnego długu ciążącego włościan z tego tytułu przy znacznym obniżeniu procentu. „Wobec tego, mówi raport, trudno jest przypuścić, aby podatki bezpośrednie ciążące na włościanach miały być przyczyną powstrzymującą naszych włościan — wolnych i hojnie obdarzonych ziemią—od ustalenia ich położenia ekonomicznego”.

Co się tyczy podatków pośrednich, to te z natury swéj nieobowiązkowéj nie mogły mieć téż takiego skutku. Można tu raczej zapytać się, dla czego włościanin robi nieprodukcyjny użytek ze szczupłych swych funduszów; „ale gdybyśmy znaleźli odpowiedź na

to pytanie, nie potrzebaby było szukać innéj głębszéj przyczyny wstrzymującéj rozwój ekonomiczny klas rolnych".

Nie słusznem by téż było twierdzenie, że przyczyną tą jest brak oświaty śród włościan. „Czytanie i pisanie mają bezwątpienia wpływ dobroczynny na dobrobyt ludności, ale nie stanowią jego wyłącznéj przyczyny". W końcu XVIII w. i w początkach wieku bieżącego, klasy włościańskie w Europie przyszły do zamożności, mimo to, że poziom ich oświaty nie był wyższy od tego, który dziś jest w Rosyi. Zkądinąd „w Rosyi nawet można widziéć, że postępy ekonomiczne, nawet znaczne, mogą miéć miejsce przy nizkim stopniu oświaty. Ten sam nieoświecony włościanin, jeśli raz, o tyle o ile stanie na innym gruncie, przerzuci się do rzemiosła, handlu lub przemysłu—dobija się stanowiska i rozwija przedsiębiorczość, którą bardzo rzadko spotkać można na wsiach śród ludności rolnéj.—Z tego powodu, jakkolwiek zbieg warunków ekonomicznych i poziom oświaty stanowią do pewnego stopnia przeszkody do ekonomicznego rozwoju naszych włościan,—nie ulega jednak wątpliwości, że obok tych przyczyn opóźniających rozwój, istnieje jeszcze inna, o wiele potężniejsza, która tkwi w saméj organizacyi życia ekonomicznego, w jéj najistotniejszych głębiach".

Przyczyny téj, mówi raport, szukać należy w nieokreślonym charakterze stosunków społecznych i własności włościańskiéj, z których płyną liczne zawikłania w sferze środków koniecznych co do kierunku gospodarstw indywidualnych racyonalnego przystosowania pracy ludzkiéj i środków produkcyi, i w nagromadzeniu oszczędności. Ten charakter nieokreślony stosunków wynika z braków, w prawodawstwie, dotyczącém mieszkańców wsi, a przedewszystkiém z nieodpowiedniości tego prawodawstwa do potrzeb stałego systemu prawnego. Prawo o urządzeniu włościan z 1861 r. pozostawiło wiele miejscowym zwyczajom". Ale zwyczaj jest często niepewny, wahający się i podatny do samowolnego zastosowania. „Jeśli weźmiemy pod uwagę, że na zwyczaju mają się opierać nie tylko szczegóły i pojedyncze wypadki, — ale nawet podstawa praw osobistych i praw własności włościanina, to nie można nie przyjść do wniosku, że zwyczaj, o ile nie jest ściśle ograniczony i kierowany zasadami określonemi przez ustawę, nie może stanowić podstawy pewnéj dla stosunków prywatnoprawnych w społeczeństwie dopiéro rozwijającém się". Zwyczaj ten jest często w sprzeczności z prawami pisanemi, które téż nie odpowiadają potrzebom ludności włościańskiéj. „Stąd zamieszanie w pojęciach prawnych ludu, zamie-

szanie powiększające się przez poglądy, jakie wytwarzają się w umysłach włościan w ciągu ich czasowego przebywania w miastach w atmosferze całkiem innego prawa. Po za tém, przejście do wojska znacznéj części dojrzałéj młodzieży wiejskiéj ma głęboki wpływ na wsie, chociażby tylko przez rozszerzenie umysłowego horyzontu włościanina”.

Wszystko to razem oddziaływa na „gospodarstwo” na „rodzinę” wiejską. Brak zasad normujących stosunki w gospodarstwie i rodzinie wywołuje często spory familijne i kłótnie; niepewność praw członka rodziny do majątku rodzinnego i niejasność jego obowiązków osłabia energię i produkcyjność pracy.

„Proste dopełnienia i zmiany nie byłyby w stanie zapełnić braków i poprawić niedostatków praw rządzących stosunkami włościańskiemi. Aby poprawić stan obecny, trzeba téj wielkiéj kwestyi zasad organizacyi gminy włościańskiéj spojrzéć wprost w oczy (*aborder de front*).—Od rozwiązania danego na te pytania zależy dalszy postęp prac prawodawczych, tak, że bez poprzedniego zreformowania warunków ogólnych bytu włościańskiego niemożliwém jest przedsiębranie zasadniczéj reformy podatków bezpośrednich, przypadających od włościan”.

Prace nad tą reformą są w biegu — ale przeprowadzoném bez reformy organizacyi gminy — nie usuną wad opodatkowania, które nie tylko nie są wywołane wymaganiami skarbu, ale są wprost jego interesom przeciwne.

„Prawodawstwo finansowe nie może być podstawą organizacyi gminy wiejskiéj, nie może przesądzać téj lub innéj zmiany w jéj urządzeniu; przeciwnie reforma prawodawstwa gminnego musi poprzedzać reformę podatkową”... Zaradzić brakowi ziemi, dać tani kredyt i otworzyć nowe rynki zbytu do gospodarstw włościańskich nie można inaczéj, jak po reformie zasadniczéj organizacyi gminy.

Prawodawca r. 1861 — mówi w końcu raport — miał przedewszystkiém na celu dać włościanom wolność osobistą i dostateczną ilość ziemi. Wobec tych dwóch tak ważnych zadań, przy redagowaniu prawa 1861, poświęcono mało uwagi organizacyi społecznéj i ekonomicznéj ludu wiejskiego, a zamiar stworzenia ustawy szczegółowéj, rządzącéj tą organizacyą odłożono na późniéj. Obecnie, mówi raport, nadszedł czas, aby zorganizować ostatecznie „życie społeczne włościan i ich prawa własności” [1]).

---

[1]) *Bulletin Russe de Stat. de Leg.* 1898—N. 10—12, str. 805—828.

*

* *

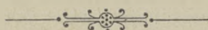
Doniosłość sprawy podniesionéj w ostatniéj części najpoddańniejszego raportu nie potrzebuje objaśnień. Kwestya ta wywołała bardzo żywą wymianę myśli w prasie nietylko rosyjskiéj, ale i zagranicznéj. Gmina rosyjska od dawna już zajmowała sfery naukowe w całéj Europie swoją wyjątkową organizacyą ekonomiczną i była przedmiotem badań wielu ekonomistów i socyologów francuskich (Laveleye), niemieckich (Haxthausen, Keusler). Historya jéj powstania jest również bardzo interesująca. Być więc może, że jeśli nam czas i miejsce na to pozwolą, postaramy się poznajomić naszych czytelników z rozwojem gminy wiejskiéj w Rosyi, i z obecną jéj organizacyą ekonomiczną.

Stanisław Piotrowski.



JOHN LOCKE.

Obraz walk duchowych w Anglii XVII wieku.



(*John Locke, ein Bild aus den geistigen Kämpfen Englands im XVII Jahrhundert von Dr. Eduard Fechtner*, 1898; str. XI+298).

Dość wiele pisano u nas—powiada autor—o filozofii Locke'a; natomiast bardzo mało „o wielkim nieznajomym na polu wiedzy społecznéj”, o mężu, który pismami swemi i wpływem osobistym tyle się zasłużył sprawie swobody i tolerancyi religijnéj i politycznéj, o stosunku Locke'a do wielkich współcześników: Boyle'a, Newtona, Leibniza i innych,—stosunku z wielu względów ciekawym. Nie posiadamy również ani jednego dzieła, któreby wyczerpująco i należycie traktowało o ciekawym żywocie myśliciela, jego wielostronnéj działalności, jego szlachetnym, wielkim charakterze. Poniższy życiorys przedstawia pierwszą tego rodzaju próbę w literaturze niemieckiéj.

John Locke ujrzał światło dzienne na początku wielkiego ruchu rewolucyjnego w Anglii, zakończonego „pełnym chwały” przewrotem 1688 roku,—29 sierpnia 1632 r. we wsi Wrington, należącéj do hrabstwa Somerset, a więc w stuletnią prawie rocznicę urodzin Montaigne'a, w 6 lat po śmierci Bacona i w jednym ze Spinozą roku; Descartes i Hobbes właśnie dopiéro przystąpili do opracowania swych

systematów, a Grotius i Galileusz walczyli jeszcze w obronie swych przekonań. Po matce odziedziczył Locke wraz z wielką dobrocią serca wątłą budowę ciała. Ojciec, z zawodu prawnik, był człowiek surowy, ale dobroduszny i mądry; wychowywał swe dzieci z wielką starannością i podług metody, którą nasz filozof w wieku późniejszym bardzo wychwalał i zalecał. Jako gorliwy purytanin, walczył on w szeregach armii parlamentarnéj z małém powodzeniem wojenném, natomiast z wielką szkodą dla swego majątku; jemu to zawdzięcza młody John owo żywe zainteresowanie się losami ojczyzny, ów zapał w obronie praw społecznych, które uczyniły go późniéj tak wybornym rzecznikiem wolnéj konstytucyi „obywatelskiéj". Po przodkach znowu, dzielnych kupcach i przemysłowcach, odziedziczył ów wybitny zmysł praktyczny, skierowany ku sprawom rzeczywistym i pożytecznym, dzięki któremu został kontynatorem Bacona i prawdziwym filozofem narodowym Anglii. Wychowanie purytańskie téż wywarło wpływ niezatarty: pismo św. i wolne tegoż badanie, tolerancya religijna i polityczna—pierwotne hasło purytanów—stały się w następstwie środkowym punktem całego życia, wszystkich dążeń filozofa. W 14-ym roku oddany do szkoły westminsterskiéj, uczył się przeważnie łaciny i greckiego, nieco hebrajskiego i arabskiego i dodatkowo tylko trochę arytmetyki i geografii, w roku zaś 1652 wstąpił w charakterze stypendysty do „Christ-Church-College w Oksfordzie. Uniwersytet oksfordzki znajdował się wówczas właśnie w stanie reorganizacyi. Źle bowiem działo się w starém mieście uniwersyteckiém, gdy zamieszkał tam Karol I, wyparty z Londynu. Większość studentów wstąpiła do wojska królewskiego, pozostali zaś troszczyli się raczéj o wszystko, tylko nie o studya. Gdy tedy wizytatorzy purytańscy przystąpili w r. 1648 do lustracyi uniwersytetu, ze zgrozą przekonali się o zdziczeniu obyczajów tamtejszych. Myślano o zamknięciu wszechnicy; na szczęście zamiar nie doszedł do skutku, postanowiono jednak zaprowadzić gruntowne reformy „od stóp do głowy", i zadanie to powierzono nowemu wicekanclerzowi, d-rowi Owenowi. Wybór był nad wyraz trafny: Owen, lubo gorliwy independent i republikanin, umiał zachowywać względem innych stronnictw najwyższą tolerancyę, reformy dyscyplinarne przeprowadzać energicznie, ale z największym taktem; tylko przestarzałéj, scholastycznéj formy wykładów nie śmiał ruszyć, co jednak wynagrodził dostarczeniem najdzielniejszych sił profesorskich, częstokroć z pośród ludzi należących do obozu wprost przeciwnego. Jak wykłady podobne oddziaływały na wrażliwy i żądny wiedzy umysł Locke'a, o tém wnosić można z wyznania jego, iż do-

prowadziły go do zupełnego zwątpienia o swych zdolnościach umysłowych, tak iż czasami wolałby był nigdy nie dostać się na uniwersytet; jakoż nie należał z początku do pilnych uczniów i nad studya przekładał obcowanie i korespondencyę z ludźmi wesołymi i światowymi; przecież i w naukach, t. j. w gramatyce, retoryce, logice, etyce, geometryi, znaczne musiał czynić postępy, skoro jeszcze przed upływem *quadriennium* uzyskał stopień *baccalaureus*. W owym właśnie okresie zwątpienia i walk wewnętrznych wpadły mu w ręce dzieła Descartesa. Pisarz, który podobną przebiegł drogę rozwoju i niejedną stoczył walkę wewnętrzną, odrazu podbił umysł młodzieńca; lubo nie wszystko, co pisał, zgadzało się z jego osobistém przekonaniem, przecie zawsze było nader zrozumiałe, a to natchnęło go otuchą i wiarą w własne zdolności. Descartesowi téż zawdzięcza on przeważnie swe wysokie mniemanie o matematyce, jakkolwiek sam nigdy w niéj wielkich nie zrobił postępów. W roku 1656 Locke rozpoczął *trennium*, czyli trzyletni kurs magisterski, obejmujący metafizykę i filozofię natury, astronomię, historyę oraz języki hebrajski i arabski. Z profesorów na przytoczenie zasługują: John Wallis, wyborny matematyk i gorliwy pedagog; Louis du Moulin, lekarz z zawodu, a profesor historyi, „zapalony independent”, a przedewszystkiém Edward Pococke, profesor hebrajskiego i arabskiego, największy w czasie studyów oksfordzkich dobroczyńca duchowy Locke'a, większy może od Descartesa, i nie tyle dla swéj nauki, ile dla charakteru szlachetnego i łagodnego. W 1658 r. Locke został „magistrem” i dożywotnim stypendystą, w dwa lata potém „tutorem” i wykładającym grecki i retorykę. I w porę właściwą, gdyż w r. 1661 odumarł go ojciec, rychło potém młodszy brat, a że matkę był już dawno utracił, więc z całéj rodziny został sam jeden.

Locke prędko zaniechał studyów teologicznych, do których obowiązywało go stypendyum; natomiast pilnie słuchał wykładów chemii i medycyny i przystąpił do kółka przyrodników, na którego czele stał znakomity fizyk i chemik, Robert Boyle (1626—1691). Niewiadomo dokładnie, co mianowicie wpłynęło na tę zmianę kierunku umysłowego, ale prawdopodobnie zapał szalony dla wiedzy doświadczalnéj, tak podówczas w Anglii rozpowszechniony, udzielił się również naszemu filozofowi. Boyle, z natury słabowity, odebrał wychowanie zupełnie zgodne z zasadami praktycznemi, które później Locke przyjął za podstawę swéj pedagogiki. Stanowczy przeciwnik filozofii arystotelesowskiéj, która „wiele obiecuje, a mało dotrzymuje”, nie godził się również na naukę Descartesa, w któréj jest więcéj wyobraźni niż doświadczenia, lecz hołdował całkowicie meto-

dzie Bacona i nie uznawał w rzeczach poznania żadnych powag. Acz chrześcianin pobożny i prawowierny, stale przecież dążył do pojednania przekonań religijnych z wymaganiami rozumu i zdobyczami wiedzy, zupełnie jak Locke to czynił w życiu i pismach. Wywarł on na rozwój duchowy Locke'a wpływ nierównie większy, aniżeli dotychczas przyjmowano. Po powrocie z Cleve, stolicy brandenburskiéj, gdzie bawił kilka miesięcy, jako sekretarz posła angielskiego (pewnie za sprawą Godolphina, kolegi z czasów westminsterskich, a teraz wpływowego urzędnika), zaczął się Locke starać o uzyskanie dyplomu lekarskiego. Z niewiadomych przyczyn nie chciał on podać się wymaganym egzaminom, woląc prosić o zwolnienie od tychże ówczesnego kanclerza uniwersytetu, lorda Clarendona; widocznie jednak jakieś wpływy nieprzyjazne przeważyły, i Locke'owi dyplomu odmówiono. W trudném więc znalazł się położeniu: pobierał stypendyum a nie studyował teologii, chciał zostać lekarzem a od egzaminów się uchylał. Z kłopotu wybawił go rozkaz królewski, zapewniający mu stypendyum i nadal, bez obowiązku studyowania teologii. W dalszym tedy ciągu pilnie się kształcił w praktyce lekarskiéj pod kierunkiem przyjaciela swego, doktora Thomasa, kontynuował studya medyczne i przyrodnicze, nie zapominając wszakże o filozoficznych i społeczno-politycznych, o czém świadczy szereg rozpraw z tego okresu pochodzących, jako-to: „Rozmyślania o rzeczypospolitéj rzymskiéj" (po angielsku), „Zbyteczność nieomylnego tłómacza pisma św."; „Błąd", „Tradycya", „Kapłan" (wszystkie po łacinie), „Szkic o tolerancyi" (po angielsku). Wszystkie one są treścią sobie pokrewne, wszystkie zawierają krytykę ówczesnych stosunków kościelno-politycznych, wprawdzie nie tyle radykalną, jak Hobbesa, ale zawsze w duchu jego poglądów. Ponieważ jednak Locke przez całe życie zaprzeczał, aby cokolwiek zawdzięczał temu „słusznie okrzyczanemu pisarzowi", przeto źródła powyższych rozpraw szukać należy po części w ówczesnych walkach religijnych, po części zaś w wpływie innych myślicieli. mianowicie dwu teologów oksfordzkich, o których sam zawsze z największym mówi szacunkiem: Hooker'a, sławnego autora „*Ecclesiastical Polity*", i Chillingworth'a, autora „*Religion of Protestants*". Buckle w następujący sposób charakteryzuje obu tych myślicieli: „Hooker odwoływał się od wyroku ojców kościoła do wyroku rozumu, wszelako z zastrzeżeniem, że rozum pojedyńczych osób musi się ugiąć przed rozumem kościoła, o ile ten znajduje swój wyraz w wielkich soborach i powszechnéj tradycyi kościelnéj. Chillingworth, przeciwnie, na nic podobnego przystać nie chciał... twierdzi on bez wahania, że

nikt nie jest obowiązany do wiary w nauki kościoła, bodaj najprawdziwsze, skoro je uważa za sprzeczne z własnym rozumem". „Ja osobiście—pisze Chillingworth—przekonany jestem, iż Bóg na to nam rozum dał, abyśmy rozróżniali prawdę od nieprawdy; kto zaś w tym celu go nie używa, lecz wierzy nie wiedząc dlaczego, ten wierzy w prawdę przez przypadek i bez wyboru, i obawiam się, że Bóg nie zechce przyjąć tak głupiéj ofiary". Z wymienionych rozpraw na uwagę zasługuje ostatnia zwłaszcza, jako antycypacya sławnéj a w 18 lat późniéj wydanéj „*Epistola de tolerantia*". Wychodząc z naczelnéj zasady, że wyłącznén i jedynén zadaniem rządu jest dbałość o spokój i dobro poddanych, Locke stawia trzy następujące prawidła tolerancyi państwowéj: 1) wszelkie poglądy spekulatywne (np. na Trójcę, czyściec i t. p.) oraz obrzędy religijne powinny bezwzględnie być tolerowane; 2) poglądy natury praktycznéj oraz postępki szkodliwe dla społeczeństwa nie mają być tolerowane przez rząd (np. mniemanie, jakoby heretykom nie należało dotrzymywać słowa, a z czynów: wszelkiego rodzaju oszustwa, niesprawiedliwość); 3) zapatrywania i czyny, których wpływ na społeczeństwo nie daje się określić, zasługują na tolerancyę tylko w razie ich nieszkodliwości dla dobra ogólnego (np. używanie mięsa w pewnym czasie lub kwestya wielożeństwa). Punkt drugi wymierzony jest przeciw katolicyzmowi, gdyż katolicy, mając swą głowę w Rzymie i tworząc państwo w państwie, są dla pokoju społecznego niebezpieczni. Dziwna ta surowość względem katolików tłómaczy się po części oddziaływaniem rozpowszechnionych w Anglii ówczesnéj fałszywych mniemań o katolicyzmie, po części zaś utożsamianiem czystéj wiary katolickiéj z wstrętną obłudą, która kwitła na dworze Ludwika XIV i szerzyć się zaczęła już w otoczeniu Karola II. Taki katolicyzm musiał budzić odrazę w każdym uczciwym patryocie i łagodnym chrześcianinie i spowodować niesprawiedliwość ze strony Locke'a.

W roku 1666 Locke zawarł znajomość z lordem Ashley, późniejszym hrabią Shaftesbury. O charakterze lorda, osobistości w dziejach Anglii bardzo głośnéj, zdania dotychczas jeszcze są podzielone. Ale zarówno przyjaciele, jak i przeciwnicy jego zgodnie przyznają, iż jako mąż stanu, stawał przeważnie po stronie liberalnéj i całe życie walczył z tyranią religijną i polityczną—z pobudek szlachetnych czy z nieokiełznanéj ambicyi, trudno wiedziéć. Być nawet może, że charakter polityczny lorda nie należał do nieposzlakowanych, ale jako człowiek prywatny, przedstawiał zjawisko rzadkie i wiele zalet posiadał: umysł wyborowy, głęboką znajomość ludzi, wymowę świetną, poglądy liberalne. Nic dziwnego, że Locke, któ-

ry z téj właśnie strony przedewszystkiém go poznał, uległ jego urokowi i wkrótce został jego najgorętszym wielbicielem. Subtelny znawca ludzi, lord odrazu odgadł w nim człowieka, jakiego potrzebował właśnie dla swego domu: z jednéj strony—powiernika i współpracownika, doskonale wtajemniczonego w wszelkie kwestye bieżące tak religijne jak polityczne, z drugiéj znowu—wychowawcę dla syna niezdolnego do dalszych studyów uniwersyteckich, a jeszcze więcéj lekarza ze względu na własne cierpienie. Locke przyjął miejsce sekretarza u Ashley'a, ale w chwilach wolnych od zajęć gorliwie uprawiał ulubioną medycynę i wkrótce miał sposobność dowiedzenia swéj zręczności lekarskiéj—na osobie patrona, którego cierpienie—ropień klatki piersiowéj powstały skutkiem spadnięcia z konia—tak dalece wzrosło, że poważnie zagrażało jego życiu. Locke potrafił nakłonić chorego do poddania się operacyi i sam jéj, po naradzeniu się z innymi lekarzami, w sposób świetny dokonał. Zdarzenie to zbliżyło go do świata lekarskiego, którego dwaj wybitni przedstawiciele rychło się z nim zaprzyjaźnili: John Mapletoft, kolega ze szkoły westminsterskiéj, lekarz uczony i z wielkiém powodzeniem praktykujący w Londynie, i sławny Tomasz Sydenham (1624—1689), „angielski Hippokrates", przyjaciel Mapletofta i Boyle'a, człowiek nieposzlakowanego charakteru i lekarz wzniośle pojmujący swe powołanie, pod względem zaś naukowym nawskroś przejęty ideami bacońskiemi, które do medycyny wprowadził. Locke towarzyszył Sydenhamowi w wizytach lekarskich, razem z nim oddawał się studyom, pomagał mu przy układaniu dzieł, sam zaś napisał kilka prac (drukiem nie ogłoszonych), jak: „*Respirationis usus*", „*Anatomica*" (z własnoręcznemi dopiskami Sydenhama), „*Tussis*" i nader ciekawy szkic „*De arte medica*"—wszystkie w duchu doświadczalnym. Że nie był bynajmniéj dyletantem, lecz owszem badaczem poważnym na niwie medycyny, dowodzą poniższe słowa Syndehama w dedykacyi (dla Mapletofta) do „*Observationes medicae*" wspólnie z Lock'em opracowanych: „Wiesz, jakiego posiadam świadka na poparcie mojéj metody; jest to nasz wspólny przyjaciel, John Locke, który ją najdokładniéj wypróbował i o którym stanowczo twierdzić mogę, że pod względem geniuszu, przenikliwości i uczciwości bodaj czy go kto z współcześników prześcignął, a i nie wielu mu tylko dorównało". Studya medyczne, zwłaszcza w duchu Sydenhama, miały znaczenie doniosłe w rozwoju umysłowym naszego filozofa: żadna inna nauka—sądzi słusznie Dugald Stewart—nie mogła go lepiéj przygotować do przyszłego rozwiązania wielkich zaga-

dnień psychologicznych, jak właśnie medycyna. Locke tedy był na najlepszéj drodze, aby zostać znakomitością lekarską, ale wciąż jeszcze bez tytułu doktorskiego. Na złożenie egzaminów w duchu staréj szkoły medycznéj nie mógł się zdobyć, a ponowne starania—tym razem lorda Ashley'a—o uzyskanie doktoratu drogą łaski również spełzły na niczém. Dopiero 1674 r. (nie wiadomo, jaką drogą) udzielono mu stopnia—lekarskiego; wszelako powodzenie w praktyce oraz świadectwo wielkiego Sydenhama stanowiły dlań dyplom o wiele lepszy, aniżeli mógł mu wystawić uniwersytet oksfordzki.

Z działalności społecznéj Locke'a w owym okresie podnieść należy jego udział w opracowaniu konstytucyi dla kolonii karolińskiéj („*Fundamental constitution of Carolina*"); niesłusznie uważa go się za jéj autora, niepodobna bowiem uwierzyć, aby wolnomyślny filozof wystąpić miał z podobną arystokratyczno-feudalną formą rządu; był więc raczéj sprawozdawcą myśli Shaftesbury'ego. Natomiast w ustawie religijnéj znać istotnie jego dzieło. Konstytucya pomimo wielokrotnych zmian nie utrzymała się i w roku 1693 zniesioną została; tylko ustawy religijne doskonale się przyjęły, czyniąc rychło z Karoliny kraj wolności religijnéj oraz przytułek dla prześladowanych. Na nich właśnie młodszy kolega szkolny Locke'a, William Penn, wzorował swą wolną konstytucyę dla Pensylwanii.

Locke wysoko cenił żywe słowo i dla obopólnéj wymiany myśli zbierał u siebie od czasu do czasu kółko przyjaciół, z którymi rozbierał najrozmaitsze kwestye. Na jedném z takich zebrań zimą 1671 r. powstały podobno pierwsze zaczątki słynnego „Szkicu o umyśle ludzkim". Lord King wydrukował 1829 r. z dziennika Locke'a początek rozprawy, z którego istotnie wynika, że filozof już w roku 1671 zajmował się zagadnieniami z dziedziny teoryi poznania. Zaczyna się ona od słów, przypominających Bacona „*Cogitata et visa*": „*Sic cogitavit de intellectu humano Johannes Locke an.* 1671.—*Intellectus humanus cum cognitionis certitudine et assensus firmitate*"; po czém ciągnie daléj: „Przedewszystkiém jestem zdania, że wszelkie poznanie opiéra się i ostatecznie sprowadza d o z m y s ł ó w lub do czegoś im podobnego i może być nazwane postrzeganiem zmysłowém i t. d.". Później dopiero dodał on postrzeganie wewnętrzne (*reflection*), jako drugie źródło poznania, dla którego zresztą w wyrazach „zmysły lub coś do nich podobnego" oczywiście znajduje się miejsce zarezerwowane. 20 lat upłynęło, zanim dzieło to ukończone zostało, „pisane kawałkami, bez związku, po długich przerwach znowu podejmowane i wreszcie w samotném miejscu (w Holandyi) doprowa-

dzone do stanu obecnego" (*Essay*, przedmowa). Założenie nawskroś sensualistyczne „Szkicu" odpowiadało w zupełności kierunkowi myślenia Locke'a, a nie mniéj ogólnemu charakterowi ówczesnego ruchu naukowego. Tylko to rościć mogło prawo do nazwy poznania naukowego, co się daje uzasadnić drogą postrzegania zmysłowego, drogą doświadczenia, a więc mierzenia, ważenia, obliczania... „Wszelka wiedza ma dwojakie źródło poznania: jedno płynie z objawienia Boskiego, drugie—z zmysłów"—tak uczył już Baco, tak sądzili również wielcy współcześnicy Locke'a: Boyle, Sydenham, Newton. Sensualiści w nauce i wrogowie wszelkich teoryi transcendentalnych, spekulatywnych, stali w rzeczach religii niezachwianie przy objawieniu, przezornie unikając wszelkich zatargów, mogących się wywiązać z przypuszczenia dwojakiego źródła poznania. Na takiém samém stanowisku stał również Locke w roku 1671, a wywód sensualistycznego charakteru „Szkicu" od Hobbesa lub Gassendego jest całkiem zbyteczny.

Pod wpływem natężonéj pracy umysłowéj i złego powietrza stolicy, dawne cierpienie płucne Locke'a tak dalece się pogorszyło, że musiał szukać ulgi w ciepłym klimacie Francyi, atoli po kilku już tygodniach powrócił do kraju na usilne żądanie patrona, jedno tylko zdoławszy wywieźć stamtąd żywsze wspomnienie: o świeżo wyszłych (1671) „*Essais de morale*" jansenisty Pierre Nicole (1625—1695), z których kilka nawet na język ojczysty przełożył. Po powrocie objął urząd sekretarza z pensyą 300 funt. szt. przy lordzie Shaftesbury'm, świeżo mianowanym wielkim kanclerzu, głównie do spraw kościelnych, ale pomagając mu niewątpliwie we wszystkich innych. Co się jednak tyczy tajemniczéj a haniebnéj umowy Doverskiéj, zaprzedającéj Anglię Ludwikowi XIV, można śmiało powiedziéć, że Locke żadnéj nie miał o niéj wiadomości, témbardziéj udziału, a jeżeli był w téj mierze czynny, to chyba dla odciągania swego patrona od niepatryotycznéj polityki dworu. Wraz z ustąpieniem Shaftesbury'ego. Locke utracił swój urząd, ale już w r. 1673 został sekretarzem „rady handlowéj i kolonizacyjnéj". Nie na długo przecież, bo jesienią 1675 r., zmuszony znowu szukać pokrzepienia w łagodniejszym klimacie, wyjechał do Montpellier. Wtedy to zaczął on prowadzić dziennik, w którym zapisywał już to wrażenia codzienne, już to swe studya i rozmyślania. W Montpellier zawiązał bliższy stosunek z Tomaszem Herbertem, późniejszym hrabią Pembroke, a w Paryżu—ze światem uczonym. Należeli tu: kalwinista Justel (1620—1693), gromadzący w domu swoim wybitniejszych uczonych protestanckich; Thoynard; (1629—1706), gorliwy fizyk, a zarazem dzielny lingwista

i badacz biblijny, autor „*Harmonie de l'Écriture Sainte*", zawierającéj dziś jeszcze cenną konkordancyę grecką ewangelii; Guenellon, lekarz holenderski, który w Paryżu wykładał anatomię a późniéj z wielkiém powodzeniem praktykował w Amsterdamie, niejedną wyświadczając przysługę filozofowi naszemu będącemu na wygnaniu; Bernier (1625—1688), zwany „pięknym filozofem", również lekarz z zawodu, zarazem wyborny znawca wschodu i gorliwy uczeń Gassendego, wówczas zajęty właśnie wydaniem swego „*Abregé de la philosophie de Gassendi*". Locke, który przedtém już czytał był podróże Bernier'a, prawdopodobnie znał również i tę jego pracę, a więc i poglądy Gassendego. Rzeczywiście odnajdywano już wielokrotnie w pismach jego mnóstwo poglądów Gassendego, zauważył to między innemi i Leibniz. Że zaś nigdzie nie powołuje się na tego, niewątpliwie najwybitniejszego poprzednika, tłómaczy się jego zasadą: „nie żyć nigdy okruchami wyżebranych poglądów", lecz patrzéć zawsze własnemi oczyma.

Jedna z najciekawszych rozpraw zamieszczonych w dzienniku i wogóle wyszłych z pod pióra Locke'a nosi tytuł „*Study*" i roztrząsa kwestye: co, w jakim celu i jak należy studyować?

Odpowiedzi brzmią: 1) przedewszystkiém rzeczy dla życia najniezbędniejsze i wyłącznie to, co dostępne jest dla naszego rozumu; 2) w celu przygotowania się do życia wiecznego, dla szczęścia własnego i bliźnich; 3) drogą możliwie najkrótszą, z użyciem własnego rozumu, bez uprzedzeń a z prawdziwą miłością prawdy, wreszcie z stałém uwzględnieniem zdrowia. Wiosną 1679 Locke otrzymał nagle wezwanie od hrabiego, aby czémprędzéj wrócił do kraju, co téż uczynił, z ciężkiém sercem żegnając swych przyjaciół francuskich. Powód wezwania był następujący. Wśród ludu zaczęły się szerzyć niepokojące wieści o umowie Doverskiéj; mówiono nawet o zaprowadzeniu z pomocą cudzego oręża absolutyzmu i wiary katolickiéj; naród ujrzał się zdradzony przez własnego króla, najmniejsza iskra mogła sprowadzić wybuch. Za iskrę taką posłużyły kłamliwe pogłoski o wielkiém sprzysiężeniu papistów, i parlament, sądy, cały naród protestancki był głuchy na wszelkie dowody i na podstawie nieuzasadnionych świadectw domagał się krwi najniewinniejszych ludzi. „Z powodu stracenia księży—pisze uczciwy William Temple w swych „Osobliwościach"—miałem tak gwałtowną sprzeczkę z lordem Halifax'em, że zagroził mi ogłoszeniem za papistę, jeżeli nie ustąpię w sprawie tak niezbędnéj dla uspokojenia narodu, zapewniając mnie przytém o konieczności traktowania spisku, jako faktu rzeczywistego bez względu na jego prawdziwość lub nieprawdziwość". Być może, że i Shaftesbury podzielał zdanie Halifax'a, wszakże ani on ani

inni przywódcy stronnictwa narodowego stanowczo nie byli twórcami całego ruchu. Co prawda, umieli go wyzyskać w walce z królem. Shaftesbury, który jeszcze r. 1675, jako przywódca opozycyi, wygłosił w parlamencie ognisty protest—jeden z pierwszych i największych—przeciw nauce o t. zw. „boskich prawach" królów, a niedługo potém inne namiętne wystąpienie przeciw rządowi przypłacił roczném więzieniem w Tower, skorzystał teraz z powyższych wypadków i zachęcał opozycyę do żądań coraz bezwzględniejszych. Król rozpuszczał i zwoływał parlament, nie mogąc go ani przekonać ani pokonać; wreszcie za radą Temple'a utworzył „radę tajną" z 15 wysokich urzedników i tyluż przywódców partyi narodowéj, mającą pośredniczyć między dworem a parlamentem, mianując jéj prezydentem—hrabiego Shaftesbury'ego. Ten, ufny w pomyślny obrót rzeczy i w oczekiwaniu doniosłych zadań politycznych, zapragnął mieć przy sobie swego doradcę i sekretarza; wówczas właśnie zażądał jego powrotu. Tymczasem wrogie usposobienie parlamentu wzrosło tak dalece, „że nawet ludzie, których młodość upłynęła wśród rewolucyi, z strachem spoglądali na stan spraw publicznych". Stronnictwo ludowe domagało się usunięcia od tronu katolickiego Jakóba II, na co król żadną miarą przystać nie chciał; zwołał więc do „stale wiernego" Oksfordu nowy parlament, któremu wszelkie ustępstwa przyobiecał wzamian za zrzeczenie się bilu o wykluczeniu brata; ale Shaftesbury i jego zwolennicy nieugięcie trwali przy swém żądaniu, i Karol II zmuszony był znowu rozwiązać parlament. Niebawem jednak i naród zdołał ochłonąć z rozjątrzenia sztucznie wywołanego, w opinii publicznéj nastąpił zwrot przychylny dla króla, do czego zresztą i kler zachęcał z obawy przed nowém panowaniem purytańskiém. Hrabia ujrzał się opuszczony i wydany na zemstę dworu; wkrótce téż został aresztowany i osadzony w Tower, ale na szczęście jego, sąd złożony z whigów orzekł nad nim swe „*ignoramus*". Pozostały jeszcze wysoce kompromitujące papiery znalezione w jego domu. Wówczas Shaftesbury chwycił się ostatniego środka i wspólnie z kilku whigami uknuł spisek przeciw Karolowi na rzecz jego syna nieprawego, Monmouth'a. Wiadomo, jak smutno zakończył się ten zamach: Russell i Sidney, „bohater, filozof i patryota", zginęli na szafocie, Essex odebrał sobie życie w więzieniu, Monmouth poszedł na wygnanie, a Shaftesbury ledwo zdążył ratować się ucieczką; umarł on w Amsterdamie 1683 r. i podobno na łożu śmierci miał przyznać się do nauk socyniańskich Locke'a. Że Locke wtajemniczony był w większość machinacyi politycznych hrabiego, że mu służył radą i czynem, zdaje się być, pomimo braku dostatecz-

nych wiadomości, rzeczą wielce prawdopodobną. Dowodziłoby zresztą małostkowości, gdybyśmy go chcieli oczyścić zupełnie z wszelkiego udziału w działalności patrona, która po należytém oświetleniu nie mieści w sobie nic hańbiącego. Z ohydnym jednak początkiem strasznego dramatu — prześladowaniem katolików, oraz z tragiczném jego zakończeniem—spiskiem whigów, będąc zdala od patrona, nie mógł nic mieć wspólnego; a jak widać z pozostałych po nim papierów, starał się również od innych zawikłań trzymać zdala, jeżdżąc do Oksfordu lub do Somerset, lub wreszcie na wieś do przyjaciół.

Rozliczne zajęcia — w ostatnich latach zajmował się jeszcze wychowaniem małego wnuka hrabiego, późniéj osławionego autora „Charakterystyk" — ciągłe troski i niepokój niezupełnie odrywały Locke'a od ulubionych studyów; w dzienniku jego znajdujemy kilka ciekawych przyczynków, przeważnie materyał do wciąż rosnącego „Szkicu o umyśle". Należą tu: „Dwa rodzaje poznania", gdzie poznanie prawd powszechnych i ogólnych przeciwstawia się poznaniu sądów indukcyjnych i prawdopodobnych; szkic „Pojęcie Boga"— zwięzły zarys teodycei, gdzie zło uważa się za śrdoek niezbędny do osiągnięcia wyższych celów; „Fizykalny dowód nieśmiertelności duszy", skierowany przeważnie przeciw kartezyańczykom; wreszcie wyborna rozprawa, p. t. „Religia", gdzie pytanie: czy natchnienie religijne może samo przez się uchodzić za niezawodne źródło prawdziwéj wiary? zostaje rozstrzygnięte przecząco, ponieważ wszelkie nauki płynące z natchnienia, nawet poparte cudami, muszą wytrzymać próbę rozumu. „Nie chcę bynajmniéj przeczyć—zastrzega się filozof przeciw zarzutowi niewiary — iż Bóg na poparcie prawdy może czynić, lub czynił cuda; twierdzę tylko, iż niepodobna wystawić sobie, aby Bóg uciekał się do cudów dla wpojenia nam nauk i pojęć o sobie, sprzecznych z naszym rozumem, i abyśmy owe nauki i pojęcia gwoli samym cudom uważali za prawdziwe".

Jakkolwiek poglądy racyonalistyczne na religię, w rodzaju dopiero przytoczonych, nie cieszyły się wtedy uznaniem w Anglii, przecież i pośród teologów znajdowali się już ludzie, których sposób myślenia nie bardzo odbiegał od powyższego. Zwłaszcza szkoła teologów w Cambridge, przez swe wielkie oczytanie w dziełach filozofów starożytnych, głównie w Platonie i Plotinie, przez swą walkę z filozofią Hobbesa, szczególnie z jego obojętnością etyczną i surową nauką prawa, doszła powoli do uwzględniania w religii strony moralnéj kosztem dogmatycznéj, a w rzeczach wiary do pozostawienia pewnéj swobody osobistemu przekonaniu. Zwano ich z tego

względu „latitudinaryuszami”, a dla stanowiska racyonalistycznego nawet „socynianami” i „deistami“ — nazwy, które z czasem i Locke'owi się dostały. Żywił on w istocie stałą dla uczonych téj szkoły sympatyę: z niektórymi łączyła go przyjaźń osobista, innych znał z pism; Whichcote był jego ulubionym kaznodzieją, Tillotson, późniejszy arcybiskup w Canterbury, człowiek wielkiéj szlachetności i wyborny kaznodzieja, uwielbianym wzorem doskonałego stylu. Atoli większość teologów upatrywała w racyonaliźmie religijnym wielkie dla ludzi mniéj w wierze utwierdzonych niebezpieczeństwo i ostrzegała przed niém i przed zbytnią w rzeczach wiary powolnością. Tak np. Edward Stillingflet, znajomy Locke'a i protegowany Shaftesbury'ego, wypowiedział formalną wojnę wszelkim separatystom, zrazu w kazaniach i pismach mniejszych, następnie w obszerném dziele, p. t.: „*The unreasonableness of separation*“. Locke napisał replikę: „*A defence of nonconformity*“ za życia nie wydaną, któréj myśli główne przeszły późniéj do słynnego „listu o tolerancyi“.

Locke'owi przypisywano niesłusznie wiele bezimiennych pamfletów, wyszłych z obozu hrabiego i namiętnie zwalczających politykę rządu. Rekryminacye dały powód do podejrzeń i do najwstrętniejszego szpiegostwa; lada chwila można było spodziewać się jawnego prześladowania. Czując dobrze grożące mu niebezpieczeństwo, Locke raz jeszcze zwiedził strony rodzinne i zimą 1683 roku nagle zniknął z Anglii. W Amsterdamie, dokąd podążył, zastał dawnego przyjaciela z Francyi, Guenellona, w którego domu gościnnym poznał między innymi profesora remonstranckiego, Filipa von Limborcha. Remonstranci — właściwie „arminianie“ od założyciela sekty, Arminiusa (1560—1609) — tak zwani od remonstracyi r. 1610 przed stanami generalnemi uczynionéj, z powodu doznawanego ucisku, tworzyli wolnomyślny odłam kalwinizmu holenderskiego. Byli to „latitudinaryusze“ Holandyi, wyznający wolną od wszelkich powag kościelnych wiarę reformowaną, ale bez nauki o bezwarunkowém przeznaczeniu, natomiast z włączeniem pewnych pierwiastków socyniańskich i antitrynitarskich. Do zbawienia — taką była zasadnicza idea ich wyznania — potrzeba bardzo mało artykułów wiary; najlepszym chrześcianinem jest ten, kto w życiu najbardziéj się zbliża do Chrystusa. Nie mieli również żadnéj hierarchii kapłańskiéj: zgromadzenie, złożone z kaznodziejów i przedstawicieli gmin, zajmowało się sprawami kościelnemi, sprawy zaś bieżące załatwiał komitet złożony z pięciu osób. Locke był podobno niezmiernie zdziwiony nadzwyczajném podobieństwem arminianizmu do jego

własnych poglądów religijnych. Bądź co bądź, miał on, co się tyczy remonstrantyzmu, w osobie Limborcha najlepszego przewodnika. Ten pisał właśnie podówczas swoją „*Theologia christiana*”, pierwszy wykład systematyczny teologii arminiańskiéj, zawierający dwa rozdziały o tolerancyi chrześciańskiéj. Znajomość obu myślicieli rychło zamieniła się w przyjaźń serdeczną, i ilekroć Locke podlegał wątpliwościom i skrupułom religijnym, zawsze zwracał się o radę i pomoc do Limborcha.—Pod datą 14 lutego 1684 r. znajdujemy w jego dzienniku poniższą uwagę o Montaigne'u: „Montaigne podbija wytworną swobodą i rzadkim darem słowa, ale nie dowodzi niczego: szkice jego— to splot porywających wyrażeń, myśli i urywków wierszowanych tak ułożonych, aby wywrzeć największe działanie na umysł ludzki. Nie argumentuje, lecz bawi siebie i innych; jest on pełen próżności i dumy”. Ile myśli i pobudek zawdzięcza pisarzowi francuskiemu, o tém w dzienniku wzmianki niema.

W maju 1684 r. Locke przedsięwziął podróż po Holandyi; zwiedził mnóstwo miast, bawiąc najdłużéj w Leyden, dokąd nęciła go szczególnie tamtejsza szkoła lekarska z jéj urządzeniami, a w pierwszym rzędzie Johannesa Swammerdana wspaniały zbiór preparatów anatomicznych. „Już od wielu lat—pisał do Thoynard'a—nie czuję się tak dobrze, jak teraz”. Szczęśliwy w utopii niderlandzkiéj, ledwo jeszcze myślał o duchach nienawistnych, które go przed rokiem wygnały były z ojczyzny; one jednak o nim nie zapomniały. Wyśledzając i surowo karząc wszystkich współwinnych i o współwinę podejrzanych w sprzysiężeniach whigowskich, rząd angielski, prawdopodobnie na skutek tajnych doniesień z Oksfordu, zwrócił w końcu uwagę na sekretarza Shaftesbury'ego. Pozbawiono go stypendyum i wykluczono z kolegium, a po nieszczęsnéj wyprawie Monmouth'a zamieszczono na liście 84 osób, których wydania od stanów holenderskich zażądał król Jakób II, jako zdrajców i swych wrogów osobistych. Wprawdzie władze amsterdamskie, niechętne królowi, ani jednego z proskrybowanych nie wydały, ale Locke wolał zachowywać wszelkie środki ostrożności: zamieszkał więc u teścia Guenellona, doktora Veen'a, w dobrze ukrytym pokoju, wychodząc jedynie w nocy i załatwiając korespondencyę przez Limborcha, który mu i towarzystwa dostarczał; udał się nawet na pewien czas do Cleve, gdzie sądził się być bezpieczniejszym, ale już po kilku tygodniach wrócił do Amsterdamu pod przybraném nazwiskiem „Van der Linden”. W Anglii przyjaciele, jak Pembroke, Penn, starali się wyjednać mu przebaczenie u króla, ale filozof odmówił powrotu do kraju, powołując się na swą niewinność. Dopiéro w maju 1686 r., gdy

stany generalne ponowny wydały rozkaz uwięzienia osób podejrzanych, a wykaz osób nie zawierał jego nazwiska, wrócił on do zwykłego trybu życia i zaczął wychodzić na widok publiczny.—Z tego właśnie czasu pochodzi przyjaźń jego z znakomitym pisarzem Jean Le Clerc, który w dziejach jego działalności piśmienniczéj pierwszorzędną odegrał rolę. Le Clerc (1657—1736), syn lekarza z Genewy, już w 23 roku życia otrzymał katedrę literatury pięknéj, filozofii i hebrajskiego w seminaryum remonstranckiém w Amsterdamie. Gdy w roku 1683 oratoryanin Simon ogłosił swą „*L'Histoire critique du Vieux Testament*" — śmiałą rzecz o genezie starego testamentu, Le Clerc w dwa lata potém odpowiedział mu bezimiennie w dziele p. t. „*Sentiments de quelques théologiens de Hollande sur l'Histoire critique du Vieux Testament*" genialną krytyką w duchu arminiańskim, przytaczając również zdania wielu innych wolnomyślicieli, a pomiędzy niemi zdanie Spinozy. W chwili zaznajomienia się z Locke'm, był on zajęty założeniem „*Bibliothèque universelle*"—przeglądu historyczno-literackiego, i odkrył w swym przyjacielu współpracownika, jakiego właśnie potrzebował. „*Epistola de tolerantia*" leżała gotowa do druku, „Szkice o umyśle ludzkiém" — skréślony w zarysie, ale autor nad miarę ostrożny i skromny ociągał się z ich ogłoszeniem. Le Clerc'owi udało się przełamać lody i położyć kres jego nieśmiałości. Z początku ukazało się w przekładzie francuskim redaktora kilka mniejszych artykułów, a w roku 1688 wyciąg z „Szkicu" [1]), ogłoszony — jak opiewa zakończenie — na żądanie kilku przyjaciół autora tudzież dla zaciągnięcia zdania publiczności, czy się zgadza z wyłożonemi poglądami i czy życzy sobie wydrukowania całego dzieła, przyczém uprasza się o złożenie wszelkich odezw, zarzutów i uwag u nakładcy „Biblioteki". „Wyciąg — opowiada Le Clerc— znacznéj części czytelników się spodobał i wzbudził chęć poznania całego dzieła. Niektórzy, nie znając zgoła Locke'a, przypuszczali nawet, że jest to książka przezemnie samego uplanowana, którą dla tego przypisuję jakiemuś Anglikowi, aby się przekonać, co o niéj sądzić będą; wkrótce jednak zostali wyprowadzeni z błędu. Kazałem wydrukować kilka odbitek, do których Locke dodał krótką dedykacyę dla hr. Pembroke". Za pierwsze tedy wydanie „Szkicu" wo-

---

[1]) Pod tytułem: „*Extrait d'un livre Anglois, qui n'est pas encore publié, intitulé: Essai philosophique concernant l'entendement, où l'on montre, qulele est l'entenduë de nos connoissances certaines et la manière dont nous y parvenons. Communiqué par Mr. Locke*".

góle, a w szczególności za pierwszy jego przekład francuski wdzięczność należy się Le Clerc'owi.

Tymczasem w Holandyi przygotowywano przewrót zakończony ucieczką Jakóba i osadzeniem na tronie angielskim jego zięcia, Wilhelma księcia Oranii. Locke na wezwanie wybitniejszych patryotów angielskich wyjechał do Roterdamu. Że służył zarówno im, jak księciu, światłą swą radą, wątpić niepodobna; nie wiadomo tylko, jak daleko sięgał jego udział w całéj téj sprawie, gdyż odnośną korespondencyę na własne jego życzenie spalono. D. 24 lutego 1689 r. wrócił on do ojczyzny po 5-letniéj nieobecności. Wilhelm, który po wstąpieniu na tron sowicie wynagrodził swych stronników, pragnął powierzyć Locke'owi misyę posła w Berlinie lub Wiedniu, ale ten wymówił się względami zdrowia i aby nie obrazić króla, przyjął wreszcie urząd komisarza apelacyjnego z pensyą 200 funt., która wraz z emeryturą 100 funt. od Shaftesbury'ego i dochodem z mająteczku rodzinnego w Somerset stanowiły całe jego utrzymanie. Dzięki inicyatywie króla, na wszystkich polach przygotowywano zbawienne reformy, a w parlamencie szły ożywione obrady nad tolerancyą religijną. Niestety, z jednéj strony—wznowione współzawodnictwo między kościołem anglikańskim a presbytoryańskim, oraz torysami a whigami, z drugiéj — stronnictwa niezadowolone w saméj Anglii, jakobici pod bronią w Irlandyi i Szkocyi, koalicya przeciw Ludwikowi XIV po tamtéj stronie kanału — wszystko to były przeszkody, o których pokonaniu nawet umysł dzielny Wilhelma mógł zwątpić. Ale Locke nie poddawał się zwątpieniu. Robił wszystko, co mógł: ustnie i listownie błagał i zachęcał wpływowych przyjaciół do popierania świętéj sprawy króla, sam zaś w cichém ustroniu szykował broń silniejszą i skuteczniejszą od wszystkich środków dotychczasowych. On, pisarz skromny i tak wstrzymujący się z wszelką publikacyą, wystąpił nagle z całym szeregiem dzieł o wpływie tak potężnym, że dziś jeszcze odczuwamy jego następstwa. Przedewszystkiém puścił w obieg „List o tolerancyi" ogłoszony wiosną 1689 r. w Gouda (w Holandyi) w oryginale łacińskim i prawie jednocześnie w przekładzie francuskim i holenderskim, w końcu zaś tegoż roku w przekładzie angielskim niejakiego Papple'a, kupca londyńskiego. Oto osnowa „Listu". Wszelki przymus, wychodzący z łona zwierzchności państwowéj, ma z konieczności charakter zewnętrzny i zewnętrznie tylko oddziaływać może, gdy tymczasem życie, siła prawdziwéj religii, spoczywają w przekonaniu umysłu, a wiara na innéj oparta podstawie sama sobie przeczy. Na jakiéj zasadzie państwo przywłaszcza sobie władzę ustanawiania praw w rzeczach

religii i karania ich przekroczeń, skoro również mało, jak i najwięksi uczeni wie, czy jedna tylko droga i która mianowicie prowadzi do zbawienia? Nadajmy dysydentom przywileje obywatelskie narówni z wszystkimi poddanymi, a przekonamy się, że wszelkie sekty, stowarzyszenia i zebrania religijne nie kryją w sobie żadnego dla państwa niebezpieczeństwa. Albowiem nie charakter sekty daje powód do zamieszek religijnych, lecz wyłącznie i jedynie wrodzona ludziom skłonność do zrzucenia z siebie jarzma, pod którém jęczą. Lecz nie tylko państwu, ale nadto kościołowi nie służy prawo przymusu nad obywatelami w sprawach religii. Kościół jest stowarzyszeniem dobrowolnie założoném dla czczenia Boga; skoro tedy jeden z członków odkrywa coś w ustawie stowarzyszenia, co się z jego osobistém przekonaniem nie zgadza, dlaczegóżby nie mógł również dobrowolnie z niego wystąpić, jak przedtém wstąpił? Jeżeli zaś kościół koniecznie potrzebuje pewnych środków dla nakłonienia członków do spełniania swych obowiązków, służy mu droga oświecenia, napominania, w najgorszym wypadku—wykluczenia. Wszakże ekskomunika nikogo nie powinna pozbawiać praw i przywilejów społecznych, tak samo jak żadna osoba prywatna nie ma prawa do pierwszeństwa przed inną pod względem politycznym... Członkowie poszczególnych kościołów, a przedewszystkiém dostojnicy kościelni powinni wyznawać naczelną zasadę chrześciaństwa, zasadę miłości, i nie prześladować bliźnich za wiarę. Kto błądzi, ten siebie unieszczęśliwia, ale nikogo nie obraża, i nikt nie jest mocen już tu, w życiu doczesném, sprawiać mu ból dlatego, że go uważa za potępionego w życiu przyszłém. Skoro jednak duchowieństwo w nadmiarze gorliwości szuka poparcia dla swojéj wymowy i uczoności w powadze władz rządowych, dowodzi to nie czystéj miłości, lecz, zaprawdę, ambicyi źle ukrytéj i żądzy panowania; niepodobna bowiem uwierzyć, aby człowiek, z zimną krwią oddający brata w ręce kata, szczerze pragnął wybawienia go z płomieni piekielnych. Doczesne szczęście poddanych — oto właściwy zakres i ostateczny cel rządu; piecza o duszy przekracza jego kompetencyę. Wiara powinna sama torować sobie drogę do rozumu; światło i siła zapożyczone osłabiają ją i czynią podejrzaną. Tolerancya religijna ma jednak swoje granice: nie powinny być tolerowane wyznania, których artykuły i obrzędy sprzeciwiają się dobru publicznemu, zakłócają porządek społeczny i zagrażają bezpieczeństwu państwa; również ateiści, ci bowiem, nie uznając przysięgi i umów, owych ważnych węzłów społecznych, znajdują się niejako po za obrębem społeczności i przez zaprzeczenie Boga znoszą wszelki porządek (!).

Uzupełnieniem „Listu” są „Dwie rozprawy o rządzie” (*Two treatises of governement* 1690). Pierwsza przedstawia krytykę poglądów Filmer'a, wyłożonych w dziele „Patriarcha” (1680) i będących apologią „boskich praw” króla; druga — teoretyczne uzasadnienie konstytucyonalizmu. Zdaniem Locke'a absolutna monarchia nie godzi się z pojęciem dobrze urządzonego społeczeństwa; a ci, którzy sądzą, że prawa i sądy powinny obowiązywać tylko poddanych w ich zatargach wzajemnych, nie zaś panującego w razie zatargu z poddanymi, ze względu na jego powagę i władzę państwową, ci uważają ludzi za głupców, którzy się zabezpieczają od kun i lisów, ale czują się najbardziéj zadowoleni i bezpieczni wówczas dopiéro, gdy ich lwy rozszarpią. Cokolwiek twierdzą wielbiciele absolutyzmu, bezpiecznie żyć naród może wtedy tylko, jeżeli prawodawstwo znajduje się w rękach zgromadzenia złożonego z wielu osób, mniejsza, czy się nazywać będzie parlamentem czy senatem. Locke dzieli władzę państwa na prawodawczą, wykonawczą i federacyjną (pośredniczącą w stosunkach z obcemi państwami). Na czele stoi władza prawodawcza, złożona z przedstawicieli narodu, obowiązana do strzeżenia prawa przyrodzonego i do wydawania ustaw mądrych a sprawiedliwych. Wszyscy podlegają jéj ustawom, sama zaś téż absolutną nie jest, gdyż ogranicza ją cel państwa, t. j. pomyślność ogółu. Jéj również podporządkowują się władze: wykonawcza i federacyjna, odpowiedzialne za swoje postępowanie, które stosować się powinno do wydanych ustaw. Aby społeczeństwo nie stało czasem pod rozmaitemi rozkazami, obie ostatnio wymienione władze najlepiéj połączyć w jedném ręku. W państwach monarchicznych dzierży je panujący, uposażony w pewne przywileje, które jednak niczém nie są inném, jak upoważnieniem do działania podług własnego widzenia tam, gdzie prawo jest niedostateczne lub dopuszcza możność działania, — ale zawsze na korzyść ogółu. Im książę zdolniejszy i mędrszy, tém większą naród okaże gotowość rozszerzenia jego przywilejów; wszelako złe doświadczenia prowadzą do nowych prawnych ograniczeń. Dobro ogólne ogranicza wszelką władzę rządową; w razie jego zaniedbania lub przeciwdziałania mu, władza wraca do tego, kto jéj udzielił—do narodu... Nieprawdą jest, jakoby nauka powyższa prowadziła do zamieszek i rewolucyi: nie tak łatwo naród miłujący pokój decyduje się na podobne kroki, nie tak łatwo téż mądry książę naraża na szwank naród i własne bezpieczeństwo. „Wszyscy królowie — powtarza Locke za królem Jakóbem I—którzy nie są tyranami lub wiarołomcami, trzymają się chętnie granic swych praw; ci zaś, którzy je so-

bie inaczéj tłómaczą, są wężami i morem zarówno dla książąt jak dla państwa". — Pierre Boyle opowiada, że wychodźcy hugonoccy w Holandyi czytali dzieło Locke'a, jakby jaką nową ewangelię, czerpiąc z niego nadzieję, że despotyzm nietolerancyjny, który wygnał ich z ojczyzny, i we Francyi z czasem upaść musi, ustępując miejsca prędzéj lub późniéj formie rządu, powyżéj nakréślonéj.

Prawie równocześnie z „Rozprawami o rządzie", czyli na początku 1690 r., ukazało się najznakomitsze dzieło Locke'a „*Essay concerning human understanding*". Nazwisko autora znajdowało się tylko pod dedykacyą dla hr. Pembroke'a, pisaną — zwyczajem ówczesnym—nader uniżenie, tak, iż Pape zwykł był mawiać, iż jednéj jedynéj rzeczy wybaczyć nie może swojemu mistrzowi w filozofii, mianowicie dedykacyi. Od nakładcy otrzymał Locke 30 funtów (!), prawie tyle, co Kant za „Krytykę czystego rozumu".

Podajemy poniżéj możliwie zwięzłe streszczenie „Szkicu", uwydatniając rysy jego najznamienniejsze i myśli najbardziéj oryginalne. Locke postawił sobie za zadanie: „zbadać początek, pewność i zakres ludzkiego poznania, tudzież podstawy i stopnie wiary, mniemania i z godności". Temat nie był nowy, ale tu po raz pierwszy traktowany, jako zasadnicza i główna kwestya filozofii. Nawet jego bezpośredni poprzednicy, Baco, Descartes, Hobbes, poszukiwali tylko metody prawdziwego poznania, nie wątpiąc nigdy o jego możliwości. Dopiéro Locke dokładnie i jasno sformułował doniosłe zagadnienie krytyki poznania, czyniąc je integralnym składnikiem wszelkich dążeń filozoficznych. Nie mniéj ważną była i metoda wprowadzona przez niego, a polegająca na ustaleniu wartości poznawczéj wyobrażeń przez wykazanie ich pochodzenia i analizę. Stuart Moll nazywa go „niewątpliwym twórcą psychologii analitycznéj", i słusznie, gdyż on to nadał kierunek całéj filozofii czasów oświaty, całemu myśleniu XVIII wieku, które obracało się przeważnie dokoła kwestyi psychologicznych, stojących dziś jeszcze na czele badań filozoficznych. Od poprzednich systematów różni się „Szkic" i pod tym jeszcze względem, że nie rozpoczyna od badań natury metafizycznéj, od badań nad istotą duszy, nad stosunkiem substancyi myślącéj i rozciągłéj i t. p. — takich dociekań wyrzeka się on zgóry — lecz zwyczajnie od danych i oczywistych zjawisk naszego ducha. Wychodzi on z założenia, że dusza ludzka przedstawia się pierwotnie, jako *tabula rasa*, niezapisany arkusz papieru, i uzasadnia swoje założenie nasamprzód przecząco, przez wykazanie fałszywości kartezyańskiéj nauki o ideach wrodzonych, nauki według któréj w umyśle naszym tkwią pierwiastkowo pewne pojęcia,

prawdy, zasady powszechne i oczywiste; np. z dziedziny teoretycznéj—zasady tożsamości i sprzeczności, twierdzenie, iż całość jest większa od części; z dziedziny moralnéj — rozmaite zasady praktyczne. Locke wykazuje, iż są one dzieciom i ludziom nieukształconym zgoła nieznane; chyba gdybyśmy dla ocalenia idei wrodzonych przypuścić mieli, iż duszy wrażone są pewne prawdy, o których nie ma ona żadnéj świadomości, co równa się niedorzeczności. Zwłaszcza w dziedzinie moralnéj za wrodzone uważać można wyłącznie dążność do szczęścia i wstręt do nieszczęścia, nigdy zaś same zasady, zmienne względnie do kraju, czasu, narodu. Nic tu nie pomoże odwoływanie się do sumienia ludzkiego, które „jest tylko osobistém przekonaniem lub poglądem na słuszność lub niesłuszność moralną" i „pod którego naciskiem jeden dąży do tego, czego drugi unika". Punkt ciężkości całéj I księgi leży w polemice przeciw owym pojęciom proteuszowym, które pod nazwą Boga, substancyi, duszy, prawa, obowiązku, sumienia przechodzą od pokolenia do pokolenia, niby oświecona spuścizna wiedzy ludzkiéj, a przecież względnie do miejsca, narodu, a nawet osoby odmienne otrzymują znaczenie. Z owych to idei tajemniczych, a raczéj bożków (*idola*) pragnął Locke raz wreszcie zerwać zasłonę, podając ich istotę prawdziwą pod rozjaśniającą krytykę rozumu.

Jeżeli tedy niema idei wrodzonych, skąd biorą początek wszystkie nasze wyobrażenia? Z doświadczenia! Bywa ono dwojakiego rodzaju: zewnętrzne czyli postrzeganie zmysłowe (*sensation*) i wewnętrzne czyli postrzeganie spraw zachodzących w naszéj duszy za pomocą skierowanéj ku wewnątrz uwagi (*reflection*). „*Nihil est in intellectu, quod non ante fuerit in sensu*"—ta naczelna zasada empiryzmu zachowuje swą moc i u Locke'a, wszakże z milczącym a wielce doniosłym dodatkiem: „*in sensu externo et interno*". Wyobrażenia dzielą się na proste i złożone. Pierwsze mają swe źródło a) bądź w jednym jakimś zmyśle (np. barwa, dźwięk, twardość, ciepło i t. d.), b) bądź w kilku zmysłach (wyobrażenie kształtu, przestrzeni, spoczynku i t. d.), c) bądź w postrzeganiu wewnętrzném (idea myśli, woli), d) bądź wreszcie w wewnętrzném i zewnętrzném (wyobrażenie przyjemności i przykrości, bytu, jedności i t. d.). Oto ogół naszych wyobrażeń prostych; możemy je rozmaicie składać, ale nigdy przekroczyć, ni tworzyć ani pojąć nowych wyobrażeń; są one „takie, jak je nam doświadczenie podaje; chcieć je objaśnić przy pomocy słów, znaczyłoby to samo, co człowiekowi ślepemu rozjaśnić ciemność, którą jest dotknięty, i mówić z nim o świetle i barwach".—Istnieją trzy grupy własności cielesnych: pierwotne,

wtórne i siły. Pierwotne tworzą istotę rzeczy, są od nich nieodłączne i tkwią w najdrobniejszych ich cząsteczkach; są to własności przestrzenne i czasowe przedmiotów, jak sztywność, rozciągłość, kształt, ruch, spoczynek i liczba. Własności wtórne (dźwięki, smaki, wonie i t. p.) nie istnieją, jako takie, w przedmiotach, lecz wyłącznie w naszém czuciu i nie istniałyby wcale bez czującego narządu; powstają one przez oddziaływanie na nasze zmysły rozmaitych wielkości, kształtów, liczb i ruchów najdrobniejszych cząstek ciał. Własności wtórne wypływają z pierwotnych; gdy wszakże te ostatnie postrzegamy rzeczywiście tak jak są w sobie, pierwsze ukazują nam się, jako coś całkiem odmiennego. Przez siły pojmuje się zdolność jednych ciał do oddziaływania na inne, tak aby się nam te ukazywały w zmienionéj postaci, np. ogień posiada siłę topienia ołowiu. Można zaliczyć siłę do własności wtórnych, działających na nas za pośrednictwem innych ciał. Powyższa nauka o własnościach pierwotnych i wtórnych obalona została, a przynajmniéj uznana za niedokładną przez Berkeley'a, Hume'a i Kanta, którzy wykazali podmiotowość własności pierwotnych narówni z wtórnemi; niemniéj jednak okazała się niezwykle płodną w następstwa, dając pochop do bardziéj wyczerpującéj analizy wrażeń zmysłowych.

Umysł, zachowujący się dotąd czysto biernie, staje się czynnym, z chwilą, gdy zaczyna kombinować wyobrażenia proste. Tak powstają wyobrażenia złożone, które bywają trojakiego rodzaju: 1) tryby (*modi*) czyli wyobrażenia zjawisk pozbawionych samoistnego bytu i mogących być pomyślanemi jedynie jako tkwiące w innych rzeczach, np. kształt, wdzięczność; 2) substancye czyli samoistne ale nieznane nam podścieliska zjawisk; 3) stosunki, do których dochodzimy przez porównywanie wyobrażeń (ojciec, większy). Tryby stosownie do składu — z wyobrażeń jednolitych czy różnolitych (tuzin — piękność) bywają czyste i mieszane. Do piewszych należą wyobrażenia przestrzeni, czasu, liczby i siły. Locke zwalcza pogląd Descartesa, utożsamiającego rozciągłość z ciałem, i charakteryzuje pojęcie przestrzeni przez objaśnienie rozmaitych jego odmian (odległość, kształt, miejsce) i przez wyliczenie rozmaitych jego cech. Przestrzeń ma byt objektywny, jest próżna, niepodzielna, nieruchoma, a poznajemy ją drogą wzroku i dotyku. Wyobrażenie następstwa w czasie pochodzi z wewnętrznéj obserwacyi kolejności naszych wyobrażeń. Podstawą naszéj idei o liczbie jest jednostka, któréj dostarcza nam wszelki przedmiot postrzegania. Mierzenie sprowadza się do liczenia cząstek przestrzennych i czasowych, które

może być prowadzone bez końca, przez co otrzymujemy pojęcie nieskończoności. Siła oznacza zdolność doznawania i wywoływania zmian. W świecie fizycznym istnieją tylko siły bierne: jedno ciało wprawia drugie w ruch, o ile samo go zkądinąd otrzymało. Do wyobrażenia siły czynnéj dochodzimy drogą samoobserwacyi, postrzegając, iż sama myśl nasza w stanie jest wprawić w ruch nasze ciało lub funkcye duchowe. Tę siłę czynną nazywamy wolą. — W przeciwieństwie do swoich poprzedników, nie wyłączając Descartesa, którzy z ideą substancyi obchodzili się, jakby z czémś daném i oczywistém, niby pewnikiem filozoficznym, Locke oświadcza wręcz, że nie zawiera ona nic więcéj nad niewiadome coś, co podstawiamy jako podścielisko pod rozmaite połączenia współistniejących wyobrażeń, a oświadczeniem tém odbiera wszelką racyę bytu teoryi dwu substancyi, oraz kunsztownym hypotezom, mającym wytłómaczyć możliwość wzajemnego ich na się oddziaływania. „Wyobrażenia proste, płynące z zewnętrznego i wewnętrznego postrzegania, tworzą granice naszego myślenia; po za nie umysł, pomimo największego wytężenia, na jotę sięgnąć nie może, ani odkryć czegokolwiek, gdyby chciał śledzić istotę i ukryte przyczyny tych wyobrażeń". Nawet idea Boga z tego samego źródła empirycznego pochodzi, będąc nieskończenie rozszerzoną ideą bytu, władzy, trwałości, wiedzy i t. p.— Z stosunków Locke podnosi szczególniéj: przyczynę i skutek, tożsamość i różnicę oraz stosunki moralne. Pierwsze traktuje pobieżnie, jakkolwiek one właśnie mają największe znaczenie dla empirycznéj teoryi poznania; tu—jak wiadomo — Hunce pierwszy zapuścił swój ostry skalpel krytyczny. Co się tyczy tożsamości i różnicy, znaczenie ich zmienia się stosownie do przedmiotów. W materyi nieorganicznéj identyczność równa się identyczności stanowiących ją atomów; w roślinach i zwierzętach, gdzie pojedyńcze części nie mają samoistnego znaczenia, lecz składają się na jedno wspólne życie, tożsamość trwa tak długo, jak określona forma życia. U człowieka jednak sprawa komplikuje się identycznością osoby, która polega na samowiedzy właściwéj naszym czynnościom duchowym, łączącej wszystkie nasze obecne i minione wrażenia, uczucia i czyny w jedną całość i tym sposobem dokładnie odróżniającéj nas od wszystkich innych istot, w czasie i przestrzeni. Pozostają jeszcze stosunki moralne. Dobrem jest to, co sprawia przyjemność, złem — co sprawia ból; moralnie dobremi i złemi nazywamy czyny ludzkie z uwagi na prawa, do których się stosują i do których przyjemność i ból przywiązane są, jako nagroda i kara. Trzy istnieją rodzaje praw, według których mierzymy prawość i nieprawość postępków ludz-

kich: prawo Boskie, orzekające o cnocie i grzechu; obywatelskie—o winie i niewinności; prawo opinii publicznéj, inaczéj filozoficzne,—orzeka o czynach ludzkich stosownie do moralności kraju, narodu i t. p. i posługuje się pochwałą i naganą.

W końcu II księgi znajduje się rozdział „o kojarzeniu wyobrażeń". Przyznać trzeba, że Locke nie ocenił należycie całéj doniosłości psychologicznéj i pedagogicznéj prawa kojarzenia, a w każdym razie nie dorównał w téj mierze Hobbesowi. Że wyobrażenia, które raz w jakikolwiek sposób zetknęły się w naszym umyśle, łączą się z sobą i okazują dążność do wspólnego w pamięci występowania, temu zjawisku psychologicznemu, będącemu podstawą prawa kojarzenia, nie mógł on przypisać szczególnego znaczenia, gdyż uważał je za proces mechaniczny i niebezpieczny dla jasnego i poprawnego myślenia, za jedynie zaś właściwe—kojarzenie wyobrażeń według ich treści. Nie mniéj wszakże niepozorny ten rozdział, obok wielu innych zawartych w „Szkicu" pobudek do mechanistycznéj teoryi ducha, posłużył za punkt wyjścia dla t. zw. psychologii asocyacyjnéj, któréj twórcami i największymi bojownikami byli ziomkowie Locke'a: Hartley, Priestley, James Mill.

Cała III księga poświęcona jest roztrząsaniu istoty, użytku i znaczenia mowy; jest to pierwsza większa próba filozofii mowy. Wyrazy są to znaki wyobrażeń; i w pierwszym rzędzie naszych własnych wyobrażeń pośrednio tylko oznaczają one odpowiednie wyobrażenia innych ludzi, a nawet same rzeczy; służą zaś do przechowywania idei w pamięci i udzielania ich innym ludziom. Definicya oddaje znaczenie wyrazu za pomocą kilku innych niejednakowo brzmiących. Gdzie wszakże brak wielości wyobrażeń, jak w ideach prostych, tam brak również wielości wyrazów, innemi słowy: wyobrażenia proste nie poddają się definicyi, a jedyny sposób ich określenia polega na przedstawieniu treści ich zmysłom innych ludzi.

W ostatniéj księdze Locke wykłada właściwą teoryę poznania. „Poznanie—powiada—uważam za ujęcie związku i zgodności lub niezgodności i sprzeczności naszych poszczególnych wyobrażeń". Poznanie dzieli się, pod względem stopnia i jasności, na intuicyjne, dowodne i zmysłowe; dotyczy zaś bądź tożsamości i różnicy, bądź spółbytności czyli koniecznego związku, bądź stosunku, bądź wreszcie rzeczywistego bytu wyobrażeń. W poznaniu intuicyjném (np. czarne nie jest białe, $3 > 2$) umysł ujmuje prawdę przy pierwszém postrzeganiu wyobrażeń, bezpośrednio, bez wdania się innych idei, osiągając najpewniejszą i najjaśniejszą wiedzę, do jakiéj wogóle zdolni jeste-

śmy. W poznaniu dowodném (np. suma kątów trójkąta = dwu prostym) umysł postrzega zgodność lub niezgodność wyobrażeń dopiéro przy pomocy pewnych ogniw pośrednich, których odnajdywanie wymaga zawsze pewnego wysiłku, często nawet wcale się nie udaje, i ono to właśnie przeważnie stanowi o postępie nauk.

Jakkolwiek w każdém dowodzeniu przejście od jednego wyobrażenia do drugiego opierać się musi na poznaniu intuicyjném, przecież wiedza dowodna ustępuje intuicyjnéj pod względem jasności. Rzecz oczywista, iż wiedza intuicyjna i dowodna nie mogą sięgać po za obręb naszych wyobrażeń, a nawet w zakresie tychże nie daléj, niż pozwala nasza zdolność odnajdywania niezbędnych do porównywania i dowodzenia stosunków i wyobrażeń pośrednich. Zakres bardziéj jeszcze ograniczony posiada poznanie zmysłowe, jako wogóle możliwe jedynie w obecności przedmiotów rzeczywiście istniejących.

Postrzeganie zewnętrzne i wewnętrzne, dostarczające nam wszystkich wyobrażeń czyli całego materyału poznawczego, są to tylko niewydatne punkty w porównaniu z niezmierzonym oceanem bytu, który, z powodu ograniczoności naszych zmysłów i władz poznawczych, pozostanie na zawsze dla nas niedostępnym. Lecz i w tém, co rzeczywiście poznajemy, jakaż tkwi niejasność i niepewność! Rzeczy najpospolitsze i najoczywistsze mają swoje ciemne strony, których oko najbystrzejsze przeniknąć nie zdoła. Brak należytego wyobrażenia o istocie substancyi pociąga za sobą absolutny brak jakiéjkolwiek wiadomości o koniecznym związku jéj własności. Czy atrybuty wtórne wypływają z pierwotnych, jaki zachodzi stosunek między atrybutami wtórnemi, czy muszą one stale współistnieć z sobą w przedmiotach, czy wreszcie wyobrażenia nasze odpowiadają im i jak przez nie wywoływane zostają—o tém wszystkiém zgoła żadnej nie mamy wiadomości. Nie wiele więcéj wiemy o istocie naszéj własnéj duszy. Że jest w nas coś, co myśli, zaprzeczyć się nie da. Ale jak myślenie się odbywa, jaki ma charakter jego podścielisko—materyalny czy niemateryalny,—to leży już po za granicami naszego poznania. Osobiście Locke przechyla się na stronę niemateryalnego podścieliska myślenia; jednak — dodaje — objektywnie rzecz biorąc, przyznać trzeba, że istota substancyi materyalnéj nie wyklucza myślenia i że Bóg mógł obdarzyć zdolnością myślenia i materyę stosownie urządzoną. Wypływa z powyższego, że w dziedzinie doświadczenia, w dziedzinie przyrodoznawstwa i nauki o duszy niema poznania powszechnego i koniecznego. Pojedyńcze doświadczenia i spostrzeżenia, nie pozbawione pożytku dla naszego bytu ziemskiego, są i tu

wprawdzie możliwe, atoli do godności nauki w ścisłém znaczeniu słowa wiedza nasza o przyrodzie bodaj czy się podnieść zdoła.

W jednéj tylko dziedzinie zdolni jesteśmy do wiedzy powszechnéj i koniecznéj—w dziedzinie ogólnych pojęć oderwanych, przez nas samych utworzonych i dla tego całkiem jasnych. Z nich tworzą się istotnie sądy ogólne i pewniki, które za pomocą sylogizmu prowadzą znowu do innych prawd koniecznych. Niestety, wszystkie one sprowadzają się ostatecznie do rzędu zdań żartobliwych, nie mieszczących w sobie nic nowego i nic takiego czegobyśmy już wprzódy nie zawarli w pojęciach ogólnych (sądy analityczne Kanta); nie pozbawione, być może, pożytku dydaktycznego i zdatne dla szkół, są one bez wartości dla życia praktycznego. Wiedza prawdziwa i wzbogacająca nasz skarbiec duchowy (sądy syntetyczne Kanta) płynie wyłącznie z doświadczeń szczegółowych, pojęcia zaś, sądy i wnioski ogólne mogłyby nam takiéj wiedzy dostarczać, gdyby ujmowały rzeczywistą istotę rzeczy, ale ta—jak wiadomo—nie dopuszcza poznania powszechnego. Istnieją jednak dwa rodzaje poznania, które, acz niezależne od doświadczenia i będące wytworem naszych wyobrażeń, dostarczają nam prawd ogólnych, istotnie rozszerzających naszą wiedzę i mających zastosowanie w rzeczywistości—matematyka i etyka. Wszelako Locke nie objaśnia, w jaki sposób możliwe są dwa te wyjątki.

Wobec ciasnych granic ludzkiego poznania, źle działoby się z nami, gdybyśmy nie posiadali środków dostatecznie przysposabiających nas do spełniania naszych zwykłych potrzeb i obowiązków. Ale tu przychodzi nam z pomocą, po pierwsze, mniemanie czyli prawdopodobieństwo. Locke podaje trafne uwagi o tym rodzaju poznania, rozważa zasady zgody, bada wiarogodność historyczną, wychwala analogię i dobrze dobrane hypotezy; atoli daleki jest od naukowego uzasadnienia teoryi prawdopodobieństwa i indukcyi. Drugą potężną podporę w naszéj wędrówce doczesnéj stanowi wiara płynąca z objawienia. Stojąc niezachwianie przy samym fakcie Boskiego objawienia, Locke żąda przecież, aby umysł badawczy rozstrzygał wprzódy, czy istotnie mamy do czynienia z prawdą objawioną, czy nie. Usunąć rozum dla utorowania drogi objawieniu znaczy tyleż co gasić światło obu, tyleż co wykłuć sobie oczy, aby potém przy pomocy teleskopu módz lepiéj dostrzedz światła bardzo odległéj, niewidzialnéj gwiazdy. Nauka sprzeczna z rozumem nie może uchodzić za objawienie Boskie; trudno bowiem uwierzyć, aby Bóg, gwoli jakiemuś pojedyńczemu natchnieniu, miał zachwiać wszelkiemi podstawami naszego poznania, zburzyć rozum, który jest

najcelniejszą częścią jego dzieła, i tym sposobem pozbawić nas jedynego probierza prawdy, będącego w naszém posiadaniu. Objawienie zatém jest w stanie dostarczać tylko takich prawd, które albo zgodne są z ludzkim rozumem, a więc i przezeń odkrytemi być mogą (np. istnienie Boga), albo leżą po za jego granicami, ale nie są z nim sprzeczne (nieśmiertelność duszy).

Niezliczoną ilość książek i rozpraw poświęcono już rozbiorowi „Szkicu", jego wartości naukowéj, zalet i wad. Z punktu widzenia formalnego, dzieło Locke'a nie jest wolne od wad. Traktując jedne rzeczy zbyt obszernie, inne znowu zbyt krótko, zawierając niekiedy ustępy, których nigdybyśmy nie spodziewali się w niém znaleźć, nie przedstawia ono całości jednolitéj i systematycznéj, co się tłómaczy po części częstemi przerwami w opracowywaniu dzieła, po części odrazą od dedukcyi sztucznych, wreszcie ubocznym celem autora: zamiarem stworzenia dzieła, któreby jemu samemu dozwalało oryentować się w gmatwaninie spornych kwestyi metafizycznych i moralnych. Powtóre, filozof przeznaczył swoje dzieło „nie dla ludzi z dalekim wzrokiem i bystrém pojęciem", lecz dla czytelników mniéj od natury obdarzonych; stąd ciągłe powtarzanie i rozwlekłość, stąd język bardziéj do mowy potocznéj zbliżony, a więc chwiejny i częstokroć niedokładny, gdyż język potoczny stworzony dla innych celów, a nie dla badań filozoficznych, nie może oddać całéj subtelności myśli filozoficznéj. Wszakże przyznać należy, że owa właśnie mowa prosta, bezpretensyonalna, tak dostępna dla zdrowego rozumu ludzkiego, najbardziéj przyczyniła się do rozpowszechnienia „Szkicu" w szerokich kołach społeczeństwa i do rozbudzenia zamiłowania w zagadnieniach filozoficznych, które osłabło było pod wpływem suchéj filozofii szkolnéj. Co się wreszcie tyczy kwestyi oryginalności poglądów zawartych w „Szkicu", przypomnieć godzi się, że Locke nie chciał „żyć gnuśnie okruchami wyżebranych przekonań", a więc rzadko kiedy przytacza cudze świadectwo na potwierdzenie swoich poglądów; w większości wypadków mógł zaledwie nawet pamiętać, skąd pierwszą wziął pobudkę do téj lub owéj myśli; dość że, wydając swoje dzieło na widok publiczny, uważał je za nowe i „zbaczające od utartego gościńca". Nowość, do któréj Locke rościł prawo, polegała na wyrównaniu i pogodzeniu sprzecznych pobudek, otrzymywanych w miarę rozwoju z rozmaitych stron, zwłaszcza od ścierających się kierunków filozoficznych. Pobudki te występują w „Szkicu" jeszcze dosyć wyraźnie, gdyż Locke nie był w stanie całkiem ich zatrzéć, ani sprzeczności zupełnie usunąć. W podstawie empirycznéj jego dzieła odrazu poznajemy realistycznie myślącego zwolennika kierunku przyrodniczego z czasów Karola II, przyjaciela wielkich przyrodników:

Boyle'a, Sydenhama, Newtona..., ucznia Bacona, Hobbesa, Gassendego; gdy znowu w tendencyi racyonalistycznéj, uwydatniającéj się zwłaszcza w IV księdze, znać jeszcze dostatecznie oddziaływanie Descartesa, a być może i platonizujących filozofów z Cambridge, a w każdym razie wpływ nadmiernego przeceniania nauk matematycznych. Skromne pojęcie o władzach poznawczych człowieka, graniczące niemal z zwątpieniem, przypomina, coraz bardziéj Montaigne'a, a czasami i Pascal'a; pełne zaś ufności przywiązanie do religii pozytywnéj, głównie do moralności chrześciańskiéj, zdradza pobożnego syna surowo moralnych rodziców purytańskich. Nawet reminiscencyi scholastyczno-arystotelesowskich nie brak zupełnie w znakomitém dziele Locke'a. Żyjąc na granicy dwu stuleci, przekazał on wiernie ostatniemu rozległy zapis pierwszego. Mówi się o filozofii, że streszcza w sobie wszystkie dążenia danego okresu, odźwierciedla niejako sumienie jego i świadomość. Dumne to zdanie stosuje się do Locke'a w znaczeniu najbardziéj nieograniczoném. Jak w sprawie wyzwolenia religijnego i politycznego, tak również w sprawie oświaty filozoficznéj XVIII wieku jest on i nie przestaje być podwaliną i kamieniem węgielnym.

II

Ciągłe wzruszenia, nieodłączne od polityki, natężona praca literacka oraz niezdrowe powietrze londyńskie zupełnie podkopały siły Locke'a. Lubo nie zbywało mu na domach gościnnych (np. hr. Pembroke'a, hr. Peterborough), oglądał się przecież za stałym kątem wiejskim, gdzie mógłby, zdala od gwaru stołecznego, podeszłe spędzić lata. Gdy więc w roku 1690 stare cierpienie płucne coraz więcéj mu dokuczało, postanowił wreszcie zamieszkać w Oates, dobrach deputowanego Francis'a Masham'a, odległych o mil 20 od Londynu. Tu znalazł nakoniec to, czego mu życie przez tak długi czas odmawiało: dom cichy i serdeczny, najtroskliwszą opiekę i miłą rozrywkę na łonie szlachetnéj i wysoko ukształconéj rodziny. Żona Masham'a, lady Damaris, kobieta wysoce utalentowana i światła, była córką Ralpha Cudworth'a, znanego teologa z Cambridge, myśliciela głębokiego a w rzeczach religii pełnego tolerancyi; Locke tak z nią jak z ojcem i bratem znał się osobiście. Sprowadzono bibliotekę filozofa, która oprócz licznych opisów podróży i innych rzeczy cennych zawierała dzieła Bacona, Gassendego, Pascala, Malebranche'a, logikę Port-Royal oraz ofiarowany przez Newtona egzemplarz „*Principia*

mathematica". Po pracy literackiéj w gabinecie, Locke uprawiał swój ulubiony sport—jazdę konną, lub zajmował się ogrodnictwem. Wychowanie małego synka Masham'ów szło według jego zasad a z najlepszym skutkiem. W razie choroby w domu czy u znajomych, „doktór Locke" znowu był osobą wielce pożądaną; mała, szczupła postać uczonego stała się rychło osobistością zaufaną i mile widzianą w całym obrębie Oates. Od czasu do czasu przyjeżdżali goście: lord Peterborough z żoną, młody hr. Shaftesbury lub Piotr King, blizki krewny filozofa, prawnik, który późniéj doszedł do godności kanclerza; czasami znowu przyjeżdżał w odwiedziny ktoś z rodziny Clarke'ów, a kiedy niekiedy i uczony profesor Izaak Newton z Cambridge... Newton (1642—1727) był również jak Locke dobrym przyjacielem Boyle'a i członkiem akademii królewskiéj, ale przyjaźń jego z Lockem powstać mogła dopiero w londyńskich kołach literackich i politycznych. Jego kierunek empiryczny, jego umysł pobożny i prawowierny oraz skromność naukowa doskonale odpowiadały przymiotom Locke'a, który, lubo nie matematyk z zawodu, jednak nader wysoko cenił umiejętności matematyczne i należał do najgorętszych wielbicieli i czytelników znakomitych „Zasad". Ponieważ dla braku wykształcenia matematycznego nie rozumiał głębokiego dzieła przyjaciela, zwrócił się więc do niego z prośbą o wyjaśnienie kilku ustępów. Newton, czyniąc zadość życzeniu Locke'a, wyłożył dlań przystępnie główne twierdzenia „Zasad" w rozprawie: „Dowód, że planety skutkiem ciążenia obracają się około słońca po elipsach". Odtąd zaczęła się korespondencya obu uczonych; chodziło w niéj przeważnie o kwestye biblijne i w pierwszym rzędzie o rozprawę Newtona w duchu antitrynitarskim skreśloną, pod tytułem „O dwóch godnych uwagi sfałszowaniach w piśmie św." (1690); zajmowano się téż proroctwami Daniela i apokalipsy, przyczém obaj przyjaciele wzajemnie swéj rady zasięgali. Niesłuszném jest przeto rozpowszechnione mniemanie, jakoby wielki matematyk dopiero na starość, w okresie osłabienia władz umysłowych, oddawał się „marzeniom teologicznym". Przeciwnie, obaj myśliciele uważali pismo św., narówni z przyrodą i jéj zjawiskami i zagadnieniami, za rzecz przez Boga daną i w najwyższym stopniu godną poznania, i bynajmniéj nie osłabione władze umysłu, lecz przekazana wiara głęboka była powodem ich badań teologicznych.

Niezadowolony z źle uposażonéj profesury, Newton starał się o posadę w urzędzie menniczym w Londynie, licząc na pomoc i wielkie stosunki przyjaciela; niestety, sprawa nie posuwala się tak łatwo i szybko, jak sobie życzył, a będąc z natury nader drażliwym, uwa-

żał to za brak uznania dla swych zasług i zwątpił nawet o dobréj woli najbardziéj mu oddanych przyjaciół. A gdy nadomiar złego, jego pracownia chemiczna i część ważnych rękopismów padły ofiarą pożogi, rozstrój umysłu przeszedł niemal w obłęd, i w tym stanie wypowiedział on o Locke'm niektóre opinie nieprzychylne, do czego potém sam się przyznał i najszczerzéj żałował. W połowie września 1693 r. Locke otrzymał od Newtona pismo następującéj treści: „Panie! Ponieważ podejrzywałem Cię o usilną chęć wprowadzenia mnie w kłopot przy pomocy kobiét oraz innych środków, byłem z tego powodu tak oburzony, że dowiedziawszy się od jednego z przyjaciół o Twojéj ciężkiéj chorobie, z któréj nie wiadomo czy powstaniesz, wyraziłem życzenie, abyś raczéj umarł. Pragnę, abyś mi wybaczył mój brak przywiązania, gdyż teraz żywię przekonanie, żeś postępował słusznie. Proszę również darować mi, że złą żywiłem opinię o Tobie; że wypowiedziałem zdanie, jakobyś ugodził w sam korzeń moralności Twą zasadą, którą wyłożyłeś w książce o ideach i w inném dziele daléj rozwinąć zamierzyłeś; wreszcie żem Cię uważał za hobbistę. Wybacz mi téż, proszę, moje powiedzenie, czy téż tylko wewnętrzne przekonanie, iż chcą mi kupić urząd lub wprowadzić w kłopot. Twój, Panie, sługa uniżony i nieszczęśliwy Iz. Newton". Ale odpowiedź Locke'a, pisana „z wielkodusznością filozofa i dobroduszném pobłażaniem światowca", szczęśliwie usunęła przykre nieporozumienie. Obaj uczeni żyli i nadal w najlepszéj przyjaźni, a gdy drażliwe i podejrzliwe usposobienie Newtona groziło wybuchem nowéj niezgody, Locke zawsze umiał zapobiedz temu swą łagodnością i wysokim szacunkiem dla wielkiego matematyka.

Wyborowe koło przyjaciół angielskich i cudzoziemskich powiększyło się jeszcze o jednego członka—jednego z najlepszych. Latem 1692 r. uczony dubliński, William Molyneux, nadesłał Locke'owi książkę swoją, p. t. „*Dioptrica nova*", „w dowód wysokiego poważania dla autora Szkicu o umyśle ludzkim", który naukę o poznaniu bardziéj posunął naprzód, aniżeli wszystkie dzieła starożytnych pisarzy. Locke podziękował za komplement, i tak rozpoczęła się korespondencya, pełna swobody i zaufania, najlepiéj odźwierciedlająca działalność umysłową filozofa w ciągu następnych lat sześciu. Dowiedziawszy się, kto jest prawdziwym autorem „Rozpraw o rządzie" i „Listu o tolerancyi", Molyneux zwrócił się do uczonege z prośbą o skréślenie dzieła o moralnolności, na co otrzymał odpowiedź przychylną. Gdy jednak rozmyślania żadną miarą nie mogły przybrać określonych kształtów, a Molyneux wciąż nalegał, Locke odpisał, że

owszem zbiera odnośne materyały i rozmyślań nie zaprzestaje, ale książka o obowiązkach nie powina być pisana powierzchownie, zwłaszcza przez niego i wobec wypowiedzianego o téj umiejętności zdania w „Szkicu"; że zresztą przedmiot jest zbyt ważny, iżby mógł podjąć się jego opracowania na schyłku życia i przy zdrowiu złamaném; że wreszcie doskonałość etyki zawartéj w ewangelii uwalnia rozum od poszukiwań w téj mierze. Przypuszczać wszakże należy, że nie tyle wzniosłe pojęcie o moralności ewangelicznéj, ile trudność samego przedmiotu, a nawet niewykonalność zadania, jak je sobie Locke wyobrażał, skłoniła go do zaniechania dzieła o etyce. Natomiast puścił w świat (1693) „Kilka myśli o wychowaniu", znowu na życzenie i z namowy Molyneux'go. Uwydatnienie potrzeby fizycznego wychowania dzieci, energiczne domaganie się kształcenia charakterów szlachetnych, w przeciwieństwie do wyłącznego intelektualizmu, szczęśliwy wybór środków wychowawczych—oto zalety „Myśli", opartych wszędzie na analizie psychologicznéj i weszłych już w krew i ciało naszych systemów pedagogicznych. Chociaż, zwyczajem swoim, Locke rzadko kiedy przytacza cudze świadectwo, wiadomo przecież, że Baco, Descartes, Pascal, Nicole, La Bruyère, a najwięcéj Montaigne, wywarli wielki wpływ na jego poglądy wychowawcze. Wprawdzie w dzienniku swoim z roku 1684 niepochlebnie o nim mówi, więcéj mu jednak niż komukolwiek zawdzięcza. O Komeńskim również wzmianki niema; ale duch wielkiego pedagoga zbyt niezatarte ślady zostawił po sobie w Anglii i Holandyi, aby miały ujść uwagi naszego filozofa. Jednocześnie z drukiem „Myśli" Locke przygotowywał drugie wydanie „Szkicu". Szczerze miłując prawdę, obojętny na to kto ją światu ogłasza, byle ją posiąść, zasięgał on porady i pomocy przyjaciół, celem usunięcia wszelkich niejasności i wad swego dzieła. Newton, Limborch, Le Clerc, często pewnie i pani Masham byli pytani o zdanie, ale najczęściéj i najdrobiazgowéj—Molyneux. Drugie wydanie zawierało, obok niektórych zmian drobnych, nowy rozdział o „tożsamości" i przerobiony rozdział o „sile"; w ciągu roku zostało wyczerpane. Narady (wciąż listowne) z Molyneux'm doprowadziły do innych jeszcze wyników: uchwalono wydać krótkie streszczenie „Szkicu" do użytku uniwersytetów (przez d-ra Wynne ułożone) oraz przekład łaciński (przez duchownego irlandzkiego Burridge); przeznaczony zaś do „Szkicu" dodatek „O hypotezie Malebranche'a, że wszystkie rzeczy widzimy w Bogu", miał być rozszerzony i wydany oddzielnie. Atoli „z obawy polemik i przez osobisty dla Malebranche'a szacunek" Locke zaniechał wy-

dania téj rozprawy, tak iż ukazała się dopiero po jego śmierci (1706).

W umyśle filozofa dojrzewało podówczas dzieło w większym stylu, dzieło, w którém pragnął dać wyraz swym długoletnim przekonaniom religijnym. Czego w „Listach o tolerancyi" domagał się przeważnie ze stanowiska humanitarnego, a w „Szkicu" bronił jako prawa rozumu ludzkiego, to obecnie miało znaleźć uzasadnienie w samém chrześciaństwie, jako nauce rozumnéj, prostéj i tolerancyjnéj. Religia chrześciańska, sądzi Locke, zawiera nauki, być może, przekraczające nasz rozum ograniczony, ale nigdy sprzeczne z nim. Owszem, daje nam ona mnóstwo prawd, do których moglibyśmy dojść i drogą rozumu, ale bez owéj pewności i jasności, bez uświęcenia Boskiego, którego mu użycza objawienie. Ewangelia istnieje dla wszystkich i przeważnie dla „ubogich", a więc prawdy jéj nie powinny być liczne ani bardzo trudne do odnalezienia. Jakież są owe prawdy i co według nich niezbędném jest do zbawienia? Wierz w Boga, wierz w Chrystusa Zbawiciela; badaj jego świętą wolę w ewangelii i spełniaj ją, ile ci sił starczy; jeżeliś zbłądził w życiu doczesném, wynagrodź błąd pokorną wiarą i skruchą, a spełniłeś twój obowiązek chrześciański—oto, według Locke'a, zasadnicze przykazanie chrześciaństwa. „Rozumność chrześciaństwa" (1695, bezimiennie), jak było do przewidzenia, rozmaitego doznała przyjęcia, stosownie do obozu. Gdy przyjaciele autora, jak Limborch, Molyneux i inni, uważali ją za najlepszy systemat teologii, jaki kiedykolwiek czytali, znaleźli się z jednéj strony prawowierni uczeni, którzy się oburzali na jego wolnomyślne poglądy, z drugiéj—wolnomyśliciele, którym próba pogodzenia chrześciaństwa z rozumem wydała się czczą, a jéj autor nazbyt prawowiernym [1]).

Działalność piśmiennicza Locke'a, z wyjątkiem „Szkicu o umyśle ludzkim", który należy do filozofii, miała tak z pobudek jak z celów zawsze charakter społeczny. Mamy jeszcze do opowiedzenia kilka faktów z jego życia, związanych z sprawami społecznemi i ekonomicznemi w ścisłém znaczeniu słowa. W r. 1694 mimo nadwyrężonego zdrowia udał się do Londynu dla wzięcia udziału w założeniu Banku angielskiego, który w finansowéj i handlowéj polityce Anglii późniéj tak doniosłą odegrał rolę. Następnego roku puścił w obieg,

---

[1]) Tegoż zdania był późniéj i Voltaire; powiada on: *„c'est un mauvais livre, il coûtait laver la tête d'un âne"*.

przy pomocy jednego z swych przyjaciół, deputowanego Clarke'a, pismo p. t. „Dowody w obronie wolności prasy”, pismo tak przekonywające, że nawet oporni lordowie oprzeć się nie mogli i wreszcie uchwalili „prawo o swobodzie prasy”. Wszakże największą przysługę wyświadczył on ojczyźnie w rozwiązaniu kwestyi pierwszorzędnéj wagi—kwestyi monetarnéj. Stare, niekształtne sztuki pieniężne, skutkiem bezecnego obcinania ich, utraciły przeszło połowę swéj wartości nominalnéj; monety zaś odbite po r. 1663 i nie tak łatwo ulegające uszkodzeniom, ledwo zdążyły opuścić mennicę, już znalazły się zagranicą, albo przetapiane były przez ich posiadaczy. Zło, rosnąc z dnia na dzień, doprowadziło w końcu do zupełnego obezwładnienia handlu i przemysłu. Z jednéj strony chciano płacić na sztuki, z drugiéj—brać na wagę; szczególnie ucierpieli na tém robotnicy, którzy pobierany za pracę szyling wydawać mogli za 6 pensów. Pragnąc zwrócić uwagę sfer rządzących na grożące niebezpieczeństwo, Locke jeszcze w roku 1692 ogłosił bezimiennie pismo, p. t. „*Some considerations of the consequences of the lawering of interest and raising the value of money*”, gdzie, jako jedyny środek ratujący sytuacyę, zalecał niezwłoczne przebijanie monety z zachowaniem dotychczasowéj stopy. Obcięte monety miały być przyjmowane przez kasy państwowe według wartości nominalnéj do pewnego czasu, późniéj zaś na wagę; koszt przebijania miał przeto ponosić skarb państwa, nie naród. Gdy r. 1695 zamieszanie doszło szczytu, Locke wezwany do udziału w naradach, powtórzył swój projekt, który uzyskał aprobatę rządu. Szło jeszcze o jego przeprowadzenie w parlamencie, gdzie projekt przeciwny zniżenia stopy monetarnéj liczył wielu zwolenników, do których sam sekretarz skarbu, Lowndes, należał. Na prośbę swych przyjaciół politycznych, Locke odparł zarzuty Lowndesa w nowém piśmie, które siłą przytoczonych dowodów tak oddziałało na członków parlamentu, że wniesiony bil o przebijaniu monety został uchwalony. W nagrodę za położone w téj sprawie zasługi, Locke otrzymał nominacyę na komisarza „rady handlowéj” z pensyą 1000 funt.[1]). Z trudnością dał się on nakłonić do przyjęcia tego urzędu, głównie z powodu słabego zdrowia. Rzeczywiście, coraz częściéj i cięźéj zapadał na zdrowiu. Jeszcze w roku 1695 pisał do Molyneux'go: „moje wątłe zdrowie nie obiecuje mi

[1]) Wowczas i Newton otrzymał miejsce nadzorcy mennicy z pensyą roczną 6,000 funt., za staraniem hr. Montague, byłego ucznia jego, a wówczas kanclerza skarbu; niezadługo potém (1699) został dyrektorem mennicy z pensyą 15,000 funt.

dłuższego żywota; jesteś Pan jedyną osobą na świecie, z którą szczerze pragnę się widzieć i bodaj przez chwilę mówić, zanim umrę“. A gdy ten dla różnych powodów zwlekał z przyjazdem do Anglii, Locke napisał doń w słowach tak wzruszających i serdecznych, że Molyneux w końcu lipca 1698 r. przybył do Londynu. Do połowy września przyjaciele zostawali razem. O czém mówili, jak czas drogi spędzili, nie wiemy; pozostał tylko list Molyneux'go pisany po powrocie do domu, w którym, dziękując przyjacielowi za dowody przywiązania, nazywa czas wspólnie spędzony najszczęśliwszym w życiu. Spełniło się tedy życzenie filozofa ujrzenia choć raz w życiu najmilszego z przyjaciół ale nic więcéj... Molyneux nagle umarł w październiku 1698 r. w wieku lat 43. Jak boleśnie odczuł Locke stratę przyjaciela, wnosić można z jego listów do Burridge'a (tłómacza „Szkicu“ na język łaciński) i do brata nieboszczyka, d-ra Tomasza Molyneux.

„Ilekroć—pisze do doktora—zwracam me myśli w stronę Dublinu, taką ogarniają one mgłą mój umysł, takie kładą brzemię świeżéj tęsknoty po utraconym drogim przyjacielu, bracie Pańskim, że niechętnie je wogóle w tamtą stronę kieruję; a jeżeli jednak to czynię, tedy czuję się niezdolny do żadnéj rozmowy i rozrywki, z którymkolwiek z przyjaciół“.

Okres najgorętszéj pracy na niwie społeczno-ekonomicznéj był zarazem czasem najprzykrzejszéj dla Locke'a części jego działalności piśmienniczéj—polemiki literackiéj. Ledwo „Rozumność chrześciańska” opuściła prasę drukarską, rozeszły się pogłoski szerzące niepokój i wrzawę, „jakoby dzieło miało wykorzeniać wszelką moralność i godzić na wiarę chrześciańską” (słowa Locke'a). Pierwszy stanął do walki John Edwards z Cambrigde, dobry kaznodzieja ale słaby uczony. W swych „Myślach o niektórych przyczynach i powodach ateizmu” zarzuca on bezimiennemu autorowi poglądy socyniańskie, a nawet ateistyczne, i dość wyraźnie wskazuje na Locke'a, jako na domniemanego autora rzeczonego dzieła. Locke odpowiedział krótką „Obroną rozumności chrześciaństwa”. Wtedy Edwards wydał „Zdemaskowany socynianizm” oraz „Wiarę socyniańską”, biorąc rozbrat z najpierwszemi wymaganiami przyzwoitéj polemiki. By położyć kres przykréj polemice, Locke ogłosił „Drugą obronę” i na dalsze napaści Edwardsa, skierowane już przeciw jego poglądom pedagogicznym, przestał odpowiadać, zwłaszcza że zjawił się nowy przeciwnik, nierównie poważniejszy, w osobie Edwarda Stillingfleet'a, wtedy biskupa w Worcester. Stillingfleet tak dla swéj uczoności, jak i mniéj ciasnego sposobu myślenia, należał do najbardziéj

poważanych dostojników kościoła anglikańskiego. Ale uczoność jego obejmowała przedmioty raczéj kościelno-historyczne, a nie religijno-filozoficzne, a tolerancya z laty, zwłaszcza od czasu jak został biskupem, znacznie się zmniejszyła. Gwałtownie szerząca się w Anglii sekta unitaryuszów nie mało przysparzała mu trosk, jak i całemu stronnictwu prawomyślnemu. Na domiar złego, ukazała się r. 1696 w Londynie książka, p. t. „Chrześciaństwo bez tajemnic", tłómacząca bez ogródek dogmaty chrześciańskie w duchu wolnomyślnym Autor, John Toland (1670—1722), genialny a śmiały irlandczyk, najchętniéj propagujący swe ideje wolnomyślne w domach zajezdnych i kawiarniach i chełpiący się przytém znajomością wielu wybitnych mężów, jak Limborch, Le Clerc, Locke i t. d., których bodaj czy kiedykolwiek widział, a tém mniéj z nimi mówił—wychodził bezpośrednio z zasad poznania Locke'a i zamierzył uczynić to samo dla religii chrześciańskiéj, co ten dla filozofii, t. j. oczyścić ją od wszelkich idei niejasnych, nadzmysłowych, mistycznych. Tego wszystkiego było aż nadto dla Stillingfleeta, aby (w rozprawie „*A discours in vindication of the doctrine of the Trinity*", 1696) pociągnąć do odpowiedzialności już nie unitaryuszów tylko i Tolanda, lecz i samego Locke'a, jako promotora szerzącego się wolnomyślicielstwa. Locke odpowiedział mu w początkach 1697 r. („*A letter to the bishop of Worcester etc.*"), wykazując, jak niesłusznie utożsamia go z owymi wolnomyślicielami i czyni odpowiedzialnym za ich poglądy. Ale Stillingfleet, głuchy na wszelkie dowody, już w maju tegoż roku wydał drugie pismo polemiczne („*Answer to Mr. Locke's Letter*"), gdzie daléj prowadził swe oskarżenia, napadając na Locke'a naukę o ideach, o substancyi, o tożsamości osobowéj i ogłaszając je za niebezpieczne dla zasad wiary chrześciańskiéj. Nastąpiły repliki i dupliki, przerwane wskutek śmierci biskupa. Wszelako Edwards, Stillingfleet i inni byli tylko poprzednikami całego zastępu przeciwników, z których największy i najniebezpieczniejszy, mianowicie Leibniz, już się zgłaszał do słowa. Stosunek Locke'a do Leibniza przedstawiany był, zdaniem autora niniejszego dzieła, w świetle tak niedokładném i dla filozofa angielskiego tak niekorzystném, że warto bliżéj się nad nim zastanowić, przynajmniéj ze strony historyczn[illegible]

Leibniz [1]), acz powierzchownie, na tyle przecież znał ję[illegible] an-

---

[1]) Autor posługuje się przeważnie następującemi źródłami: korespondencyą Leibniza z szlachcicem szkockim Thomas Burnet of Kemnay, z panią [illegible]sham, z Piotrem Coste'm, dalej korespondencyą Locke'a z Molyneux'm oraz [illegible]udyami krytycznemi samego Leibniza.

gielski, że mógł się oryentować w treści „Szkicu"; mógł zresztą korzystać z wyciągu drukowanego po francusku w *Bibl. univers.* (t. VIII). i z streszczenia tamże przez Le Clerc'a zamieszczonego (t. XVII). Śmiały empiryzm Locke'a, jego pod wieloma względami wolnomyślne poglądy filozoficzne, które w świecie uczonym tak niezwykłe sprawiły wrażenie i tylu zyskały zwolenników, musiały wywołać niebawem opozycyę ze strony zachowawczego myśliciela niemieckiego. Rzeczywiście, ledwie raz przejrzawszy „Szkic", skreślił kilka o nim „myśli" i przesłał je (marzec, 1696) swemu przyjacielowi, Burnet'owi, „do dowolnego użytku", jak sam powiada, nadmieniając atoli, że byłoby mu przyjemnie, gdyby się dostały do rąk Locke'a. „W tém co nam p. Locke powiedział o umyśle ludzkim i o wychowaniu—tak się zaczyna rozprawa—tyle znajduję dowodów niepospolitéj bystrości, a i sam przedmiot poczytuję za tak doniosły, że czas poświęcony pożytecznéj lekturze jego dzieła uważam za doskonale użyty, zwłaszcza że sam wiele rozmyślałem nad podstawami naszego poznania. Nakreśliłem tu więc kilka uwag tak, jak mi się właśnie nasuwały podczas czytania „Szkicu o umyśle"... Leibniz zwraca się tedy przeciw zaprzeczeniu wrodzonych idei—punkt jądrowy całéj między obu filozofami różnicy,—przeciw poglądowi Locke'a, że dusza nie zawsze myśli, przeciw jego pojęciu próżnéj przestrzeni, nieskończoności i idei zupełnych (adekwatnych), krytykuje jego naukę o definicyi, o pewności i rozszerzeniu wiedzy!.. „W IV księdze—powiada—jak i w poprzednich, znajduję mnóstwo pięknych myśli; gdybym jednak chciał stosowne do nich pisać uwagi, wymagałyby one książki równie wielkiéj, jak samo dzieło". Krótka ta, krytyka, nacechowana szczerością i uprzejmością, dobre na Locke'u zrobiła wrażenie, gdy mu ją Burnet i Cunningham doręczyli.

„Niedawno—pisał do Molyneux'go (22/II 97)—otrzymałem pismo p. L.—, [1]) nadesłane pewnemu panu w Anglii i traktujące o niektórych kwestyach poruszanych w moim „Szkicu". Mówiono mi w Londynie, iż prosił on (Leibniz) podobno swego korespondenta o doręczenie mi rozprawy wraz z innemi rzeczami, które dotychczas napisał. Traktuje mnie w ogólności nader uprzejmie i z uszanowaniem większém, aniżeli zasługuję. Ponieważ jest on człowiekiem istotnie bardzo wielkim, nie śmiem twierdzić, że zarzuty jego przeciwko niektórym ustępom mojego dzieła nie mają wielkiéj wagi, gdyż jego wielkie imię i uczoność na wszystkich polach nauki każą

---

[1]) Locke nigdy w listach swoich nie pisał całego nazwiska Leibniza.

mi spodziewać się po nim rzeczy tylko ważnych; jednak sądzę, iż w niektórych miejscach cokolwiek mię źle zrozumiał, co łatwo—jak myślę—przytrafić się może cudzoziemcowi, który uczył się angielskiego za granicami Anglii". Molyneux ciekaw był poznać „*Réflexions*" Leibniza, ale z góry oświadczył Locke'owi, że pomimo wielkiéj jego sławy (szczególnie na polu matematyki), nie oczekuje od niego wielkich rzeczy w dziedzinie filozofii, gdyż to, co dotąd wydrukował w „*Acta eruditorum*" z r. 1694 i 1695, było dlań w wielu miejscach całkiem niezrozumiałe; „być jednak może—dodaje ostrożny Molyneux—wina tkwi we mnie, a nie w nim". Po tém oświadczeniu przyjaciela i Locke nabrał odwagi do wypowiedzenia swego zdania o Leibnizu bez ogródki. „Mr. Cunningham—pisał on, przesyłając Molyneux'mu kopię „*Réflexions*"—dostarczył mi pismo zeszłéj zimy; czytaliśmy je obaj rozdział za rozdziałem, i wyznał mi, że niektórych ustępów nie rozumie; okazłem mu więc, jak również w innych miejscach pogląd L... a nie wytrzymuje krytyki, a on w zupełności moje zdanie podzielał. Przytaczam świadectwo Mr. Cunninghama tak z uwagi na jego uczoność niewątpliwą, jak i ze względu na jego przyjaźń z L...em. Pragnąc na Pańską szczerość równą odpowiedzieć szczerością, wyznaję iż wielkie imię L...a budziło we mnie nadzieje, których nieziściła treść jego rozprawy, ani cytowana przez niego rozprawa z *Acta eruditorum*: z téj ostatniéj wyniosłem podczas czytania wrażenie, jakie—przypuszczam—i Pan posiadasz. Wnoszę stąd tylko, że nawet wielkie talenty nie są w stanie zapanować nad pewnemi przedmiotami bez wielkiego zastanowienia, i że właśnie największe głowy często miewają najwęższe gardziele". A gdy z Holandyi nadeszły również o Leibnizu dość nieprzychylne odezwy, a Molyneux po przeczytaniu „*Réflexions*" nie cofnął swego o nim poglądu surowego, Locke utwierdził się ostatecznie w przekonaniu, że „Leibniz również mało siebie rozumie, jak go inni rozumieją" [1]).

Starania Burnet'a, aby spełnić życzenie kilkakrotnie przez Leibniza powtórzone i pobudzić Locke'a do wypowiedzenia swego sądu o „*Réflexions*" spełzły na niczém. Locke powoływał się już to na zły stan zdrowia, już to na rozliczne zajęcia, nadsyłał Leibnizowi, za pośrednictwem Burneta, dzieła swoje, nie szczędząc mu najgrzeczniejszych komplementów,—ale od korespondencyi i rozpraw z filozofem niemieckim stanowczo się uchylał. Tém gorliwiéj śledził Leibniz przebieg świeżo wybuchłéj polemiki między Locke'm a Stillingfleetem i coraz

---

[1]) Nie są to własne słowa Locke'a; powtarza on tylko sąd jednego z swych przyjaciół holenderskich.

większego nabierał przeświadczenia o wielkiém przeciwieństwie między jego własną a Locke'a filozofią. Uwiadomiony przez Burnet'a, iż Locke niektórych ustępów z jego „*Réflexions*" nie rozumie dokładnie, przerobił je na nowo i Locke'owi jeszcze raz przesłał, ale nadaremnie: ten, jak poprzednio, pozostawał niewzruszony, i z odpowiedzi danych Burnet'owi widać było, że wogóle nie chce replikować. On, który tak radośnie witał wszelką sposobność poznania i pozyskania przyjaźni każdego szlachetnego i wykształconego człowieka, on—dziwna rzecz—wymówił się od przyjaźni właśnie filozofa niemieckiego. Być może, wiek podeszły, słabe zdrowie oraz niektóre prace literackie, będące na ukończeniu, skłoniły go po części do takiego postępowania, ale tylko po części. Głównie jednak mistyczna cecha filozofii leibnizowskiéj odstręczała śmiałego napastnika wrodzonych idei, następnie poważnienie się niektórych jego przyjaciół z Leibnizem, a wreszcie—i bodaj czy w najmniejszym stopniu—natrętny niemal sposób, w jaki Leibniz usiłował wywiadywać się o jego poglądach. A kto wie, czy nie doszły go już posłuchy, że Leibniz wyrażał się o jego filozofii, jako o niebezpiecznéj i pełnéj „fałszywych a nizkich pojęć o człowieku, duszy, rozumie a nawet o Bogu" [1]). Przekład francuski „Szkicu", [2]) wydany w r. 1700, skłonił Leibniza do ponownego czytania dzieła Locke'a. Zaczął spisywać uwagi krytyczne do pojedyńczych części „Szkicu" w postaci dyalogu między locke'istą i zwolennikiem jego własnéj filozofii, i stąd powstały „*Nouveaux Essais sur l'entendement*". W roku 1704 obszerne to dzieło było już ukończone i oddane tylko do rewizyi stylistycznéj uczonemu francuzowi Hugony; nim jednak rewizya doszła do skutku, Locke pożegnał się z tym światem. Gdy nadto Leibniz dowiedział się od Coste'a o ważnych poprawkach, dla przekładu przez Locke'a poczynionych, które przed ogłoszeniem „*Nouveaux Essais*" koniecznie uwzględnić należy, wtedy zupełnie zaniechał wydania swojéj książki, raz że stracił ochotę ogłaszania uwag o dziele zmarłego już autora, powtóre ponieważ wolał myśli swoje publikować niezależnie od poglądów innego autora. I to było powodem, że „*Nouveaux Essais*" ujrzały światło dzienne dopiero w lat 50 po śmierci Leibniza (1765), w wydaniu Raspe'a: „*Oeuvres philosophiques latines et français de feu Mr. de Leibniz*".

---

[1]) Słowa Leibniza w liście do Malebranche'a.

[2]) Tłómaczył go pod kierunkiem Locke'a Pierre Coste (1668—1747), emigrant francuski, przyjaciel Le Clerc'a i Boyle'a, już poprzednie znany, jako dzielny tłómacz dzieł filozofa angielskiego. Z polecenia Le Clerc'a zaproszony przez lady Masham do Oates na wychowawcę małego jéj synka, tamże przykładu pod okiem filozofa dokonał.

Streściwszy w przedmowie do „*Nouveaux Essais*" najważniejsze różnice między własną a Locke'a filozofią, przystępuje Leibniz do obrony swojego stanowiska „z zachowaniem najściślejszéj sprawiedliwości". Wszakże różnica między jego stanowiskiem filozoficzném a stanowiskiem Locke'a była tak olbrzymia, że, konsekwentnie obstając przy swojém, również mało mógł on zrozumiéć i sprawiedliwie ocenić swojego przeciwnika, jak i ten jego. Słowa, które Leibniz wyrzekł o Locke'u, po przeczytaniu jego ostrego sądu (w „*Familiar letters*") o swojéj osobie, stosują się również dobrze do niego samego. „Bynajmniéj się temu nie dziwię—pisał on wtedy do Remond'a (14/III 1714)—nasze zasady zbyt znacznie różniły się od siebie: to, czego ja broniłem, musiało mu się wydawać paradoksem"... Z jednéj strony racyonalista niemiecki, wpatrzony w ideję i wywodzący z niéj swoje teorye, z drugiéj—praktyczny Anglik, liczący się tylko z faktami: porozumienie się wzajemne było istotnie nad wyraz trudne. Pod względem głębokomyślności Leibniz, bez kwestyi, znacznie wyprzedził swego współzawodnika; ale o tyle również ustępował Locke'owi pod względem jasności i racyonalności w traktowaniu zagadnień poznania oraz bezprzesądnego i wolnomyślnego sposobu myślenia. Nie był on w stanie uwolnić się od przywidzenia, jakoby pewne, acz czysto teoretyczne, nauki Locke'a, np. dotyczące empirycznego pochodzenia naszych wyobrażeń, istoty substancyi i duszy i t. p., podkopywały moralność, posuwając się nawet aż do ostrzegania niektórych wysoko postawionych osób przed grożącém ztamtąd niebezpieczeństwem. Locke niewątpliwie popełnił niesprawiedliwość względem Leibniza, odrzucając bez dokładnego zbadania jego zarzuty. Nie mniéj przecież i Leibniz postąpił niesprawiedliwie, uważając filozofię Locke'a za niebezpieczną dla państwa i szkodliwą dla moralności. Żadnemu z nich nie udało się przekroczyć przepaści, rozwierającéj się między empirycznym a idealistycznym poglądem na świat. Bądź co bądź jednak trzeźwy empiryk angielski więcéj dostarczył zdrowego i użytecznego materyału do dalszego rozwoju zagadnień filozoficznych, aniżeli głębokomyślny racyonalista niemiecki,

Nieustraszony ciągłemi napaściami, Locke pracował nad ulepszeniem głównego swego dzieła, które miało wyjść (1690) w IV wydaniu; wzbogacił je dwoma nowemi rozdziałami: „o kojarzeniu idei" i o „fantazyi", nie licząc wielu poprawek i zmian. Miał być dodany jeszcze trzeci rozdział, podobno największy w całém dziele, p. t. „O kierowaniu umysłu", ale materyał rósł w miarę rozmyślania nad nim, tak iż Locke nie zdołał go wcielić do nowego wydania i wogóle

nie dokończył. Wyszedł on w pismach pośmiertnych, jako fragment pod wzmiankowanym tytułem. Zdaniem Locke'a, człowiekiem kierują przeważnie myśli i wyobrażenia zawarte w jego duszy; przy samokształceniu zatém zwracać się należy przedewszystkiém do rozumu, jego wyobrażeń i wniosków, obserwować je i ulepszać. W przeciwieństwie do niepraktycznéj logiki szkolnéj, pragnie on oprzéć logikę na podstawie empirycznéj, praktycznéj; logika ta ma nasamprzód wyleczyć rozum ludzki z przesądów, budzić jego siły zdrowe a potém dopiéro zostawić go pod kierunkiem światła przyrodzonego. „Każdy człowiek — powiada on — nosi w sobie kamień probierczy, który go uczy odróżniać złoto szczere od szychu, prawdę od pozoru. Użytek i korzyść z tego kamienia, czyli rozumu przyrodzonego, zatracają się jedynie dzięki przyjętym przesądom, urojonym domysłom i ścieśnieniu władz rozumu". Locke postępuje tu tak, jak niegdyś w praktyce lekarskiéj: na zasadzie starannéj obserwacyi daje naprzód patologię rozmaitych czynności umysłowych, potém zaś szereg prawideł terapeutycznych. Rozprawa „O kierowaniu umysłu" tworzy stosowne uzupełnienie „Szkicu" i „Myśli o wychowaniu" i przypomina podobne próby Bacona, Descartes'a i Spinozy, tylko że ci myśliciele rozpoczęli swój zawód filozoficzny od „psychoterapii", gdy Locke na niéj zakończył.

W rzędzie przyjaciół i wielbicieli starego filozofa, odbywających pielgrzymki do Oates, stanął pod koniec jego życia pewien młody człowiek, który tak szybko i bardzo przypadł mu do serca, że wszystkich innych wkrótce sobą przyćmił. Był to Antoni Collins, późniéj tak wsławiony pisarz deistyczny. Locke poznał go jeszcze w Londynie i chętnie z nim obcował, ujęty jego zamiłowaniem prawdy, uprzejmością i usłużnością. Doszły nas 32 listy Locke'a do Collinsa, z jednéj strony pełne tkliwych wyrazów i mądrych napomnień, jak tylko do syna pisać może ojciec całą duszą kochający, z drugiéj—pełne szacunku i hołdu, jakie składać się zwykło ludziom rzeczywiście niepospolitym. W jednym z listów (29/X 1703) pisze: „Gdybym teraz dopiéro miał przyjść na świat, czułbym się bardzo szczęśliwym obok takiego, jak Pan, towarzysza, któryby szczerze prawdę miłował, poważnie jéj wraz ze mną poszukiwał, bez osłony mi jéj udzielał i któremu ja również otwarcie mógłbym wypowiadać to, co za prawdę poczytuję. Wierz mi, kochany przyjacielu, kochać prawdę dla prawdy—najlepsza to część ludzkiéj na tym świecie doskonałości i szczepnica wszystkich innych cnót; a jeżeli się nie mylę, Pan posiadasz tę zaletę w takim stopniu, w jakim

nie wiem, czy kiedykolwiek i u kogokolwiek napotykałem". W dalszym zaś ciągu powiada: „tylko człowiekowi w Pańskim wieku, a raczéj właśnie panu przeznaczoném jest zabrać się i dokonać dzieła, za które świat byłby do wdzięczności obowiązany". Collins dzieła tego dokonał. Czy tak je sobie Locke wystawiał lub nawet przypuszczał, iż tak wyglądać będzie—kto na to pytanie potrafi odpowiedzieć?!—Piotr King i Collins zaopatrywali Locke'a: pierwszy w gazety i wiadomości polityczne, drugi—w najważniejsze nowości literackie, donosząc mu przedewszystkiém o wymierzonych przeciw niemu pismach polemicznych. Z powodu mnożenia się tychże, pisał do Collinsa obojętny już na wszystkie napaści Locke: „człowiek jestem biedny i niewiedzący i jeżeli czém pochwalić się mogę, to chyba szczerém zamiłowaniem i poszukiwaniem prawdy, bez względu na to, czy się komu podoba lub nie podoba. Gdy jednak niezmordowany bojownik, Jonas Proast, w r. 1704 znowu ważył się napastować jego „List o tolerancyi", dogorywający niemal starzec zebrał resztki sił i zaczął pisać „Czwarty list o tolerancyi"—ostatni pomnik jego duszy wzniosłéj, niestety niedokończony. Niemile téż czuł się dotknięty wiadomością z Oksfordu o naradach przedstawicieli kilku kolegiów nad sposobami wyrugowania jego filozofii z uniwersytetu. Mr. Tyrrell, który doniósł o tém Locke'owi, sądził wprawdzie, że „Locke nie powinien nieprzystojnéj gorliwości kilku jednostek kłaść na karb całego uniwersytetu, tak samo jak się nie potępia całego kościoła za winy biskupów", ale filozof wiedział doskonale, gdzie leży źródło owéj nienawiści, oddawna bowiem mało miał prayjaciół na zachowawczym uniwersytecie oksfordzkim. „Jedno przynajmniéj jest pewne—pisał on zrezygnowany do Collinsa—że dla kilku ludzi, którzy zamykają oczy lub odwracają głowy i widzieć nie chcą, inni nie dadzą sobie oczu wykłuć". Nie brakło i obrońców jego filozofii, nawet wśród kobiét, jak Rebeka Collier, kaznodziejka u kwakrów, lady Masham, a szczególnie piękna autorka Katarzyna Cockburn (1679—1749). „Wielki Bóg—pisał on do Limborcha—musiałby drugiego zesłać Zbawiciela, gdyby wszystkie istoty niewolnicze i czepiające się ograniczoności ludzkiéj miały zostać nawrócone".

Siły coraz bardziéj go opuszczały, a nie mogąc dla zbytniéj słabości znosić jazdy w zwyczajnym powozie, postanowił, za pośrednictwem Collinsa, nabyć umyślnie w tym celu zbudowaną karetę, udzielając mu przytém najdrobiazgowszych wskazówek: aby była wygodna a lekka, ale nie raziła okazałością. „Przez całe życie moje—pisał—byłem przeciwnikiem wszelkiéj ostentacyi. i nic bardziéj nie odpowiadało mojemu stanowisku i usposobieniu, jak zasada: „*qui be-*

ne latuit, bene vixit". Powóz był gotów w końcu lipca, i Locke ledwo mógł się doczekać jego przybycia wraz z Collinsem. „Co chwila—pisze—wyglądam karety; nie z tęsknoty za nią, lecz za mężem, proszę uważać, za mężem, który ma nią przyjechać; mężem, który nie ma sobie równego, a w dodatku mnie kocha. Jeżeli żałuję méj starości, to wyłącznie ze względu na Pana, który w świat mię przywołujesz właśnie w chwili, gdy go zamierzam opuścić, jako miejsce zawierające w sobie nader mało cennego". Locke spokojnie i bez obawy oczekiwał śmierci. Jeszcze w sierpniu 1704 r., na życzenie Collinsa, dał zrobić swój portret, a w początku września podpisał testament. Poczynając od przyjaciół i znajomych i kończąc na biednych wyrobnikach z Oates—o wszystkich pamiętał. Większą część gotówki (3,000 funt.) przeznaczył dla młodego Masham'a, również połowę biblioteki; drugą połowę wraz z rękopismami otrzymał Piotr King. Dobra rodzinne w Somerset podzielił między kuzynów, Kinga i Stratton'a, czyniąc pierwszego jedynym wykonawcą testamentu. W osobnym zaś kodycylu, na skutek zapytania d-ra Hudson'a, bibliotekarza księgozbioru Bodley'ańskiego w Oksfordzie, potwierdził wreszcie autentyczność swoich utworów literackich. Niedługo Locke używał tak upragnionéj karety; na początku jesieni był już tylko w stanie schodzić do ogrodu, a gdy i do kościoła było mu za daleko, poprosił do siebie, na kilka tygodni przed zgonem, duchownego z High-Lawer dla przyjęcia komunii. Wówczas—jak utrzymuje Le Clerc—miał oświadczyć: „że względem wszystkich ludzi żywi uczucia prawdziwéj miłości i żyje w szczerym związku z całym kościołem Chrystusa, bez względu na nazwę jego członków". 28 października 1704 r. życie zakończył. Pochowano go 31/X w kościele parafialnym w High-Lawer, w zwyczajnéj trumnie drewnianéj i bez ostentacyi; taka bowiem była wola zmarłego. Pieniądze zaś, których wymagałby pogrzeb okazalszy, przeznaczył na odzież dla czterech biednych wyrobników z Oattes. Napis, umieszczony na ścianie kościoła, sam Locke ułożył sobie za życia. Brzmi on (w przekładzie z łacińskiego), jak następuje: „Zatrzymaj się, przechodniu! Tu spoczywa John Locke. Pytasz, kto to był? Tedy ci odpowiada on: człowiek, który żył zadowolony z swego losu skromnego. Wychowany w naukach, osiągnął on tyle tylko, że służył jedynie prawdzie. Dowiédz się o tém z jego pism: prawdziwiéj cię o tém pouczą, co po nim zostało, aniżeli podejrzane pochwały napisu grobowego. Cnoty jego, jeżeli je posiadał, zbyt były małe, aby się mógł niemi chwalić lub innym za przykład stawiać. Jego błędy niechaj z nim pogrzebane będą. Jeżeli szukasz wzoru cnoty, znajdziesz go w ewangelii; wzoru grzechu obyś lepiéj nigdzie nie znalazł! Obraz śmierci

(niech ci to będzie napomnieniem) znajdziesz tu i wszędzie.—Urodził się 29 sierpnia 1632 r., zmarł 28 października 1704; o czém świadczy niniejsza tablica, która niedługo sama zniknie".

„Na wszystkich polach—powiada Windelband w swéj „Historyi filozofii nowożytnéj"—stał on śród prądów duchowych swego czasu i na czele dążeń umysłowych, które wypełniły następujące po nim stulecie. Dzięki rozsądkowi trzeźwemu i spokojnemu, dzięki ścisłości i jasności swych rozmyślań, stał się on szlachetnym wzorem całéj epoki oświaty, a nauki jego tworzą niejako preludyum do wielkiéj symfonii ideowéj tego okresu, preludyum, w którém wszystkie fale, wszystkie pojedyńcze formy ruchu dźwięczą to głośniéj, to znowu ciszéj. W szczególności dla oświaty angielskiéj jest Locke duchem kierującym, na którego myślach opierają się wszelkie kierunki, tak te, które uzupełniają i daléj rozwijają jego dzieło, jak również i te, które je zmieniają i zwalczają".

Dr. A. Grosglik.



Z doświadczeń przeszłości.

Roger hr. Łubieński: *Generał Tomasz Pomian hr. Łubieński* (z trzema rycinami). Warszawa, 1899, tomów dwa, str. 541 i 536.

Znany w dziejach Księstwa Warszawskiego minister sprawiedliwości i spraw zagranicznych, Feliks Łubieński, starosta nakielski i zagojski, niegdyś komisarz cywilno-wojskowy przy armii Kościuszki, a następnie w okresie lat 1795 — 1806 hrabia pruski i kawaler Orła czerwonego, miał z Tekli Bielińskiéj, starościanki czerskiéj, oprócz trzech córek, siedmiu synów, z których drugi z rzędu, Tomasz, urodzony 29 grudnia 1784 r., służył w sławnym z pod Samo-Sierry pułku Krasińskiego szwoleżerów gwardyi, otrzymał godność barona cesarstwa, towarzyszył wielkiéj armii bohatéra wieku we wszystkich niemal jéj pochodach i bitwach, następnie zaś, po upadku Napoleona, przeniósł się do armii nowoutworzonego Królestwa Polskiego w stopniu generała brygady, podał się do dymisyi w r. 1816, czynnie popierał plany Lubeckiego — wziął udział w kampanii 1831 roku i pozostawszy, po jéj zamknięciu, w kraju, krzątał się około podniesienia rozmaitych gałęzi przedsiębiorczości przemysłowéj i ekonomicznéj.

Różnorodną tę działalność generała Tomasza, Roger hr. Łubieński skréślił obecnie w obszernéj monografii osnutéj niemal wyłącznie na olbrzymiéj korespondencyi familijnéj Łubieńskich — na listach

hr. Tomasza, pisanych do ojca, ministra, do żony, Konstancyi z Ossolińskich, do braci i t. d. W obfitym materyale biograficznym przeważają z natury rzeczy i zadania szczegóły domowe, towarzyskie, obyczajowe. Proporcya owego *genre'u* do współrzędnie rozwijających się wypadków politycznych staje się niekiedy nadmierną; rzecz publiczna maleje szczególnie wobec obawy, nieustannie prześladującéj korespondujących, ażeby poufne ich zwierzenia, przy niepewnych ówczesnych środkach komunikacyi, nie wpadły w ręce niepowołane... Prawda i to także, że ludzie postawieni w samém ognisku wypadków doniosłych widzą na razie to jedynie, co ich najbliżéj, bezpośrednio otacza — czyli, najzwykléj, nie wiedzą nic zgoła, jak my w téj chwili nie widzimy, jaką depeszę wyprawił przed godziną prezydent rzeczypospolitéj do swego ambasadora w Petersburgu, celem wzmocnienia sojuszu franko-rosyjskiego.

Dla przykładu weźmiemy okres najciekawszy i najważniejszy w wojskowéj karyerze generała Tomasza — a zarazem najdonioślejszy w historyi XIX stulecia: przeddzień wtargnięcia Napoleona do Rosyi.

„Berlin, 26 kwietnia 1812. Wsiadam na konia, ażeby na czele regimentu wejść do stolicy Prus; tu zajmiemy kwatery"... I tyle... Regiment Łubieńskiego przybył świeżo z Sedanu, gdzie się sformował i stał czas jakiś załogą. Wyprawiono go „na wschód" pod pozorem „skompletowania kadrów" i zakupna koni,—interes tak był pilnym, że w rozkazie wyruszenia z bagażami i zapasami dodano: „w ciągu 24 godzin". Wojnę czuć było w powietrzu, pokój wisiał na włosku, ale w listach Łubieńskiego do żony, pozostawionéj w Sedanie—o tém ani słówka, ani jednéj litery. Spotkasz co najwyżéj lekkie, zefirowe napomknienie w kształcie prognostyku, jak następujący: „Miałem wczoraj (15 kwietnia) niedobry dzień. Manewrując z moim pulkiem, zgubiłem wszystkie moje pieczątki przy zegarku—straciłem pierścień Sobieskiego i medalion z twojemi włosami". W Berlinie pułk otrzymuje rozkaz do wymarszu daléj „na wschód", — czy również dla zakupna koni?—Prawdopodnie. W korespondencyi hr. Tomasza znajdujemy o tém zaledwie tyle: „Książę Antoni Radziwiłł odprowadził razem ze mną pułk mój aż do pierwszéj wioski, śpiewał ze śpiewakami, których na czele zabrałem, pił z nami, a potém odprowadził mnie napowrót do Berlina (na parę godzin), gdzie zjadłem obiad... Wczoraj (25 kwietnia) na wieczorze u Radziwiłłów byli także książę Wilhelm pruski z żoną, brat i bratowa króla. Z polecenia księżnéj Radziwiłłowéj, przyniosłem z sobą twoją (żony) miniaturę; wszyscy ją admirowali. Książę Wilhelm,

który ciebie znał w Warszawie, powiedział, że byłaś jeszcze piękniejszą"... „a ja z tego powodu rosłem, jak na drożdżach". Idą, jadą, pędzą dniem i nocą... Na wschód, wciąż na wschód — ale o wojnie nikt ani piśnie. „Neuwedel, 5 maja 1812. Małe miasteczko nad ładném jeziorem... Jutro wchodzimy w granice dawnéj Polski, co mnie ogromnie cieszy... Oby te ziemie jak najprędzéj miały rząd silny, nieprzystępny intrygom... Co dzień Boga proszę, aby nasz wielki cesarz kogoś nam dał, co spełnić potrafi te życzenia. Człowiek słaby powiększyłby tylko nasze nieszczęścia"...

Naraz, w d. 10 maja, rozlega się pierwszy strzał armatni... Ale jaki!... O, nie spieszcie się z oklaskami, przyjaciele, — strzał pusty. „Jacobsdorf, 10 maja 1812. W téj chwili otrzymuję wiadomość, która mnie największém szczęściem napełnia. Jest to proklamacya cesarza (Napoleona) do wojska, w któréj przypomina mu dawną odwagę, donosi, że sam przyjeżdża stanąć na jego czele, że zmuszony jest po raz drugi iść na północ, ażeby zwalczać Rosyan, że zapędzi cesarza Aleksandra daleko w głąb jego kraju, że sam stanie w Petersburgu na początku lipca. Polska odbudowana będzie większą jeszcze, niż za czasów króla Stanisława Augusta. Wuj cesarski, książę Wurzburgu, będzie królem. Wiadomość o tém udzielił nam tutaj gospodarz, u którego mieszkam, stary hrabia Osten-Sacken, Polak-prawie popłakaliśmy się z radości. W pułkowym rozkazie dziennym zamieściłem proklamacyę cesarską i darowałem wszystkie areszta. Mówią, że cesarz austryacki wydał taką samą proklamacyę do Polaków, bo teraz z pewnością przyłączy się do nas z całą swoją armią. W proklamacyi (napoleońskiéj) jest także powiedziane, że król pruski jest naszym szczerym przyjacielem i że całe jego wojsko idzie z nami"...

Dziś, po wielu leciech dobrze wiemy, co to wszystko znaczyło; historya rozwarła swoje podwoje—dyplomacya odkryła karty. Napoleon—w grze z Anglikami miał „wielkiego szlema" i Rosyę zapraszał do współki... Napróżno więc ją teraz z kolei s t r a s z y ć zaczął. Dokumenta, o których istnieniu nie mogło się wówczas śnić Łubieńskiemu, dowodzą, że wojna 1812 r. wywiązała się najściśléj według wzorów chińskich, w następstwie wywieszania przeciwko sobie coraz groźniejszych... malowanych smoków. Jednem z takich malowideł było Księstwo Warszawskie. Jeszcze w d. 25 kwietnia 1812 r. Napoleon zaręczał podpisem swym na formalnéj umowie, przesłanéj do Petersburga, że ani wprost ani pośrednio nie przyłoży się do odbudowania Polski. Pełnomocnikowi, odjeżdżającemu w tymże czasie do Warszawy, stanowczo zalecił, w obecności posłów rosyjskich, uczestniczących na audyencyi, aby „strzegł Polaków od niebezpiecz-

nych marzeń"... Wielka armia szeroką ławą posuwała się już ku Wiśle i dolnemu Niemnowi, a jéj wódz jeszcze pisał do swego posła nad Newą, że „Francya zyskać tylko może na tém, gdy cesarz Aleksander dowie się o strasznéj potędze i wystawności przygotowań francuskich"... Atoli Anglia nie żałowała usiłowań, w celu znalezienia odpowiedniego „Stracha". Złotem lub groźbami zjednany sułtan, stateczny aż dotąd sprzymierzeniec Napoleona, przyrzekł, że gotów jest zaprzestać zaciągającéj się na dłuższe lata wojny z Rosyą. Szwecya, pod takimże naciskiem, oświadczyła w Petersburgu, że puszczając w niepamięć świeżą swą stratę (Finlandyę), gotowa jest okazać pomoc Rosyi. Saméj Rosyi Anglia dostarczyła broni, pieniędzy — a na ludziach nie zbywało tam nigdy. W odpowiedzi na „szachrajstwa" angielskie Napoleon zawarł konwencye tajne z pobitą powielekroć Austryą i ze zduszonemi Prusami; w Wiedniu i Berlinie przyrzekano, kurcząc się i kłaniając — że zaledwie po 30,000 żołnierza oba państwa dostarczyć są w możności, przeważnie z rezerw i pułków kresowych (kaszubskich i galicyjskich); Napelon kazał tymczasem rozgłosić, że Austrya i Prusy połączą z Francyą wszystkie swe siły. W Londynie wszakże, zarówno jak i w Petersburgu, dobrze wiedziano, co trzymać o tych nowych zachodach napoleońskich; tu i tam, nad Tamizą i nad Newą, Metternich zawczasu dał znać, że ze strony Austryi „niczego lękać się nie trzeba"; Prusy były bardziéj jeszcze kategoryczne: one przesłały do Petersburga cały nawet plan kampanii, ze wskazówkami słabych punktów najazdu i mocnych—odporu.

Trzeba teraz było chwycić się radykalniejszych, pewniejszych sposobów „zalewania sadła za skórę". Wtedy to w Paryżu wydano głośne owe odezwy do wojska, nad któremi stary Polak Osten-Sacken tak się rozczulał z Łubieńskim, — i w dniu 8 maja 1812 r. Napoleon opuścił St. Cloud. Ale się wcale nie spieszył. Widocznie oczekiwał on na rezultat najświeższego swego „widma"... I lubo ostatni jego poseł do cesarza Aleksandra, Lauriston, nic nie wskórał, Napoleon zatrzymał się 17 maja w Dreźnie i niecierpliwie wyglądał powrotu jeszcze jednego swego poselstwa; udał się z niém do Wilna Narbonne; ale i ten, 25 maja, z niczém powrócił. Nie zraziło to przecież zatopionego w majaczeniach zwycięzcy z pod Austerlitzu: zwlekał, rozważał, robił w podróży zwroty zygzakowe. W dniu 30 maja widzimy go w Poznaniu; przyjęty manifestacyjnie przez Wybickiego, Sobolewskiego i rycerstwo, jako „odnowiciel ojczyzny", zamierza wyruszyć wprost do Warszawy; pokoje dla niego już są przygotowane na zamku. Nagle, skręca do Gdańska i Królewca

(12 czerwca), gdzie wciąż jeszcze się przysłuchuje, czy cesarz Aleksander nie namyśli się, nie cofnie. Ale i tu zawiedziony, gdy już pora wojenna do połowy ubiega, wypowiada w Wiłkowyszkach (22 czerwca) wojnę... Wojska przekraczają—przekroczyły już Niemen, a Napoleon jeszcze chwyta po drodze oficerów, sztabowców rosyjskich, i daje do zrozumienia — wyprawiając ich do Wilna lub Petersburga, że „czas jeszcze"... Chwali się przed nimi, że ma do stu tysięcy polaków pod swojemi chorągwiami, że może mieć dwakroć, trzykroć...—ale to drobiazg. Wszystko się da naprawić, urządzić... Boć przecie i owe sto tysięcy tak zostały rozproszone, rozmieszczone, iż jest wojsko polskie — i w razie potrzeby — niema go wcale...

Rzeczywiście. W d. 23 czerwca, kiedy Napoleon „w czapce i płaszczu oficera polskiego" ogląda brzegi Niemna pod Kownem.— spytajmy: gdzie się naprawdę znajduje świetny, piękny ten nasz pułk jazdy Łubieńskiego? — Ze świecą w ręku szukać go trzeba zarówno w urzędowych buletynach wielkiéj armii, jak i w prywatnéj korespondencyi jego szefa. „Rolan, wieś pod Grudziądzem, 21 maja 1812 r. Mieszkamy tutaj od kilku dni u jednego starego obywatela Pawłowskiego. Gospodarz jest to jeden z tych dawnych okazów, którzy nic innego nie rozumieją, tylko język polski, gospodarkę, modlitwę i gręw maryasza; poczciwy i skąpy. Żona jego nosi czepiec naszych prababek, nigdy nie widziałem takiéj wielkości, przytém tłusta, w ciągłych submisyach i przeproszeniach za skromne przyjęcie... Czytam sobie Wielkość i upadek cesarstwa rzymskiego, co mi wielką sprawia przyjemność"... Wobec przewlekającéj się decyzyi Napoleona, szef pułku ma czas nietylko na czytanie, ale téż—otrzymawszy formalne pozwolenie od zwierzchności — na odwiedzenie ojca i rodziny w Warszawie... Za powrotem, donosi żonie między innemi szczegółami z tegoż Rolan, 30 maja: „Jadąc w Warszawie przez Tłómackie, ze smutkiem widziałem okiennice mieszkania twego ojca (kasztelana Ossolińskiego) zamknięte... W salonie mojego ojca (w pałacu Łubieńskich, potem Kossowskich, teraz Zawiszów, na Bielańskiéj) cała rodzina siedziała około stołu, czytano list mój... Byli tam bracia: Franuś z żoną w poważnym stanie, Piotr z żoną i dwojgiem dzieci bardzo miłemi, Henryk i Józef; były siostry. Maryanna (Skarzyńska) ze swoją Teoncią, Paulinka (Morawska) z mężem i dwojgiem dzieci. Posłano po brata Jana i jego żonę. Najmłodsza siostra Rózia (która następnie wyszła za Ludwika Sobańskiego) jest już duża panna, prawie ładna, biała, różowa, bardzo

czysto ubrana, trochę się źle trzyma, dużo ma rozsądku... Maryanna (Skarzyńska) okropnie zbrzydła. Jan i jego żona mają Okuniew, który nawet w tym złym roku daje im 3,000 złotych miesięcznie... Henryk kupił pałac Bielińskich i miasto Bieliny i Otwock za 650,000 złotych, na których miał 50,000 swoich... Widziałem Józefa Krasińskiego—grubszy i więcéj otyły niż dawniéj, jest adjutantem Kniaziewicza. Księżna Eustachowa (Sanguszko) schudła. Księżna Sułkowska i panna Teresa nie zmieniły się. Księżna Aleksandrowa Sapieżyna mieszka w małym pałacyku Branickich; widziałem także księżnę Franciszkową Sapieżynę, a wieczorem byłem u pani Zamoyskiéj ordynatowéj, zawsze bardzo piękna. Księżna Wirtemberska, panna Cecylia, księżna Józefowa Czartoryska, panie: Chodkiewicz, Stasiowa Potocka, stara kasztelanowa Połaniecka—wszystkie się o ciebie pytały... Powóz (w powrocie) miałem wyładowany przez wszystkich, a Henryk mnie odprowadził do Sochaczewa"... „Sollnicken, blizko Królewca, 12 czerwca 1812 r. Dziękuję ci (kochana żono) za wszystko, coś zrobiła dla Henryka—jest to partya, któréj on bardzo pragnie. Wiesz, że Wielopolscy chcą koniecznie dać mu córkę ich Krystynę i że go już nazywają swoim zięciem". — „15 czerwca. Jest 3-cia w nocy. W téj chwili otrzymuję rozkaz wymarszu... na rewię cesarską". — „Biwak pod Josterburgiem, 17 czerwca: Tak niewyraźnie piszę, bo leżę na trawie. Odsyłam dziś moje powozy i bagaże do Elbląga"... I nic więcéj, nic zgoła o wypadkach, które w odezwie Napoleona z Wiłkowyszek otrzymały ogólne miano— wciąż jeszcze dla postrachu — „drugiéj wojny polskiéj". Dopiéro z kilku listów datowanych: Bobty 2 lipca, blizko Dryswiat 18 lipca, biwak niedaleko Połocka 12 sierpnia — otrzymujemy parę nikłych wskazówek ogólniejszego znaczenia: jak np. „na Litwie wszyscy Polacy przychodzą do mnie czy to niby prosić o obronę (od Francuzów), czy to, ze skargami; robię co mogę"; „Rosyanie podobno się nas boją"; „przybyla do Wilna deputacya posłów, do któréj należą zdaje mi się mój ojciec i jeden z moich braci, ażeby ofiarować koronę polską cesarzowi"; „pułk mój należy do korpusu generała Oudino, u którego jadam obiady, i do dywizyi genera Corbineau, który jest... osłem".

Nareszcież: „dywizya Corbineau, korpus Oudinot!"... Tu jest pułk Łubieńskiego... A inne? A Kniaziewicz, Zajączek, Dąbrowski, Stokowski, Chłopicki, Niemojowski, Aksamitowski, Kosiński, Górski, Krasiński, Sokolnicki, Rożniecki, Gabryel Ogiński, Michał Radziwiłł, Dominik Radziwiłł..,—zwłaszcza ów książe Dominik, co to sumptem swoim wysztyftował dwa pułki i tym sposobem pół Litwy swoich

majątków rzucił na pastwę sekwestru... Trzeba przewertować i zestawić z sobą dwadzieścia foliałów życiorysowych i pamiętnikowych téj-że objętości i treści, co obecny Łubieńskiego, ażeby módz—mniéj więcéj—zmiarkować, że Dominik Radziwiłł, Ogiński, Zajączek...—a raczéj, że pułki: pierwszy, drugi, trzeci, szósty, ósmy, dwunasty, czternasty, piętnasty, szesnasty, siedmnasty piechoty, oraz pułki: pierwszy, czwarty, piąty, dwunasty, trzynasty, piętnasty jazdy, „oddał pod dowództwo cesarz wraz z pierwszym korpusem francuskim marszałka Davoust'a bratu swemu, królowi westfalskiemu; że pułki: piąty, dziesiąty, jedenasty piechoty stanowiły dywizyę Granjean'a w korpusie Macdonalda; pułki szósty, ósmy, dziewiąty, dziesiąty jazdy, przeznaczone do wielkiéj awangardy, zostawały pod dowództwem króla neapolitańskiego, Murata; że pułki drugi, trzeci, siódmy, jedenasty, szesnasty ułanów, i czternasty kirasyerów, wraz z dywizyą kirasyerów fraucuskich składały rezerwowy korpus jazdy Latour-Maubourga; że pułki czwarty, siódmy, dziewiąty piechoty, oraz pułk pierwszy ułanów, wraz z dziewiątym korpusem francuskim znajdowały się pod komendą marszałka Victora, księcia Belluno; że cztery pułki piesze legii nadwiślańskiéj wchodziły w skład dywizyi generała Claparède, i t. d. i t. d. Jedni, z księciem Józefem Poniatowskim znajdowali się kędyś na skrzydle prawém, pod Kobryniem i Słonimem, drudzy z Chłopickim w samym środku gwardyi cesarskiéj, pod Wilnem; inni z Niemojowskim i którymś Radziwiłłem na czele przednich posterunków; jeszcze innych prowadził Stokowski z Hiszpanii; pułk trzynasty piechoty bronił z Kosińskim Zamościa od sprzymierzonych Austryaków Schwarcenberga; pułkownik Mallet doglądał korpusu inżynierów polskich, pułkownik Bontemps pilnował, ażeby się zaprzęgi polskie nie rozprzęgały, ksiądz Pradt strzegł konfederacyi generalnéj w Warszawie, a książę Bassano trzymał na wodzy konfederacyę litewską w Wilnie, pod którą niespokojnie rwały się i rżały konie Biszpinga, Chodkiewicza, Chrapowickiego, Czapskiego, Giełguda, Jelskiego, Konopki, Obuchowicza, Paca, Przezdzieckiego, Platera, Rajeckiego, Tyszkiewicza, Tyzenhauza, Wawrzeckiego...

Co do drugiego pułku ułanów nadwiślańskich (a domyślny czytelnik odgadł już zapewne, że jest to właśnie pułk Tomasza Łubieńskiego), z korespondencyi jego szefa jasno spostrzegamy to jedno tylko, że należał on do ariergardy wielkiéj armii, znajdował się w d. 12 sierpnia 1812 r. na biwaku w pobliżu Łozoska, o 6 mil od Połocka („Mówią, że cesarz nie kontent z księcia Poniatowskiego; Radziwiłł Dominik bije się jak wściekły"), w d. 18 września 1812 r. w Tarnopolu

pod Połockiem („Cesarz widocznie jest pod opieką Opatrzności, bo nie pamiętam, ażeby kiedy w Polsce była ciągle taka przepyszna pogoda“), 28 października w Danielowiczach („Od tygodnia jestem z tém tylko, co mam na sobie, ale nie tracę dobrego humoru, bo wiem, że mam ciebie“,—naturalnie w Sedanie), 17 listopada w Sytiach („graliśmy wczoraj wista, gospodarz Domeyko, Straszewski, Goldberg i ja“); wreszcie 20 grudnia 1812 r.—w Warszawie („ciągle oczekuję rozkazów, gdzie się ma mój pułk zebrać“),—skąd dopiero list dnia 2 stycznia 1813 r.(„wczorajszy wieczór był strasznie smutny i ponury”). Łubieński żonie zasyła życzenie: „oby ten rok mógł być dla nas trochę lepszym!“ Naprowadza to na niejaką mglistą poszlakę, że coś nie coś stać się t a m chyba musiało w Moskwie—i podczas przeprawy przez Berezynę...

Znikły nam z oczu i Moskwa i Berezyna i Warszawa. Rozhukana fala krwi i ognia odpłynęła na Zachód i skryła się za widnokręgiem. Dlaczegóż jednak obrazy miejsc i zdarzeń zaledwie dotkniętych, zaledwie poruszonych w korespondencyi generała Tomasza, tkwią nam w głowie, drgają w sercu, podniecają ciekawość, budzą wyobraźnię? Dlaczego myśl tak uparcie wraca do tych czasów stosunkowo odległych i z taką żywością, z takiém zajęciem krąży dokoła kilku, kilkunastu ludzi, rozsianych na tém tle jaskrawém a chłodném, ponętném choć smutném? Czém się to dzieje, skąd poszło, że najmniéj nawet dziejowo znane, w skromném domowém zaciszu zatarte późniéj imiona owéj doby wynoszą się w pamięci i uczuciach naszych po nad poziom powszedni? Ta pulchna niedobrze ułożona, rozsądna, różowa Rózia, co się z nią stało? Ten wist u Domeyki, ta submitująca się olbrzymia Pawłowska, ten stary Polak Osten-Sacken—wprost spokoju nam nie dają, a ów „wściekle“ z dwoma swemi pułkami bijący się Dominik Radziwiłł alboż przed nami nie wyrasta na olbrzyma, przy którym sam wielki Napoleon niemal jak pigmejczyk wygląda? Jakież losy spotkały tych ludzi w dalszych ich kolejach? Gdzie się podział Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojć, Grabowski, biedny Sak Dobrzyński?

W dwutomowym zbiorze listów i notat hr. Tomasza Łubieńskiego znajdujemy o niektórych z nich wzmianki luźne, przygodne, w natłoku późniejszych wypadków tu i owdzie ukazujące się i niknące, jak poetyckie mary lub urojenia senne.

Drezno 18 lutego 1813 r., „oddałem wizyty wojewodzinie Działyńskiéj, paniom Jaraczewskiéj, Fiszerowéj, Z a j ą c z k o w é j”... „Wieczorem był wieczór... u Bielińskich, gdzie cała kolonia polska się zbiera; panna P o n i a t o w s k a i pani Niesiołowska śpiewały“. Lipsk 29 lutego: „generał C h ł o p i c k i mieszka w tym samym co i ja

domu, idę mu oddać wizytę chociaż go jeszcze nie znam". Paryż, 9 kwietnia: „z kolonii polskiéj są tu panie Walewska, Antoniowa Potocka, Wincentowa i Sidonia Potockie, panowie Golkowski, Malarzewski, Pac". Wachsdorf, 30 lipca (do ojca): „Żona moja jest w Paryżu. Z Sedanu pisze Hoffman, że przybył tam Plater, kapitan legii nadwiślańskiéj, powracał przez Galicyę i Wiedeń, nie mógł się nadziwić entuzyazmowi niemieckiemu, ale bynajmniéj nie za naszą stroną; elegantki wiedeńskie wniosły w modę kolczyki, które nazywają *die Kozaken*". W następującéj potém zawierusze wojennéj giną listy bez śladu aż do 15 stycznia 1814 r., kiedy hr. Tomasz pisze z Sedanu do żony w Paryżu: „generał Dąbrowski pojechał po żonę swoją do Verdun; powiadają, że mu skonfiskowane te dobra, które miał od rządu". Paryż, 29 stycznia: „Kozietulski (bohater z pod Samo-Sierry) przyjechał wczoraj z wojska, jedliśmy śniadanie i obiad razem, mieszka ze mną w hotelu angielskim". W czerwcu tegoż roku 1814 generał Tomasz „z piersią okrytą orderami a ciałem ranami—jak się wyraża jego biograf, hr. Roger Łubieński,—słynny już z kilku potyczek, gdzie, jak pod Samo-Sierra, Berezyną, Kulmem, z chwałą się odznaczył", podaje się do uwolnienia i ustępuje z placu boju, zdobywszy „własnym pałaszem, w 29 roku życia, stopień generała"... Odtąd marzy już tylko o powrocie do kraju, témbardziéj że „ojciec jego, pan minister, w Paryżu bawiący, był chory i latami nachylony, majątek obszerny po pani kasztelanowéj podlaskiéj Ossolińskiéj wymagał opieki, dzieciom trzeba było zabezpieczyć przyszłość, a żonie Konstancyi było pilno do domu po tak długiém wygnaniu". W tym to może głównie celu, po wejściu wojsk koalicyi do Paryża, hr. Tomasz z żoną pilnie uczęszczali na wszystkie fety i przyjęcia zebranych monarchów. I właśnie podczas jednego z takich balów, cesarz Aleksander, w rozmowie „z zawsze piękną Konstancyą", powiedział, że ma nadzieję, iż mąż będzie równie świetnie jemu i ojczyźnie służył, jak służył Napoleonowi. Znając zaś przywiązanie państwa Tomaszów do upadłego cesarza i blizkie stosunki łączące generałową Konstancyę z dworem i rodziną Napoleona, dodał, że „niechętnie podjął wojnę przeciwko Napoleonowi, ale że trzeba było raz skończyć z tym człowiekiem, inaczéj Europa nigdyby nie miała spokoju"...

W liczbie kilku zleceń, jakiemi cesarz Aleksander obarczył wtedy hr. Tomasza, była téż i likwidacya rozmaitych „wieczystych" dotacyi, przyznanych przez Napoleona oficerom i żołnierzom polskim. Razem dotacyi takich było 173; biograf hr. Łubieńskiego wymienia główniejsze z nazwiskami osób obdarowanych i przypuszczalną

kwotą dochodu z dóbr nadanych, według szacunku „do śmieszności nizkiego“. Dotacye w samym kraju otrzymali: książe Józef Poniatowski 25,000 franków rocznie, książe Sapieha 25,900, generał Krasiński 39,000, generał Dąbrowski 50,000, generał Zajączek 50,000. Zaznaczyć trzeba, że bardzo wielu marszałków i generałów francuskich i jedna księżna (Paulina de Guastalla) otrzymali dobra i uposażenia oparte na starostwach rządowych w prefekturach (prowincyach): warszawskiéj, poznańskiéj, kaliskiéj, płockiéj, bydgoskiéj. Dochody tych panów z tego tytułu wynosić miały zaledwie do 2,000,000 franków. Inne dotacye polaków oparte były na rozmaitych dobrach, miastach, cłach, położonych po za granicami kraju, tudzież na towarzystwie akcyjném, zarządzającém miastami Beureuth, Erfurt, Fulda, Hanau i t. d., na kopalniach ołowiu w Illiryi, na kopalniach cyny w Karyntyi. Najwyższą z nich, 12,000 fr. otrzymał Chłopicki, po nim 6,000 fr. Tomasz Łubieński, 5,000 fr. Chłapowski; idą daléj, po 4,000 fr.: Adam Bieliński, Paweł Fondzielski, Michał Kosiński, Kąsinowski, Michałowski, Jakób Stokowski; po 2,000 fr.: Maciej Bayer, Ludwik Dembowski, Wojciech Godlewski, Klicki, Jan Kozietulski, Adam Mirosławski, Olszewski, Pawełecki, Józef Regulski, Franciszek Schütz; po 1,000 fr.: Józef Bohdanowicz, Piotr Daszkiewicz, Seweryn Fredro, Piotr Krasiński, Ludwik Krąkowski, Makary Murzynowski, Józef Urwiński, Markowski, Wincenty Szeptycki, Wojciech Stawski, Kajetan Wysocki, Paweł Jerzmanowski, Ludwik Żukowski; po 500 fr.: Jan Bierzyński, Wincenty Dobiecki, Adam Jaraczewski, Ludwik Kruszewski, Maksymilian Lassocki, Franciszek Łubieński, Franciszek Łuszczewski, Niegolewski, Stanisław Roztworowski, Ambroży Skarzyński, Kaźmierz Skarzyński, Aleksander Smarzewski, Józef Wybicki, Stanisław Wąsowicz, Wincenty Wendorff, Jan Wołłowicz, Wincenty Zajączek, Stanisław Zawadzki, Marcin Zielińskii inni.

Szczególną jest ta epopea roku 1812!—Rozstać się z nią nie sposób, pomimo że następują po niéj okresy dziejów pod każdym względem ważne i interesujące, kiedy społeczność nasza żyje życiem pełniejszém, wszechstronniejszém, przedewszystkiém zaś normalniejszém, kiedy się zjawiają działacze bez porównania roztropniejsi, wykształceńsi, praktyczniejsi i kiedy nawet same burze, zrywające się późniéj, są z istoty swéj, z przyczyn i następstw bez porównania więcéj pouczające, bo szerzéj i głębiéj przenikają swojskie, ojczyste, organiczne tkanki bytu narodowego... Oto do narad nad nowemi przeznaczeniami Europy i przyszłością stosunków międzynarodowych zasiada kongres wiedeński; oto tworzy się Królestwo—głośno

i otwarcie nazwane polskiém, z konstytucyą, wojskiem, systemem rządów reprezentacyjnych; oto odbywa się w Warszawie sejm pierwszy, sejm drugi, sejm trzeci, organizuje się Towarzystwo kredytowe ziemskie, powstaje Bank polski, rodzą się pierwsze na większą skalę pomyślane instytucye finansowe, towarzystwa ubezpieczeń od ognia, statków parowych na Wiśle, oszczędności, fabryki płócien (w Żyrardowie), cukru (w Guzowie), papieru (w Jeziornie), podnosi się przemysł, kwitną rzemiosła, krzewi się i uszlachetnia handel, rozpala się światło wiedzy trwałéj i pożytecznéj... I znów wichry wywracają to wszystko, unoszą, łamią do cna lub do połowy, a wśród ruin toczą się batalje jedna od drugiéj gorętsze i świetniejsze, jedna od drugiéj krwawsze,—pod Wawrem, Grochowem, Dębem wielkiém, Iganiami, Nurem, Ostrołęką, Wolą, w których trakcie i po ich zakończeniu nie mija hr. Tomasza ani ciernisty wieniec zastępstwa naczelnego wodza, ani wysoki zaszczyt monarszego ułaskawienia w drodze do Wołogdy... Raz jeszcze w orszaku klęsk licznych nadchodzi opamiętanie, raz jeszcze praca spokojna puka nieśmiało do drzwi naszych i choć już pokazuje szranki nieskończenie węższe, skromniejsze, trafia jednak powoli do przekonań i dążności ogółu. Więc dźwiga się oto pierwszy młyn parowy na Solcu, staje pierwszy tor kolei żelaznéj z Warszawy do Grodziska, zarysowują się pierwsze powały szkół fachowych w Królestwie, ukazuje się pierwsze poważniejsze czasopismo polskie, „Biblioteka warszawska“... A wszakże, śledząc w korespondencyi Łubieńskich dorywcze jak zawsze i jak zawsze oględne wzmianki o tych różnorodnych przejściach od nadziei do niedoli i napowrót, ani razu nigdzie nie pomyli się ani serce, ani ołówek: jedno i drugi drgnie ci zawsze za każdym zoczonym krzyżykiem napoleonisty, za każdém stuknięciem drewna, zastępującego nogę straconą pod murami Smoleńska lub na polach Borodina... I migocą te krzyżyki w zwierciadle twéj duszy i słyszysz w swym mózgu odgłosy tych kroków drewnianych długo, długo,—nawet po zgonie Łubieńskiego... „Kobyliński, bez nóg, żeni się z panną Dembowską, już kupuje prezenta ślubne“... „Sokolnicki napisał broszurę, ale taką, że nie śmie nigdzie się pokazać w Warszawie,—bo Warszawa wesoła, śmieje się, bawi,—chociaż wszystkie wsie płaczą”. „Musiałem zmienić administracyę majątku, wziąłem starego wachmistrza gwardyi napoleońskiéj na gumiennego, ekonomem został jeden z dawnych moich oficerów”. „Nędza wszędzie okropna. Są tu domy po wsiach, gdzie dzieci puchną z głodu; starsi idą na zarobek, przy którym częstokroć nie mają co włożyć do ust”. „Panna Elżbieta Krasińska wychodzi za Jaraczewskiego, oficera

mego pułku; namawiałem pannę Elżbietę do tego: on jest rzeczywiście porządnym człowiekiem, bez wielkiego majątku, na wojnie ranami okryty". „Nie wiem czy Henryk ojcu napisał, co cesarz Aleksander powiedział stryjowi Ogińskiemu na prywatnéj audyencyi, którą mu udzielił... Nie chce, aby Polacy prosili go publicznie i oficyalnie o przyłączenie prowincyi, należących do Cesarstwa. Pragnie zrobić te zmiany z własnego natchnienia i z własnéj inicyatywy". „Ogromnie wiele osób zastałem tu w Karlsbadzie (4 lipca 1816). Jest ks. Henryk Lubomirski, p. Mier, którego poznałaś w Paryżu, pan Chołoniewski ze Lwowa, panie Mierzejewska i Chrzanowska z rodziną, panowie Kaczkowski, Błędowski, x. arcybiskup Raczyński, państwo Dwerniccy z Galicyi, jakaś pani Morawska z Litwy i dużo innych Polaków... Nie wolno mi teraz (12 lipca) z domu wychodzić, ale przychodzą do mnie ciągle Walicki, Mniszech, Lubomirski, Chołoniewska, Zosia Wielopolska... Karlsbad ciągle się naszymi napełnia (8 sierpnia), w mieście tylko polski język wszędzie słychać... Kniaziewicz wczoraj tu przyjechał (19 sierpnia)... Przybył tu (25 sierpnia) książe Salm Salm, dawny oficer mego pułku, którego ty także znałaś w Warszawie, ożeniony z panną Bacciochi, kuzynką Napoleona; wszyscy się od nich odwracają,—ja często u nich bywam i Wielopolskich z niemi poznałem. Jakże losy ich się odmieniły!"... „Jest tu obecnie (9 lipca 1817 r.) i król pruski i bardzo wiele osób, wszyscy gonią za przyjemnością. Trybu tutejszego życia nie lubię, jednak dosyć dobrze się bawię, mając za zasadę i w moim charakterze: wyć z wilkami i ze wszystkiego korzystać"... Nie zapomnijmy w końcu i o pannie Rózi, wyładniała, sformowała się—i jakby przeczuwając przyszłe swe zmartwienia i nędze, które mężnie znosić miała na wygnaniu, z mężem Ludwikiem, uczyła się daléj, „jak być rozsądną, poprzestawać na małém, nie zazdrościć innym". Listy jéj od wczesnéj młodości odznaczają się prostotą, trzeźwością sądu i polszczyzną—jak na owe czasy, bardzo dobrą. „Dowiedziałam się z prawdziwą przyjemnością—pisze w d. 18 czerwca 1818 r. do hr. Tomaszowéj—że bardzo dużo tańcowałaś tego roku w Warszawie mazura i że nietylko w Karlsbadzie przeszłego roku byłaś zawsze królową balu, ale w stolicy odniosłaś także koronę najlepszéj tancerki tego tańca narodowego"... Nazajutrz po otwarciu drugiego sejmu Królestwa generał Tomasz pisze do swego ojca o młodziutkiéj swojéj siostrzyczce: „Rózia wszędzie się podobała, gdzie tylko była. Debiutować będzie jutro (17 września 1820 r.) na balu u pana Nowosilcowa"... Tylko o Napoleonie zupełnie głucho w korespondencyi Łubieńskich. Dopiero w d. 23 paź-

dziernika 1821 r. pisze hr. Tomasz do żony: „Odesłałem ojcu do Zagościa wszystkie numery *Constitutionel* od śmierci Napoleona“ (um. 14 maja 1821).

Najświetniejsze i najwspanialsze wątki tradycyi wyczerpują się przecież w końcu, bledną, zamierają; czas, grabarz nieubłagany, szczypta po szczypcie sypie na nie piasek dni i tygodni, aż się z laty utworzy mogiła niepamięci, którą zdaleka już tylko okrąża rączy i zmienny potok teraźniejszości bieżącéj. Niekiedy,—ale coraz rzadziéj, woda podmyje cmentarzysko i wyrzuci na brzeg jakąś obnażoną czaszkę, kawałek szyszaka lub zardzewiały pieniądz. Ale z wyjątkiem archeologów nikt na to nie zwraca uwagi. Na widownię występują nowi ludzie, nowe kaszkiety, nowe czapraki, nowe domy, nowe ulice... Za parę lat—pisze w jednėm miejscu hr. Tomasz—nikt Warszawy nie pozna. Przerabia się, prostuje, stroi, myje, brukuje. „Upiększenia miasta są rzeczywiście nadzwyczajne. Rozebrano kościół Dominikanów, podsunięto schody Ś-go Krzyża pod sam kościół! Rozebrano front podwórza domu pani Tarnowskiéj, pałacu Ignacego Potockiego,—robi to ulicę Nowego-Świata wspaniałą. Utworzono piękny plac na rogu ulicy Wierzbowéj i Senatorskiéj, naprzeciw Mariwillu budują fasadę kościołowi Ś-go Andrzeja, utworzono śliczny plac naprzeciwko pałacu Jabłonowskich i budują naprzeciwko ogromny Packhof, budynek o trzech piętrach, z piękną kolumnadą. Pałac księcia Namiestnika (dawniéj Radziwiłłowski) szybko postępuje i także będzie bardzo piękny. Oprócz tego na wszystkie strony budują domy prywatne, co zupełnie przekształca wygląd Warszawy. Szczególnie ładnie zrobili mennicę z pięknemi sztachetami na przodzie, architektura jéj elegancka, pokryta jest miedzią, wszystkie maszyny poruszane będą parą“ (22 listopada 1818 r.)... Niema dawnéj Warszawy, przepadła—i zapewne już podczas wielkiéj uroczystości z dnia 24 maja 1829 r. nie wiele na Bielańskiéj lub na Podwalu znalazłoby się stróżów kamienic, którzyby dokładnie wskazać mogli, którędy Napoleon wjeżdżał po raz pierwszy do Warszawy po bitwie pod Jena, ani jakiemi zaułkami wieziono go po raz ostatni, gdy wracał z pod Moskwy. Wymyka się i nam z rąk napoleońska ta nić przewodnia, jako tako jeszcze grupująca nieprzebrane mnóstwo wiadomostek, z których się składa korespondencya Łubieńskich. Odtąd mamy przed sobą jedynie zamęt, tłok, brak wszelkiego światła... Pozostał wprawdzie ogólny, odwieczny i dotąd niezłomny naszego życia regulator,—nasz rodzimy, dziejowo znamienny stosunek rzeczy i ludzi,—ale jest on, jak na czasy Łubieńskiego za mocny, za dobitny, za jaskrawy. Przeżył on u nas

i pochował nie tylko Napoleona, lecz wszystkich jego poprzedników i wszystkich jego następców: Chmielnickiego i Rakoczego w wieku XVII, Karola XII i Suworowa w wieku XVIII, Paskiewicza, Windischgraetza, Metternicha i Bismarka w wieku XIX. Sami tylko Prusacy w ciągu lat dziesięciu, od 1795 do 1806, zabrawszy się do interesu nieco gruntowniéj, omal-że doszczętnie i do posad stosunku tego nie wykorzenili, nie zaorali, nasieniem własném go nie opatrzyli. Jeżeli wierzyć mamy rzetelności a raczéj pamięci panny Adeli, córki hr. Tomasza, która pewną anegdotkę z ust ojca spisała (bo w listach samego generała Łubieńskiego o tak ważnych sprawach z zasady panuje wszędzie milczenie głuche),—postrzegł tę sprawność prusacką orli wzrok cesarza Mikołaja I, który, odpuszczając w Moskwie hrabiemu Tomaszowi winę udziału jego w powstaniu 1831 r., powiedzieć doń miał, między innemi: „Ja wam wszystko przebaczam, bunt, zdradę, nawet detronizacyę, ale czego wam przebaczyć nie mogę, to żeście zwichnęli cały mój plan rządów. Ja chciałem przez was ucywilizować Rosyę, zbratać w postępie te dwa narody, wyście temu stanęli na przeszkodzie waszą głupią rewolucyą i zmusiliście mnie rzucić się w objęcie Niemców i używania tych największych moich i waszych wrogów“ (II, 102)...

Tak jest, sami tylko Niemcy, a właściwie Prusacy zdolni byli (a czy są jeszcze, niewiadomo) zachwiać do dna stały, odwieczny, przyrodzony, konstytucyjny, organiczny stosunek rzeczy i ludzi w Polsce. Jakiż to stosunek?—Dość trafnie, choć zarodkowo tylko i bodaj czy nie prostym trafem, bez żadnego złego umysłu, skreślił go Łubieński stary, minister, w liście do syna Tomasza z Krakowa z d. 17 lipca 1825 r. „Życie tu wszystkich jednostajne, próżniackie. W innych miejscach dywersyę jakąś robi jeszcze polityka z powodu zdań rozmaitych, tu i to nikogo nie interesuje. Senat robi tylko o ile musi, mieszczanin widzi tysiączne przeszkody do handlu i do pozbycia się wyrobów rzemiosł. Chłop nie znajduje roboty, aby mógł zyskać to, co mu na zapłacenie czynszu potrzeba. Ksiądz widzi, że przy uszczuplonych dochodach traci coraz powagę swego urzędowania, do którego mu się władza świecka wciska. Żadnego planu nadal nikt nie robi. Jeden tylko Straszewski spróbował, lecz i jemu zeszłego roku zawalił się znaczny kawał muru przy Zamku, w tym roku jeszcze większy świeżo wymurowanego,—tak go to zmieszało, że porzucił wszystko i wyjechał do Karlsbadu i Toeplitz“... Zrobił zresztą co i każdy z nas robi, lub myśli robić... „Potocka ze Starzeńską jeszcze tu siedzą. Artur Potocki ma tu być wkrótce. Chorążyna Dębińska jedzie do Jurkowa, który oddał Ludwik, bo się

na Ukrainę wyniósł. Grodziccy płaczą nad synem, że zagranicę wyjechał. Małachowska już odjechała, dziś odjeżdża Czacka i Wielhorska. Działyńscy przyjechali, a Wodzicki wyjeżdża do Warszawy na Karlsbadzkie wody. Jest tu Krasicka, Mniszchówna z domu, wyjeżdża do Wiednia. Tamże się uda Brzozowska... Mnie coraz bardziéj przykrzy się życie bez żadego celu w Krakowie, lubo stary jestem"...

U dołu, u podwalin—biéda ostatnia, puchnięcie z głodu, brak zajęć zarobkowych, ciemnota, zdziczenie, zastój skamieniały; u góry, w warstwach posiadających, myślących i kierujących—świątkowanie nieustanne, próżniactwo salonowe, ruchliwość ogłady powierzchownéj, sztukowanie się pozorami, dyletantyzm chwiejnie artystyczny, realna pogoń za urojoną synekurą i gotówką, nieukojona tęsknota do rozrywek, o przenosiny z miejsca na miejsce, wiercenie się w kółko, zniecęhcenie bezradne i nuda wiecznego koczownictwa, jak kiedy pusta głowa i czcze serce udają wzajemny ku sobie pociąg... Takie jest zasadnicze, wrodzone, w złéj i dobréj doli nas nie opuszczające ustosunkowanie spraw, widoków i zajęć taki dwumienny wykładnik naszego rozwoju, taka historyozofia sporéj połowy naszych dziejów. Potęgował się tylko stopień binomu,—od zera najdawniejszych zawiązków sejmikowych i konfederacyjnych do X^n w paktach konwentach, nadaniach kresowych i wyprawach na Moskwę za Zygmunta III, czy za Napoleona I. Od téj pory—lada pamiętnik, lada relacya staje się niby latarką zapaloną nad szeregiem newtońskich tego rodzaju równań. W korespondencyi Łubieńskich światełek takich więcéj, niźli na Powązkach w dnie zaduszne. „Boleję nad tą wielką liczbą moich ziomków—pisze z Drezna do matki młody hr, Leon Łubieński, syn Tomasza,—nad tą wielką liczbą moich ziomków, którzy wszyscy prowadzą życie tymczasowe i bez żadnéj pracy lub celu. Bernard Potocki pije i mówi dowcipy. Książe Wład. Sanguszko robi w Wejmarze i Berlinie starania o swego wysłanego syna, Romana. Książe Lubecki i Linowski zalecają się do pani Rembielińskiéj. Colloredo, ambasador austryacki stara się przypodobać pani Sewerynie Sobańskiéj". List ten nosi datę 18 stycznia 1832 r.

Ofiarność wzniosła, miłosierdzie chrześciańskie rzucają wprawdzie w ten wir stratny i jałowy swoje także niebiańskie i archanielskie zwrotki.

Do jakich czasów początkami swemi sięga upowszechniony u nas, po dziś dzień trwający zwyczaj urządzania zabaw i bankietów kosztownych, rujnujących, na rozmaite cele dobroczynne, naukowe,

społeczne—krajowe i zagraniczne,—na przytułki dla sierot, na stypendya dla uczonych, na wieńce dla śpiewaczek, na opał dla wstydzących się żebrać, na trumny dla literatów?... W dawnéj Polsce zwyczaj ten pamięta zapewne epokę, kiedy w zamiarze osadzenia Jagiellonów na tronie Węgier i Czech trzeba było oddawać w zastaw mieszczanom krakowskim ślubne suknie królowéj. W dziejach porozbiorowych do wzmocnienia i utrwalenia systemu zdobywania przykréj dziesięciotalarowéj jałmużny wyłożeniem tysiąca dukatów na przyjemny, suty obiad—najwięcéj się przyczyniły—jak to wypadać zdaje się z korespondencyi Łubieńskich — mądre i przewidujące rządy pruskie w Warszawie. Jest to geneza t. zw. sum bayońskich, od których pewną cząstkę odsetkową, prostych i złożonych po dziś dzień każdy z nas opłaca pod postacią rozmaitych tantiem i dywidend zagranicznych—kolejowych, tramwajowych, gazowych, kanalizacyjnych i t. p. Biograf hr. Tomasza wyjaśnia to nam w sposób cokolwiek za zwięzły. Z okoliczności uchwał sejmowych (1825) dotyczących założenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Banku polskiego: „Zaprowadzenie Towarzystwa kredytowego — pisze — interesowało do najwyższego stopnia... kapitalistów pruskich. W czasie posiadania tego kraju przez Prusy (1794 — 1806), rząd pruski, który od czasu wielkiego kurfirsta tak był zorganizowany, że dysponował bardzo znacznemi, chociaż nie swoimi kapitałami, skierował ku dawnym prowincyom polskim, czyli ku tak nazwanym „Prusom południowym”, lokowanie na dobrach ziemskich wszelkich kapitałów, pod jego pieczą zostających (kasy wdów, kasy sierot, depozytów sądowych i t. p.); za przykładem rządu kapitaliści prywatni również w tym kraju kapitały swoje lokowali. Nigdy w Polsce kredyt nie był tak łatwy, ani tak tani”... Czerpano pieniądze ze wszystkich rąk, ze wszystkich biur, ze wszystkich stron. Odłużano ziemię wszerz, wzdłuż, na krzyż—a czyniono to z tém większą ochotą, że nominalna jéj wartość rosła, rosła... do niebywałych rozmiarów, gdy tymczasem z drugiéj strony rząd z całéj duszy, z całego serca wspierał, podniecał swobodę pożycia towarzystkiego, assamble rozmaite, kuligi salonowe, wyprawy nocne... Nagle, w początkach r. 1806, za wskazówką rządu pruskiego, wszystkie te kapitały ulokowane... po garkuchniach, piwnicach, kąpielach, zajazdach, magazynach mód— „równocześnie zostały wypowiedziane”, czyli, prościéj—zażądano ich zwrotu. W r. 1807 nastąpić miała ogólna likwidacya umów— „ogólne zsubhastowanie kraju”, które z całego lewego pobrzeża Wisły środkowéj byłoby uczyniło coś w gatunku pomorza kaszubskiego,

lub dzielnicy szląskiéj, — wartość bowiem ziemi spadła obecnie odrazu do niesłychanego nawet w Ameryce poziomu, a gotówkę niezbędną do dalszego podtrzymywania prestiżu salonów warszawskich i gościnnéj wystawności polskiej, posiadali jedynie niemcy i żydzi. Generalnego bankructwa oszczędził przecież nam Napoleon bitwami pod Jeną i Friedlandem... Ponieważ jednak cesarzowi Francuzów ani się śniło gratis wygrywać bitwy, ponieważ po utworzeniu Księstwa Warszawskiego kapitały hypoteczne wszystkich instytucyi rządowych pruskich w tych stronach skonfiskowano na rzecz skarbu francuskiego, ponieważ na mocy konwencyi podpisanéj w r. 1808 w Bayonie (w wigilię niemal bitwy pod Samo-Sierra) Księstwo zobowiązało się spłacić ratami (do r. 1811) bez mała to wszystko, co rząd pruski na karb wierzytelności swojéj naliczył—ponieważ w końcu, po utworzeniu w r. 1815 Królestwa kongresowego, wypadło wzamian za otrzymaną konstytucyę i najserdeczniejsze przyrzeczenia „patentowe" pruskie raz jeszcze płacić komu innemu przedtém wypłacone sumy, — stąd poszło, że bankructwo generalne i doraźne zastąpione zostało bankructwem chroniczném, powolném, stopniowo i nieraz ukradkowo, niemal po złodziejsku przenoszącém ziemię, dobrobyt, spokój i honor kraju—do kieszeni obcych. Czas jakiś, aż do r. 1830, broniono się z pomocą rozmaitych kombinacyi finansowych, częściowéj wyprzedaży resztek królewszczyzn i starostw, tudzież sławnemi „moratoryami", odraczającemi terminy wypłat, lub obcinającemi, gdzie się dało, bezczelne uroszczenia tak pierwotnych, jak i drugo lub trzeciostopniowych nabywców wierzytelności. Zadłużano się przytém na lewo, dla uwolnienia się od postronka na prawo; chwytano się brzytwy, gdy nóż się tępił.

I szukając rozrywek nowych, bawiono się po staremu daléj. Za czasu zupełnéj dojrzałości umysłowéj hrabiego Tomasza, po kilkuletnich, najzwykléj samotnych jego rozmyślaniach i doświadczeniach na wsi (w Rejowcu żoninym, Rudce podlaskiéj, starościńskim Zagościu, matczynym Guzowie)—nie trudno nawet było spostrzedz, że się bawiono wyśmienicie, ochoczo, hucznie. Pan generał, smutny lecz spokojny i niemal szczęśliwy na swojéj grzędzie, jeszcze w dniu 1 lutego 1819 r. pisze z Rejowca do ojca w Zagościu: „Przekonywam się coraz więcéj, że nie można dobrze gospodarować, gdy się nie siedzi całą zimę na wsi, że prócz dobrego żywienia bydła, oszczędzania paszy, dobrego wymłotu zboża, wywózki gnoju, przysposabia się wszelką czynność gospodarską i fabryczną całego roku"... Ale oto stare rany napoleońskie zaczynają coraz bardziéj się przypominać

trzeba się leczyć; syn Leon dorasta, trzeba się zająćjego wychowaniem szkolném. Rejowiec weźmie w dzierżawę dawny towarzysz broni, ten sam adjutant Prędowski, co hrabiemu Tomaszowi życie ocalił w odwrocie z nad Berezyny... „Wyjeżdżam ztąd w sobotę (28 kwietnia 1821 r.)... Trudno mi wyrazić, jak przykro w tym momencie odjeżdżać od gospodarstwa i od wiosny, która w domu—gdzie każde drzewko, każda roślina interesuje — daleko więcéj jeszcze ma powabów". Żal, tęsknota tém są szczersze i głębsze, że na miesiąc przedtém, gdy odwoził syna przez Zagość do Krakowa, błyskawicznie przesunęła się przed nim cała „kawalkada głupst i szaleństw" warszawskich z lat 1806, 1811, 1815 — aż do najświeższych—jak to zaznaczył był w liście z d. 1 marca 1821 r. ze stolicy podwawelskiéj: „Dla amatora tańca Kraków jest rajem... Od czasu jak tu jestem, już byłem na trzech balach, gdzie ani na chwilkę nie przestawano tańcować"... Więc teraz ponownie opuściwszy Rejowiec i zabawiwszy czas jakiś u Jaroszewskich, między Płońskiem a Radzanowem, pisze do żony w d. 7 maja 1821 r. z Zelunia na granicy Królestwa Polskiego: „Jadę przez kraj płaski, z moczarami, — chaty nędzne, choć w ubraniach trochę więcéj starania... Zresztą kończę trzeci tom „Historyi powszechnéj" Müllera—i tylko tak interesujące czytanie nie dopuszcza do najczarniejszych myśli na widok kraju tak od natury bogatego, na widok narodu pełnego zdolności, który pozostaje w nędzy, nie może zrobić ani kroku naprzód na drodze postępu, pomyślności i cywilizacyi"...

Kaz. Włostowski.



Leconte de Lisle.

HELENA.

I.

Helena. Demodok. Chór kobiet (służebnic Heleny).

Demodok.

Muzy, bogów i ludzi darzące rozkoszą,
Których pieśni po greckich gajach się unoszą,
Strojne wakanty, lirę dzierżące dziewice,
Wy, mędrców karmicielki i oblubienice,
Muzy, modlę się do was! A ty, piewco boży,
Coś szczyty eleuterskich zamieszkał bezdroży,
Licyjski piękny władco, boże złotołuki,
Który rzucasz na ludzi jasny promień sztuki,
Nieśmiertelny, co Milet ochraniasz swém skrzydłém,
Jeślim ci miły pieśnią swoją i kadzidłem,
O! boże złotowłosy, śpiewaj usty memi —
Helenę, najcudniejszą pośród niewiast ziemi.

Helena.

Zakończ, mój przyjacielu, swoje chwalby śpiewne,
W sercu mém drży boleści przeczucie niepewne
Zachowaj dla spokojnych bogów w Empirejach,
Dźwięk liry twéj skąpanéj w blaskach i nadziejach;
Bo trwoga, co mi w duszę wpływa coraz smutniéj
Nie ucichła na dźwięki twojéj złotéj lutni.
I od chwili, gdy płynąc ku zielonéj Krecie —
Atrydes mnie opuścił, jakiś strach mnie gniecie,
A w sercu zamieszkało z bogów rozkazania —
Jakieś czarne przeczucie, pełne pożegnania.

Chór kobiét.

Córo Ledy, nie lękaj się. Próżna twa trwoga—
I pamiętaj, że w żyłach płynie ci krew Boga.
Chlubo Grecyi, Heleno pięknością promienna,
Nie kuś losu, bo droga jego wiecznie zmienna.

Helena.

Po przez fale błękitne, jakaż moc poniosła,
Na brzeg dalekiéj wyspy twoje lekkie wiosła,
Mężu mój! Czemuż za twym nie pobiegłam krokiem?
Może już nie obaczę ciebie łzawem okiem?
O, błagam cię, Pallado, bogini surowa,
Która gardzisz miłością, dla któréj cześć chowa —
Gród ateński! Dziewico, w pancerzu zwycięztwa,
Ochroń me drżące serce od krzywoprzysięztwa,
A ty, ogniu wewnętrzny, darze Afrodyty
Ucichnij, ty co żyły palisz mi niesyty!

Chór kobiet.

O, uśmiechnij się jeszcze, baw się w naszém gronie,
Królowo! wróci Atryd mężny ku swéj żonie—
Oto widać skłębione morskich fal odmęty
I z żaglem rozpostartym mkną ku nam okręty.

Helena.

Więc weź swą opiekuńczą lutnię... Niech twe śpiewy
Ukoją nieśmiertelnych rodzące się gniewy...
O mądry, słodki starcze—kto pieśń twoją słyszy,
W pomięszanym umyśle dozna błogiéj ciszy.

Wléj w me serce stroskane, śpiewaku Meonii,
Udział Bogów, pokoju rozkosz i harmonii.
A wy, spartańskie dziewy, dni mych towarzyszki—
Pieściwie mnie otoczcie swojemi uściski.

Demodok.

Ziemio o kwietném łonie, wszechrzeczy rodzico,
Którą ocean falą całuje miłosną...
Niechaj wiosenne róże na twéj skroni świecą—
O! synu Hyperyona—lśnij zorzą radosną!
Nachylcie, góry Grecyi, szczyty swe prorocze,
Laury, oliwy, klony i zielone trzciny
Skryjcie przed całym światem w swych gęstwin pomrocze
Łabędzia, co swą piersią pruje wód głębiny.
Fale go owionęły całunkiem lubieżnym
I oblały mu łono strugą pereł srebrną—
Wiatr balsamiczny wieje w skrzydeł ruchu śnieżnym:
On mknie święty swą ciszą i dumą podniebną.
Dziewice, igrające na murawie blizkiéj—
Drżyjcie! Łucznik delijski wyjął strzały swoje,
By z dębu rzucać na was złote swe pociski:
Rozwiążcie waszych sukien długie, białe zwoje!
Dziewice, oto fale Eurota gościnne —
Waszą piękność z westchnieniem w swoje tonie proszą,
Całują wasze ciała nagością niewinne,
Co tak drżą, jako serce, które drży rozkoszą.
Ziemio o kwietném łonie i t. d.
Po ramieniu twém, Ledo, woda się rozlewa,
I układa się w twoją postać utoczoną,
A łabędź, który stanął i błaga—i śpiewa—
Widzi czasem twe białe z alabastrów łono.
Ledo, twe towarzyszki opuściły fale,
By na murawie stanąć w swojéj sukni lekkiéj
Spójrz, jak łabędź ten płynie ku tobie zuchwale,
Nie otaczaj ramieniem tego króla rzeki.
O pomyśl berłowładny, zazdrosny Tyndarze,
Coś smutny siadł na tronie swym z słoniowéj kości:
Serce łabędzia płonie—i w ogniowym żarze
Zimną ogrzewa falę... Zakwitł raj miłości—
I szeroki Eurotas, gór i równin sceny
Zadrżały od miłości... Znika wstyd i trwoga—

I kochanka łabędzia jest matką Heleny:
Helena się zrodziła z pocałunku Boga!
Ziemio o kwietném łonie i t. d.

Helena.

Starcze! twéj słodkiéj pieśni nikt zrównać nie zdolny:
Tak samo śpiewa słońcu boski konik polny,
Gdy żniwiarze na zżętém spoczywając życie,
Słuchają, jak im głosi swoje sielskie życie.
Przyjmij ten złoty puhar. Ukuł go wspaniale
Hefest. Nigdy od Jonii po Egejskie fale —
Większych nie mieli darów muzy oblubieńce—
Helena ze czcią w twoje oddawa go ręce.
Czcigodny towarzyszu mężnego Atreja,
Pieśniarzu, w twojéj duszy tkwi złota nadzieja.
Demodoku—miodowo przez twe usta płodne—
Płynie pieśń, co rozpędza chmury niepogodne—
I koi duszy ludzkiéj gorycze popielne,
Dając sny o nadziemskiém szczęściu nieśmiertelne.

II.

Goniec.

Królewska córo Ledy! Na bystréj kolasie,
Co srebrne tocząc koła, wichrem żywym zda się—
Młody królewicz, strojny szaty czerwonemi,
Króre kupcy przywieźli mu z frygijskiéj ziemi—
Zatrzymawszy się w drodze u twych jasnych progów,
O gościnność cię prosi w imię wielkich Bogów,
Jego płaszcz purpurowy srebrem przewiązany,
I dumnie mu powiewa ponad hełm miedziany
Pióropusz, jaśniejący w wszystkie barwy tęczy,
A miecz o złotych gwoździach u boku mu dźwięczy.

Helena.

Dajcie owsa biegunom.—Bogi nieśmiertelne
Prowadzą gościa. Jego przybycie weselne.

Niech w domu tym, co Atryd pieczy méj zostawił
Gość bawi, jakby w domu swych przyjaciół bawił.

Chór kobiet.

Strofa.

Szczęsny mędrzec, co żyjąc w chacie swego dziada—
Gości przyjmuje błędnych—jako druh zbawienny:
Głód i burza im niczém—śmierć jak mara blada,
Uchodzi precz... Anankę sam sobie układa,
Bo wié, że los jest przemienny...
Zeus go kocha, chat jego izby to świątynie:
Gościnność się uśmiecha u świetlanych progów,
A żywot jego długim szeregiem dni płynie,
Jak rzeka święta dla bogów.

Antistrofa.

Zeus mściciel, czujny władca olimpijskich wzgórzy,
Po ludzkich błądzi siołach, jak starzec wybladły,
I mówi, że od pomsty przeznaczeń zajadłéj
W wiecznéj nędzy i głodu cierpieniach się nurzy,
Które go ślepo opadły!
Łzy mu twarz oblewają: on prosi, on błaga,
Lecz go bogacz bez serca odpycha od proga:
O klęsko, ten dzień straszny karą go wysmaga,
Żebrak przemienił się w boga.

Epodos.

Czyś uwieńczony wiosną czyli wiekiem zgięty,
Czy jesteś synem królów czy twój ród nieznany —
Wejdź do domu Atrydów gościnnie przyjęty,
I z uśmiechem serdeczne przyjmij roztruhany,
Gdzie wino błyska złotem swojéj fali hojnéj
I w bluszcze i róże strojny,
W losach błogie spraw nam zmiany,
Gościu od Boga przysłany!

III.

Helena. Demodok. Parys. Chór kobiet. Chór mężczyzn.

Helena.

Bądź pozdrowion w odwiecznym domu znamienitym
Atrydów cudzoziemcze w hełmie złotolitym!
Jeżeli losy były ci nielitościwe,
Pójdź! Otoś znalazł serca szczere i życzliwe.
Lecz pewnie jeszcze w duszy twéj nadzieja żyzna
Kwitnie... Mów nam, kto ojciec twój, gdzie twa ojczyzna?
Czy to król, pasterz ludów? Niechaj wielkie bogi—
Chronią skroń jego siwą od bólu i trwogi,
Niechaj długo zażywa pomyślności swojéj.

Parys.

Pierwsze dni me ujrzałem w murach sławnéj Troi,
W śmiertelników sadybie, w świętym Ilijonie.
Synów Dardana, wnuków Zeusa rącze dłonie
Wybudowały gród ten na żyznéj równinie,
Gdzie dwoje rzek przejrzystych świętą falą płynie.
Ilos był mym pradziadem, Laomedon dziadem,
Dziś na czole Pryama lśni trojański dyadem.
Pryam jest moim ojcem. Parys moje imię.

Helena.

Powiedz, czy kiedyś płynął przez fale pielgrzymie
Srebrzystych oceanów spokojnéj powodzi,
Czyś nie widział wojennéj trójwiosłowéj łodzi,
Co powracać na brzegi Hellady się spieszy?
Czyś nie widział boskiego Menelaja rzeszy.

Parys.

Sen cudny i promienny myślą mą zawładnął
I wszelki przy nim obraz zniknął mi i zbladnął.

Helena.

Wybacz! Na Kretę, która legła na wód łonie,
Nie bacząc na twe gniewy, wielki Posejdonie,
Mąż mój na głos mądrego Idomeneusza
Rzuca łoże małżeńskie i w podróż wyrusza—

I teraz ja samotna płaczę bezskutecznie,
Lecz morze go zazdrosne zatrzymuje wiecznie.

Parys.

Z brzegów, gdzie Ksant przeczysty w głebie morza toczy
Srebrną pianę, co bieli toń morskich przezroczy,
Na rozkaz Nieśmiertelnych—po szumnéj otchłani,
Ja przybywam do ciebie, królowo i pani!

Helena.

Cudzoziemcze! coś wyrzekł? ku Atryda żonie
Bogi tryremę twoją pchnęły przez wód tonie?
I w tym-że to pokornym rzuciłeś zamiarze—
Kraj, gdzie jest twa kołyska, twych ojców cmentarze
I gdzie twa stara matka okiem bez nadziei
Patrzała, jakeś znikał na morzu Egei?

Parys.

Ojczyzna, dach rodzinny i miłość pobożna
Ku czcigodnym mym ojcom—jedna duma trwożna
Sprawiła, że te dobra, o córo Tyndarów,
Nie wlewają mi ciszy w serce pełne żarów.
Dla ciebie jam porzucił mą ziemię ojczystą.
Posłuchaj, ja ci powiem prawdę uroczystą.
Na wzgórzu Idy, w lasów głębokich pomroczu,
Gdzie się pasły me błędne kozy, na uboczu,
W cieniu sosny leżałem w spokojnych marzeniach.
Jutrznia się rozlewała w różanych promieniach
Po morzach oddalonych i górze wilgotnéj,
W krynicy śmiał się Najad rój czysty i psotny,
A jeleń szybkonogi i trwożliwa łania
Wdychały balsamiczne powietrze zarania.
I na raz jakiś obłok cichy i łagodny
Ze świętego Olimpu zszedł na mech czcigodny.
Wielkie pnie szanowane przez burze i gromy,
Kornie schyliły wieniec swych liści ruchomy...
Źródła się zatrzymały w swoich fal potokach,
A Ida w swych kamiennych zadrżała opokach—
Zimnym oblany potém, pełny dreszczów trwogi,
Blady, przeczułem, że tu zbliżają się bogi!
W złotym obłoku błysło troje kształtów lśniących,

W szeleście przezroczystych sukien falujących,
Stanęły na sąsiedniém wzgórzu, po nad wodą.
Jedna wspaniale dumna z świetlaną pogodą
Unosiła swe czoło, pełne bożéj chwały,
Ręce złożywszy na krzyż na swéj piersi białéj:
Pryama drogi synu, rzecze, jam jest Hera.
A ja drżałem, gdy na mnie bogini spoziera.
Lecz późniéj głosem słodszym i pełnym pieszczoty,
Pasterzu Idy—osądź trzy boskie istoty!
Jeżeli mnie piękności podasz znak nagrody.
Będziesz królem nad wszystkie azyjskie narody,
Druga zaś—nie mniéj piękna, jasny duch spokojny,
Wieszczyła mi odwagę oraz chwałę wojny—
I moc ducha, co z mężów czyni nasze jeńce.
Ale trzecia naówczas wznosi białe ręce,
Po szyi śnieżnobiałéj złociste warkocze
Rozwinie jako słońca promienie urocze,
Rozwiąże pas—i do nóg—niby srebrne fale—
Przezroczystą tkaninę opuści niedbale,
I tak—zwycięztwa pewna—milczała weselnie,
Uśmiechnięta w piękności swojéj nieśmiertelnie.
Obłoczek na ten widok zaćmił moje oczy,
Bo piękność czarem bogów i ród ludzki tłoczy,
I w drżeniu, wargą, która woli swéj nie miała,
Rzekłem: Tyś najpiękniejsza, Afrodyto biała!
Hera i Pallas prędzéj niźli błysk promienia,
Znikły w powietrzu nakształt sennego złudzenia.
A Cypryda: Pasterzu, świat ci pozazdrości,
Dam ci wino rozkoszy dam ci kwiat miłości.
Idź! morzem, co życzliwie przyjmie twe okręty,
Opuściwszy Pryama i twój Ilion święty,
Szukaj Hellady brzegów, gdzie Eurota fale—
Pod berłem Atrydowem toczą się wspaniale.
Helena złotowłosa, córa Jowiszowa,
Na Styks! wypełni wszystkie twoich pragnień słowa...

Chór kobiet.

Ta powieść przecudowna czaruje mi uszy:
Żaden głos tak nie wpłynął słodko do méj duszy;
Tak muzami otoczon, młody, bóg Delosu,
Z szumem fal wiąże dźwięki swojéj lutni głosu.

Czy to nie sam delijski bóg—złote promienie
Zrzuciwszy z swego czoła—przybył ku Helenie
I kryjąc swój majestat, przypływa tu do cię,
By złożyć hołd swój boski twych czarów istocie?...

Chór mężczyzn (wioślarzy Parysa).

Strofa.

Z szczytów Cylleny zejdź, Panie,
Co bujasz nad wód głębiny,
I tchem swym czyste śpiewanie
W dźwięczne ich fali wléj trzciny...
Przyjdź! ucz mię sztuki tańca nizyjskiéj i gnoskiéj,
I twych obrzędów mistycznych...
Ja zadrżałem radośnie od żądz wieloliczonych:
Chciałbym skakać pod dźwięki rytmowanéj głoski!
Panie—który prowadzisz w takt chorowód boski!

Antistrofa.

Przeleć morza ikaryjskie—
Młody Heljosie złocisty
I niechaj liry delijskiej
Śpiewają hymn uroczysty!
Towarzyszki Dyany śród lasów bezdroża
Na świeżéj tańczące trawie...
O nimfy, lećcie do mnie w skokach i zabawie—
I zbierzcie na tych brzegach młode bogi morza,
Chór, co błyśnie mym pieśniom jak weselna zorza!

Epodos.

Dziewice, strojne w laury
Hymn melodyjny śpiewajcie—
I u stóp bogów téj córy
Różę i hyacynt składajcie!
Niech radość w każdéj Spartance
Błyśnie! niechaj zabrzmią tańce!
Niech płynie złociste wino!
Kołem niech się wasz rój toczy—
I fale swoich warkoczy,
Puśćcie z wiatru pajęczyną!

Helena.

Dzięki składam tym bogom, co mi żywot dały!
Jeśli mam twe pragnienia spełnić dla méj chwały,
Wypowiedz się, młodzieńcze! Spartanów królowa,
Córa Ledy, pasterzu, czeka na twe słowa,
By skarbem napełniwszy twoje puste nawy,
Zaspokoić pragnienia twéj młodości żwawéj!
Młodzieńcze, czegóż żąda, powiedz mi, twe serce?
Konie moje, co skaczą przez muraw kobierce,
Na równiach i w dolinach trawami karmione,
Teraz pod ciepłą derą w stajni postawione,
Rżą spokojnie. Więc proszę, bierz, one są twoje.
Bierz ten ołtarz, skąd boskość płynie w me pokoje—
Weź i tą broń szlachetną—i ten miecz spiżowy,
Który Pallas złożyła w dłoni Atrydowéj,
Weź—i ku szczęsnéj ziemi, gdzie ci drgnęła wiosna,
Niech płynie twych żeglarzy gromada radosna!

Parys.

Posłuchaj mię Heleno. W zamku swym szerokim
Dość ma bogactw mój ojciec. Obfitym potokiem
Złoto, srebro tam płynie! Dyamentów koroną—
I perłami—ołtarze moich bogów płoną.
Zachowaj, córo Zeusa, twoje skarby świetne
I miecz, co zbroi dłonie Atrydy szlachetne
I Pallady, strażniczki twéj ołtarz śpiżowy:
Czego ja chcę od ciebie, powiem to królowéj,
Gdyż bogowie mi każą, i milczéć nie mogę!
Ty opuścić masz Spartę—i ten dom—i w drogę
Natychmiast iść, i z Grecyi po przez morza piany
Z Pryamidą popłynąć pod Ilionu ściany.

Helena.

Cudzoziemcze, gdyby już twe zuchwałe nogi
Nie przeszły przez Atryda zamku święte progi—
Gdybyś nie był mym gościem—i gdyby bogowie
Obelgi nie więzili w czci pobożnéj słowie:
Nie rozumny, natychmiast musiałbyś odjechać
Spartę, Helenę, dom ten — i wszelkiéj zaniechać
Mowy! Lecz gościa każą uczcić prawa boże!

Nie na darmo płynąłeś—przez szerokie morze,
Przez wichry szalejące i pustyń opary:
Pójdź, uczta już gotowa—lśnią złociste czary,
Posil się, ale jutro o świtaniu złotem,
Na rodzinny brzeg Ksantu wyruszysz z powrotem!

IV.

Demodok. Pół chór kobiet. Pół chór mężczyzn.

Chór kobiet.

Bogi, oddalcie zgrozę od królowéj duszy
Skończyła-ż się pogoda? Czy nas zima głuszy?
Drżę i w źrenicach moich, łzami przepełnionych,
Widzę straszne cierpienia dni nieurodzonych.
Powiedz nam, mądry starcze, kochanku harmonii,
Drogi uczniu dziewięciu opiekunek Jonii,
Mów, Demodoku, święty przyjacielu bogów,
Czy w dal od naszych niebios, od Hellady progów,
Aby nas w czarnéj smutku pogrążyć czeluści,
Helena—kłamiąc sobie—dom ojców opuści?

Demodok.

Sprawiedliwi bogowie, ludzkich losów Sędzie
Wiedzą, czy jutro złote, czy téż chmurne będzie:
Usta moje zamknęli, i milczéć mi każą.
Straszne jest przeznaczenie pod milczenia strażą.

Chór mężczyzn.

Starcze—ty znasz Ananki słowa druzgocące;
Niechaj mi świadczy Hades i Olimpu słońce!
Ukorz się—bo wyroki bogów są niezmienne
I wygnaj z swego serca zwątpienie półsenne!
A teraz wy słuchajcie, lakońskie dziewczęta:
Nie napróżno miłości rozdawczyni święta,
Nie napróżno bogini śród głębiny solnéj,
Urodzona—na przestwór popchnęła nas wolny—
I przez dziesięć dni z rzędu—nasze śmiałe wiosła
Lazurem fal burzliwych—ku tym brzegom niosła.

Chór kobiet.

O sroga Afrodyto, o Erosie srogi!

Chór mężczyzn.

Afrodyto, Erosie — o najsłodsze bogi!

Demodok.

Nadziejom wierzą błahym młodociane siły,
Olśniewają nam oczy, palą nasze żyły,
A złocisto-ułudnych snów orszak zwycięzki,
Ślepe w nas budzi żądze—przodownice klęski!

Chór mężczyzn.

Strofa.

O boska Hebe weselna,
Złota czara Jowisza błyszczy w twoich ręku:
Witaj ludzkich dni ty wdzięku,
O młodości nieśmiertelna!
Swiatło jasne, przeczyste napowietrzne sfery,
Życia toń rozlewają śród twoich oddechów,
Pełną blasków i uśmiechów,
Co idzie w zwyż na szczytne Olimpu etery.

Antistrofa.

Charyty jasną drużyną —
I Cypryda z Erosem—czarodziejów dwoje
I żądze jak pszczelne roje,
Twym śladem płyną a płyną!
Fala mórz tobie szemrze i dzwoni i śpiewa,
Lira tajemna słodko ucho twe upaja,
Świat ci się wiecznie umaja,
A księżyc piękniej oczom twoim odelśniewa.

Epodos.

Córo szczęścia i pieszczoty,
Tańcząca w wiosennych kwiatach,
Która w czasów przedświt złoty
Zabłysnęłaś w wonnych szatach!
Głos twój jest pieśnią harmonii,
A wonne fijołki Jonii

Pod twą stopą rozkwitają.
Witaj, o żyzna młodości!
Ręce twe świat otaczają
Słodkim całunkiem miłości.

Demodok.

Błogosławiony młodzian surowy spokojny,
Który ze czcią pobożną wielbi cnotę męzką:
Lepiéj niż wojak spiżem i żelazem zbrojny,
Czysty duch jego mądrość pozyska zwycięzką.
Mirt na skroń mu ozdobą zdaje się niegodną,
Jońskich róż on nie zrywał na rozkoszy błoniach,
Ale usta ma szczere i twarz ma pogodną,
A włócznia Aresowa dźwięczy w jego dłoniach,
W męzkich trudach upływa jego żywot czynny,
A gdy go cudzoziemiec przyjmie u ogniska,
Ołtarza jego chaty nie skala gościnnéj,
Szanując dom, gdzie ręce gospodarz mu ściska.
Potém lata pochylą kark jego niezłomny,
Ale starość szanowna wzrok mu uszlachetnia:
Może umrzéć, komu tak lat minęła setnia;
Był mędrcem i przykładem ludzkości potomnéj!

Chór kobiet.

O dziewicza Pallado! piękna i surowa,
Niechaj mnie od miłości twoja dłoń zachowa.
Niechaj w domu Heleny, w czystości dziewiczéj
Uniknę—pocałowań okrutnéj goryczy.
Pod tarczą twą, najmędrsza nad wszystkie boginie,
Niech od złych tchnień swobodna, młodość mi przeminie.

Chór mężczyzn.

Bogini, z srebrnéj morza fali urodzona,
Któréj uśmiech osusza płacz ludzkiego łona,
Afrodyto, u nóg twych leży ziemia cała
Matko żądz i Erosa i Hymenu! Chwała!
Mirtem uwieńcz me skronie—i niech hymn bez końca
Szczęśliwych mych przeznaczeń—nigdy nie zamąca!

Demodok.

Pragnienie jest kłamliwe, radość niestateczna,
Tyś tylko nieodmienna, o mądrości wieczna.
Minie czas—zieleń mirtu na czole nam zwiędnie
Ale radość poważna, jaką ty bezbłędnie
Dajesz nam—niby góra w morzu pogrążona
Trwa—na wstrząśnienie—nigdy niewzruszona.

Chór mężczyzn.

Niebo wam ochłodziły tchnienia Boreasza.
O ileż jest piękniejszą oczom Troja nasza!
Do Frygii za Heleną popłyńcie o panny,
Gdzie Jakchos wiedzie orgij pochód nieustanny,
Gdzie Cybela, o czole pełném mocy dzikiéj,
Na grzbiecie lwów, co czarne pożerają byki,
Złocistego Paktolu mieszkanka czcigodna
Ziemię naszą użyźnia, jako macierz płodna.

Chór kobiet.

O zielony Tajgecie, o zórz greckich łuny!
Bogi Pelopsa, pani naszéj opiekuny,
O wiatry, co wiejecie tchnieńmi łagodnemi
Po kwiecistych dolinach naszéj drogiéj ziemi,
I wy, miłości Boga świadki wiekuiste,
Ozdobo ziemi, fale Euroty przeczyste!

Demodok.

Cudzoziemcy, napróżno ułudnemi słowy
Pieścicie uszy dziewic i ich rozum zdrowy.
Dość. Dzięki złóżmy bogom, twórcom przeznaczenia!
Duch nasz się do Hellady przywiązał imienia,
A nieśmiertelna ziemia, gdzie śpią nasze dziady,
Zbyt nam droga i piękna—ta ziemia Hellady!
Wiatry jałowy pył twój, uniosą Ilionie,
A Grecya nieśmiertelnym promieniem zapłonie!

V.

Helena. Parys. Demodok. Chór kobiet. Chór mężczyzn.

Helena.

Smakowały twe usta i wina i chleba,
Pryamido! Tak zwyczaj każe z woli nieba.
Gościnności jam święte zachowała prawo,
Ale złocąc już Sparty szczyty mgłą jaskrawą,
Jutrznia różane wieńce potrząsa w lazurze;
Gwiazda na widnokręgu chyli czoło w chmurze,
A w Eurotasie srebrnym łódź twa wykąpana
Na fali się porusza, wiatrem kołysana.
Idź!—niech cię Zeus prowadzi i niech morskie bogi
Pogodnemi gwiazdami oświecą ci drogi.
Znów ujrzysz Idę w sosen odzianą zielenie
I bystre w ich cigęzi [1]) skaczące jelenie.
I Ksant ze Simoisem —rzek srebrzystych dwoje
I siwych twych rodziców i twą sławną Troję!
Szczęsny, kto nie obarczon grzechem, łzy tkliwemi
Znajome wita niebo na rodzinnéj ziemi!

Parys.

Słuchaj mię, Tyndarówno, córo znakomita
Ledy! Na wzgórzu Idy biała Afrodyta
Zdumionym moim oczom świetlna, obnażona,
Mniéj cudna się wydała w obłoku zjawiona.
Czyś ty nie Eufrozyna o promiennéj głowie,
O któréj marzą ludzie, którą czczą bogowie?
Albo jasna Aglae, któréj oko czyste
Wlewa w człowiecze serca światło uroczyste?
Włosy twe lśnią jak zorza, a twe oko płonie
Tak, że gną się kolana — i puls bije w łonie.
Stopy twe pewno w boskich żyły niegdyś światach:
Dziewice naszéj Frygii w rozwiązanych szatach,

[1]) W cigęzi — znaczy w cieniu (powiat płoński); wyrazu tego użyłem już w innym wierszu. („Łuk i arfa“. Obacz Poezyj Część II).

Gwiazdy, co drżą przed złotą powstającą zorzą,
Z zazdrością i podziwem przed tobą się korzą.
Pójdź! Afrodyta żąda, bym do Troi świętéj,
Z dumą uniósł tę zdobycz, ten mój skarb zaklęty!
Ona sama, o pani, szczodrą swą pomocą
Kierowała mych łodzi bieg,—i dniem i nocą!

Helena.

O, wy Zeusowe syny, piękne Dyoskury,
Co świętego Olimpu oświetlacie góry,
Coście niegdyś boskiego zwalczyli barana,
Chwało Grecyi, mych braci dwójco ukochana,
Przyjaciele dziecinnych dni mego żywota,
Słuchajcie, w waszą siostrę jak wali sromota!
Ty zaś, czysta Pallado, hymenu królowo,
Co masz gałęź oliwną i włócznię śpiżową,
Patrz, jak mnie to spojrzenie przenika i pali,
Twoja moc niech odemnie te widma oddali,
I pokrzep moje serce śród niebezpieczeństwa!

Chór kobiet.

Bogi, niech obcy idzie precz z naszego księstwa!

Parys.

Heleno, najpiękniejsza z wszystkich niewiast ziemi,
Serce me drga żądzami nienasyconemi.

Helena.

Ja nie opuszczę Sparty matki dzielnych synów,
Ani rzeki rodzinnéj—ani jéj wawrzynów,
Ni dolin naszych wiosek, strojnych w winogrona,
Gdzie jeszcze towarzyszek moich tańczą grona,
Ani domu Atrydy—ani jego łoża!
Ty nie lżyj mnię, Parysie—i uchodź za morza,
Na szerokim okręcie—po falach przejrzystych
Uchodź! Nie trwóż dni moich spokojnych i czystych.
Szczęsny, jeżeli Zeus, słusznie rozgniewany
Nie pomści téj gościny przez ciebie skalanéj.

Uchodź, mówię. Czas wielki: Na egejskiéj fali,
Krzyk Greków i Heleny, usłyszawszy zdali,
Atryd już ku nam dąży po morskiéj równinie,
Uchodź—lub gdy się spóźnisz—dusza twoja zginie!

Parys.

W róże strojna popłynie moja łódź trójwiosła.
Moją będziesz, niewiasto, piękna i wyniosła.
Bogi mi obiecały, głos bogów nie szydzi.

Helena.

Cudzoziemcze, Helena ciebie nienawidzi!
Klnę się, głos twój mi wstrętny, widok twój złowrogi,
Pomóżcie méj słabości, sprawiedliwe bogi!
Ojcze mój, wielki Zeusie, błagam cię! Jeżeli
Czciłam cię, najgorętsza zawsze z twych czcicieli,
I jak wierna małżonka i matka cnotliwa,
Unikałam Miłości zdradnego przędziwa,
Wspomnij Ledę, o święty jéj kochanku boski,
Ojcze mój—i ukołysz mego ducha troski:
I pozwól, by pod tarczą Pallady w twym domu,
Atryd był jeszcze dumny z Heleny bez sromu.
O Zeusie, mój małżonku, córko moja, cnoto,
Brońcie wy serce moje targane zgryzotą!
Uspokójcie ten ogień w łonie mém rozżarty,
Nienawidze ja fryga, kapłana Astarty,
Gościa o chytrem sercu, o mowie złowrogiéj;
Nienawidzę, lecz niechaj odjeżdża, o bogi!
Ja kocham go—nadarmo usta moje przeczą,
Kocham—i tą okropną raduję się rzeczą!

Chór kobiet.

O królowo, twa boleść trawi mię żałobą.

Chór mężczyzn.

Tryumfujesz, Erosie—i Parys wraz z tobą!

Chór kobiet.

Erosie, szczędź Helenę lub mnie uderz za nią!

Chór mężczyzn.

Erosie, czuwaj — przełam tę oporną panią!

Chór kobiet.

Afrodyta i Pallas — o boje straszliwe—
Walczą dziś o Heleny serce nieszczęśliwe.

Helena.

Nie przestaniecie-ż, losy, bez litości żadnéj.
Na zło prowadzić ludzi — w swojéj woli zdradnéj?

Chór mężczyzn.

Łzy—opór—walki—gniewy twe bezużyteczne
Potężniejsze od ciebie są bogi odwieczne.

Demodok.

Ty, przez kogo ziemia żyzna
Od okrutnych jęczy cierpień.
O Erosie, władco nieba,
O Erosie, władco świata!
Po za fale burzą wzdęte,
Po za szczyty gór śnieżyste,
Po za kwietne gór równiny,
Kędy nimfy miłe bogom
Żyją w pląsach i śpiewaniu,
Ty dotykasz wszystkich brzegów!
Prześladujesz w dzikich puszczach
Szybkonogie Nimfy leśne!
Ty zakłócasz spokój mędrców
I z ich czoła wieńce zdzierasz.
Toć małżonka z czystem sercem
Śród milczenia nocy czuje,
Jak się duch twój cudzołożny
W jéj samotne wślizga łoże
I tak marzy gorejąca!
Każdy ziemi syn śmiertelny

Od twych grotów cierpi wiecznie—
I wylewa łzy rozpaczy!
Nigdy szał twój nie zagasa,
Nigdy skrzydeł nie zamykasz,
I w najwyższym bijesz niebie,
Ciosem pewnym i promiennym
W nieśmiertelne bogi drżące,
I królójąc na eterze
Tyś jest panem praw wieczystych,
Ty, przez kogo ziemia żyzna
Od okrutnych jęczy cierpień
O Erosie, władco nieba,
O Erosie, władco świata!

Parys.

Czuwaj nademną słodki Boże! Czyż należy
Czekać mi, póki zima głowę mą uśnieży
I na zawsze mi róże ogniste rozproszy?
Czarodziejski nektarze, napoju rozkoszy,
Czaro ognia, odrodzeń żądzo gorejąca,
Twoja moc Olimp cały do duszy nam strąca!

Helena.

Szczęsna, która żyć może i umierać może
Tam, gdzie jéj oczy pierwszą obaczyły zorzę,
I która, jako licznych rodzicielka dzieci,
Chwalebnie w ich pamięci z za mogiły świeci.
Lecz czym już nie Helena? Słuchaj mię przeklęty!
Atryd jest moim mężem—to dom jego święty.
Uchodź—milcz! Ja tak każę! Lecz usta niemieją —
Upadam—Idź! powiadam! Siły moje mdleją —
Serce mi bić przestaje—i przed mojem okiem —
Czarny Styks zamogilnym wije się potokiem.

Chór kobiet.

O Zeusie, ty dopomóż twéj nieszczęsnéj córze —
O Pallado, w wysokim władnąca lazurze:
Przybądź—i na promienne otwórz firmamenty

Martwe oczy Heleny! O, ty dniu przeklęty,
Nienawistny dniu jęków, łez i rumowiska!
Spójrz Frygu, córę Zeusa, jaki ból uciska.
Płaczmy i niechaj gród nasz strasznemi okrzyki
Napełnią dzieci, starce, młódź i wojowniki!
Czyż ma umrzeć Helena złotogłowa? Czyli
Bogowie, o Atrydo, w twój dom uderzyli?

Parys.

Heleno, wróć do życia! Zlituj się nademną —
Jam twój gniéw spowodował—i bojaźń tajemną —
I zburzywszy spokojną izb twoich pogodę —
Obraziłem cię—mam więc nienawiść w nagrodę!—
Lecz Wenus moje kroki wiodła, o królowo,
Żałuj mnie, córo Ledy—i nie karz surowo.
Im wyższa mi twa piękność—słodsza twa obecność —
Tem bardziéj, w czci głębokiéj, czuję swoją niecność.
Wybacz, wracam do Troi, przez morze ogromne —
I bogom nieposłuszny odjadę, zapomnę!
Szczęsny, jeśli przez litość, gdy wpłynę na morze
Jeden dzień w swéj pamięci przechowasz mię może —
Uchodźmy! Łza mi w oczach—gorzką falą stanie.
Heleno! przyjm ostatnie moje pożegnanie.
Czczę i kocham cię. Żegnaj, chwało Grecyi świetna.

Helena.

Bozki gościu, zaiste dusza twa szlachetna!
Szczęśliwym bądź! Ja dzięki składam twym zamiarom,
Żeś w młodéj swéj mądrości kres położył marom,
Godnyś bogów, zkąd idzie twój ród starożytny,
A zwalazyć siebie—czyn to bohatersko szczytny.

VI.

Helena. Demodok. Chór kobiét.

Chór kobiét. Strofa.

Ty, coś jest wszechświata czarem,
Ziemio niezwyciężonéj Pallady dziewiczéj
Głoś hymn weselnéj słodyczy—
Wzrusz Olimp cały świętéj muzyki twéj gwarem!
Grecyo, ty ziemio święta, ty ziemio wspaniała,
Ojczyzno, już widziałem, jak bladła twa chwała:
Lecz wielki Zeus osłonił chmurną dnia pochyłość.
I cicho dłonie Pallady
Zwyciężyły Erosa, co już rzucał jady:
Mądrość zwyciężyła miłość!

Antistrofa.

Bogi żeglarzom życzliwe,
O słodkie Eolidy, zawiejcie w pogodzie—
I popchnijcie nasze łodzie
Po przez fale błękitne i piany cierpliwe...
Powróć do domu dziadów, o Atreja synie,
Gdzie szczęsnych dni ci szereg, jak fala popłynie..
Córo Ledy, na którą wzrokiem opiekunki —
Dziewicza Pallas spoziera— —
Helena, o Atrydo, ramiona otwiera
Na słodkie twe pocałunki!

Epodos.

Promienie słońca rodzinne,
Najcudniejszemi blaski złoćcie nieba stropy.
O nimfy bosonogie weselnemi stopy
Poskoczcie w pląsy niewinne!
Demodoku, radosne śpiéwaj nam melopy!

Poddźwięki złotéj liry, w długich białych szatach
W wieńcach laurowych i kwiatach —
Spartanki przed ołtarzem bogów stańcie zgięte:
Niech zdrój jagnięcia krwi czystéj,
Niechaj wonne kadzidło, głos chóru srebrzysty
Uderzą w Olimp wieczysty,
By radować bogi święte!

Demodok.

Zakończcie wasze pieśni, niewinne dziewice —
Oto smutny niepokój i dziwne tęsknice,
Owionęły Heleny pobladłe oblicze...
W milczeniu więc jéj troski czcijcie tajemnicze.
Drobne, lekkie żałości waszych dni kwiecistych
Rychło się rozpływają w obłokach przejrzystych.
A wasze słodkie łzy—są Nocy łzom podobne,
Któremi wszystkie kwiaty rankiem lśnią ozdobne
Łatwo się rodzą, łatwiéj jeszcze mrą. Jak rosa
Jest wasz ból: schnie, gdy słońce wejdzie na niebiosa.
Ale serce, przez które przeszły gniewne bogi
Długo przechowa ranę swéj boleści srogiéj —
I z lubością ten obraz nieustanny goni
I z oczu łzy rozpaczy niewygasłéj roni...

Helena.

Starcze, niepokój we mnie gore tajemniczy.
Nędzne ma serce, pełne troski i goryczy.
Rzekłeś, w sercu mém rana. Jam słaba, niegodna.
Bogi każą mi wypić czarę hańby do dna...
Przyznaję, i powiadam, jak widzisz w rumieńcu,
Przyznaję, że mi tęskno po obcym młodzieńcu...
Jego męzkiéj postaci wdzięki nieprzeparte
Dotąd jeszcze w mém oku stoją niezatarte.
Kocham go, o Erosie—oto twe zabawy —
Mów, że mąż mój szlachetny i że godzien sławy
Mów, że Atryd mię kocha, i że w tym momencie
Płynie ku mnie po morza burzliwym odmęcie;
Że mnie powierzył życia swego cześć—i że go
Kocham! O zgrozo! Plemię ty bohaterskiego
Atreusza! Ananke! Dnia straszne promienie,
Wy żarzące zbrodniczéj miłości płomienie,

Napróżno! Przy nim serce me weselem dysze —
On mą chwałę unosi i dni moich ciszę...

Demodok.

Bogowie, w których łonie wszechpoczątki leżą —
Stosownie do serc naszych mocy—zło nam mierzą!
I w działach—jakie dają przeróżnemi losy —
Najlepszym wymierzają najmocniejsze ciosy!
Pewni, że każdy człowiek cnotą swoją zbrojny,
Nigdy nie zwyciężony, zawsze jest spokojny...
Precz odepchnijcie gościa, tęgie mury Sparty,
Co was lży! Niechaj płynie ręką bogów wsparty!
I niech dni przyszłe oczom moim objawione
W słońcu—znikną jak cienie nocy rozemglone!

Helena.

Powiedz ty, powierniku bogów nienawiści!
Jak się dla mnie ich ciosów wszechpotęga ziści?

Demodok.

Niechaj bogi działają. Próżna wszelka mowa.
Niechaj Zeus, niechaj Pallas dni twoje zachowa. —
I niech surowa mądrość i niech pokój boży
Serce twoje sprowadzi z smutku i bezdroży...
Słodycz cicha, pogodna miłości cnotliwéj
Do twéj duszy wzburzonéj wleje pokój żywy.
Tak na ciemném sklepieniu, kiedy wyją burze
Wzrok Heliosa ustąpić każe ciemnéj chmurze.

Helena.

Ojcze, mądrość twa wielka. Głowę osiwiałą
Niech ci słońce uwieńczy nieśmiertelną chwałą...
Zawsze będę słuchała życzliwie i wdzięcznie
Mądrych rad, które z ust twych płyną mi tak dzwięcznie.
A wy siostry Heleny, strojne w kwiatów wieńce —
Śpiéwajcie! Niechaj usnę przy waszéj piosence.
Ja lubię pieśni wasze, które tchną pokojem;—
A wasz uśmiéch rozpędza mrok na czole mojém.

Chór kobiét.

Oparty na swym rudlu, dzierżąc léjce w ręku,
Helios pędzi po niebie w swym promiennym wozie
I głuszy w rączym pędzie echo ludzi jęku,
Który huczy w nocy grozie.
Ciche bory są pełne milczenia uroku:
Czyste źródło, co z skały wypływało łzawo,
Łączy teraz westchnienia srebnych fal potoku
Z kwietną, zieloną murawą.
O bozka Artemido, ty leśna dziewico,
Przybądź! Oto godzina dla twojéj kąpieli
Niema śmiertelnych! popłyń przeczystą krynicą,
By ludzie cię nie ujrzeli...
Myśliwskie panny, nimfy, spieszcie się! Rozwiążcie
Białe szaty jej, tkane na niebieskiém krośnie:
Gęstwiny leśne, wy ją cieniem swym okrążcie
Od bóstw—patrzących zazdrośnie!
I drżąca toń dziewiczą przyjęła boginię—
I słodkim swym uściskiem pieści czyste łono —
A w okół niéj promiennie i radośnie płynie
Niepokalanych nimf grono!
Lecz jakież to westchnienie słychać wgaju blizkim:
Czy to jaka zbłąkana nimfa bojaźliwa —
Czy Egipan szyderczy—czyli za uściskiem
Stęskniony Faun się odzywa.
To ty, Arysteido, myśliwcze molosski,
Uchwyciłeś Artemis w jéj śnieżystéj bieli,
Kiedy nagość swą kryła śród nimf rzeszy boskiéj,
W srebrnéj porannéj kąpieli!
Uchodź, o bezrozumny! Bo gniewna Artemi
Widzi ciebie i wstaje po nad wód krynice
I uderza w twe czoło falami srebrnemi
A w oczach jéj błyskawice!
Dwuróg, czarny jak chmura urósł nad jéj skronie —
Ty uciekasz gajami, jako jeleń gniady
Niewierne psy, zmamione przez krwi koźléj wonie,
Węszą za twojemi ślady.
Nieszczęsny, nigdy więcéj w ukochane bory
Nie powrócisz na łowy, dzierżąc łuk napięty!
Bogowie są okrutni! Kiedy ziemskie twory
Cierpią—ich duch jest zamknięty!

Helena.

Bogowie są okrutni! O dni moje dawne,
Pocałunki méj matki! O chwile zabawne,
Kiedym pieszczone dziecię—igrała ze śmiechem,
Wspomnienia, które kocham i hańbię mym grzechem,
Żegnajcie! Czarna chmura między mną i wami
Stanęła—i mą duszę jak żałoba plami.
Żegnaj mi, święty domie Atryda mężnego,
Czyste rozkosze łoża błogosławionego
I ty mądréj Pallady ołtarzu gościnny,
Gdziem paliła kadzidło śród uczty rodzinnéj,
Grodzie Tyndara! Srebrne rzeki méj krawędzie,
Gdzie białośnieżnem stadem toczą się łabędzie,
Płyną—i niby Jowisz, opuszczając wody,
W cieniu trzcin gonią białe Najad chorowody,
Żegnaj! Góro Tajgetu, pieczary, doliny,
Gdzie pieśni moich dziewic weselnéj drużyny
Na śnieżnych traw murawie, między barwne kwiecie,
Kołysały mię do snu! Mój rodzinny świecie,
Ziemio, gdziem życia pierwsze oglądała świty,
Świadki méj cnoty, dzisiaj na wieki rozbitéj,
O Grecyo, wykąpana w mórz błękitnych pianie,
Helena wam ostatnie daje pożegnanie!
Niezwyciężony płomień w żyłach moich pali
Występną krew! Napróżno, choćby najzuchwaléj
Opierać się! O bogi, próżne łzy, wyrzuty,
Pójdź Parysie, do Troi nieś mię w śpiż zakutéj!
Dokończ zwycięstw, Erosie! Jam jak łódź bezsterna,
A ty Jowisza córo—strażniczko niewierna,
Pallado, coś zdradziła mię; żałobne bogi,
Którzyście mi wybrali ten dzień hańby srogiéj
I pchacie mię w ramiona miłości nieczystéj,
Na Styks, rzekę podziemną, na Hades ognisty,
Na Niobe, na Tantala—na Atreja krwawą
Ucztę! Na Persefonę, na Anankę łzawą!
Na wszystkie męki, bóle, rozpacze, Erynie,
Bogi okrutne, głuche bogi i boginie,
Odpycham was! Wróć, kocham, czekam cię, Parysie!

Demodok.

Niech co szybciéj uchodzi! Zła mara ci śni się.
Oto już go po falach niesie bóg łaskawy,
Oto znikły już ślady jego czarnéj nawy!

Helena.

Eros łono me pali! Ha, umieram prawie,
Demodoku, nad Eurot śpiesz—i w głośnéj wrzawie
Okrzycz nad brzegiem rzeki... Powstrzymaj bieg łodzi,
Mów, że kocham, że czekam go... że, niech przychodzi!

Demodok.

Na mężnego Atrydę, na Hellady sławę,
Niechaj raczéj mściwego Zeusa gromy krwawe
Moją głowę występną w proch obrócą podły,
Zanim, Heleno, miałbym wysłuchać twéj modły.

Chór kobiet.

O nieszczęsna, jakież to myśli są w Helenie?

Helena.

Dziewice, łzy otrzyjcie! Tak chce przeznaczenie.
Walczyć z prawem potężném napróżna odwaga,
O, ciężką jest na sercu mém leżąca waga.
Gorzkie łzy, które oczy moje błędne ronią...
Ale bogi tak każą. Oni mię nad tonią
Postawili bezdenną. Cokolwiek się stanie,
Pójdę tam, gdzie me losy kierują niebianie!
Chwałę mą, cześć mą, cnotę wszystko, com w kolebce
Czciła; co ludziom święte, wszystko to podepcę!
Precz wstyd, a gdy śmierć znak mi wyryje na czole,
Rzeknę: o bogi, waszą dopełniłam wolę!

VII.

Parys.

Pójdź, moi towarzysze do drogi gotowi,
Wstrzymali się posłuszni twemu okrzykowi!...

Helena.

Bogi mię wysłuchały!

Demodok.

Ty, przysłany z Hada
Pryamido—i czynem splamiona haniebnym
Zdradna żono, słuchajcie! Na trójnogu srebrnym
W Larysie, bóg, co cześć dlań Likoreja chowa,
Dał mi niegdyś usłyszeć swe prorocze słowa!
Młody jeszcze, lecz pełny już pobożnych ćwiczeń,
Wsłuchiwałem się w tajne dźwięki boskich życzeń...
I wielki Feb prowadził moje kroki trwożne
Na Pieryd ukochanych wierzchowiska zbożne.
Oczom mym powierzając dni nieurodzone,
Bóg mi objawił wasze losy pohańbione,
Niewolnico Erosa, twe i twe—Parysie!

Parys.

Nie słuchać mam-że bogów! Bóg za opór mści się
Starcze! ognie opadłe z Hiperyona wozu,
Nie ogrzeją Atosu białych szczytów mrozu.
Od marzeń płomienistych śnieżny wiek cię chroni,
I nigdy już w twém sercu ogień nie zapłonie.

Demodok.

Młodzieńcze, ukochani są mocarzom boskim
Ci co żyją spokojnie pod dachem ojcowskim,
Ci, co dążąc surową drogą prostéj cnoty —
U téj czystéj krynicy gaszą swe tęsknoty.
Ty zaś, o córko moja, ty, którą kochali
I uwielbiali wszyscy, dziecię władcy fali,

Córo Ledy, posłuchaj... Dziecinne me lata
Tchnienie zim śnieżnobiałém pokryciem oplata
Żyłem długo. Znam jutro, jakie zawsze czeka
Jednogodzinne szały i żądze człowieka.
O żono Menelaja — Demodok cię błaga
Pomnij krzywoprzysiężna! Pallas cię wysmaga.

Chór kobiet.

Heleno, najpiękniejsza pośród niewiast ziemi,
Ściskamy twe kolana rękami drżącemi!

Helena.

Dość! Jam boskim Erosa posłuszna płomieniom,
Unieś mię, o Parysie, ku morza strumieniom.
Oto zapłonął Heljos o ognistem oku,
Żegnajcie dziewy, Sparty! Żegnaj, Demodoku!

Chór kobiet.

Zatrzymaj się, Heleno, nieszczęsna, szalona,
Twoja cześć—moja boleść... Ach, dusza ma kona!
Ona uchodzi! Oto na trójwiosłowéj łodzi,
Znika w porcie kamiennym... Uchodzi, uchodzi!...
Upadnijcie złamane, starożytne mury,
Zachwiéj się, o Lakonjo, od hańby twéj córy.

Demodok.

Stało się. Od ich wioseł piana wód się bieli
Ale nad nimi czuwa—wzrok bogów Mścicieli!

Chór kobiet.

Strofa.

Boscy bracia Heleny, promienne Dyoskury,
Którzy nam jaśniejecie śród nocy ponuréj
Na mórz wielkich widnokręgach,
Blask swój ukryjcie za chmury,
Nawie téj, która płynie po mórz sinych wstęgach...
Rzućcie ponuréj nocy zasłony wieczyste,
Piękne gwiazdy—wy, króle nad rzesze gwiaździste,

Przez Olimpu szczyty łzawe,
Rzućcie mrok na te czyny splamione, nieczyste...
Helena opuściła kraj swój—cnotę—sławę!

Antistrofa.

Jako róża pod mroźnym tchnieniem Boreasza,
Kiedy zamiera wiosna, co jéj liście zrasza,
Po chwili pada i więdnie,
Tak zapłacze młodość nasza,
Że dni słoneczne tak się zakończyły błędnie.
Mchy Tajgetu—wy dolin naszych cudnych kwiaty,
Zasłuchane w naszym śpiewie,
Wy, które tak kochała Helena przed laty,
Zwiędnijcie! Ona bogów odrzuciła w gniewie!

Epodos.

Do pustego zamczyska szlachetny Atrydo,
Przez fale morza burzliwe
Nie śpiesz! Niechaj twe nawy zwolna, zwolna idą.
Nie obaczysz swéj żony. Pokryła ohydą,
Dni twego życia szczęśliwe!
Rycerzu—jak niewiasta léj łzy boleściwe.
Córa Ledy, śród rzecznéj zrodzona głębiny,
Na nasze łzy nieczuła, nie pomna swéj cześci,
Opuszcza Grecyi krainy
I róż wieńcami się pieści,
Drwiąc z naszéj wielkiéj boleści!

Demodok.

O Febie—Apollonie! z twoich ust jak słońce,
Płynie prawda co duchy pokrzepia wątpiące,
Królu muz, piewco lasów i gór niebotycznych
Władco złotego łuku i tchnień poetycznych,
Panie świętéj Laryssy, pogromco Pytona:
Niech wyschnie oceanów fala niezgłębiona,
Niech eter nietykalny, skąd twój wóz promienny
Ludziom i bogom światła niesie zdrój niezmienny
Zapadnie się. Niech Hada ponure płomienie
Pochłoną świat w żałoby wiekuiste cienie...

Jeżelim kiedy zdradził cię, niesłuchał ciebie,
Jeślim zwątpił w moc twoją, Apollonie Febie!
Syny Hellady, dumne, mężne wojowniki
Napełnijcie jak gromem swoimi okrzyki,
Szczyt Olimpu—i ziemię szerokiéj Hellady,
I góry i doliny, gdzie śpią wasze dziady...
Od dzikiego Epiru po Egejskie fale,
Wstańcie ojczyznę pomścić shańbioną w swéj chwale,
Podnieście wojownicy dłonią swą orężną
Mężobójczy miecz ostry i włócznię potężną...
Krzycz potężny Argosie, Ateny i Sparto,
Pokryj szerokie morza flotą nieodpartą,
A wy króle Hellady, unieście po fali
Ogień, co na proch wieczny gród Iljonu spali!

Chór kobiet.

Strofa.

Kiedy dziewica w mirty Erosa upięta
W białéj przeczystéj sukience,
Przed ołtarzem hymenu staje uśmiechnięta,
Charyty kołem tańcząc wiodą ją za ręce
Tam, gdzie ślubna pieśń brzmi święta!
Radość napełnia światłem serce jéj niewinne.
A małżonek jéj modły bogom śle dziękczynne.

Antistrofa.

Aureolą radości lśnią kochanków skronie
Wkoło róż jaśnieją wieńce,
Śmiechy dźwięczą w weselném ucztującém gronie,
Czar zatrzymuje gości, tam gdzie oblubieńce,
Lśnią w białych kwiatów koronie.
Cześć ci ty, który życie zmieniasz w upojenie
Boski bracie Erosa, Hymenie, Hymenie!

Epodos.

Lecz o święta czystości, ty czcigodna szato,
Biada temu, o biada, co białość twą skala,
Niech za to zginie, niech za to

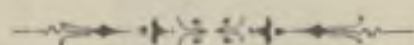
Bezlitośna Erynia mściwą swą zapłatą,
Na wieki mu w Hadesie męki porozpala!
Biada małżonce niewiernéj,
Co rzuca domowe progi,
Źródło hańby i klęski—i wojny krwiożernéj,
Ciężar dla ziemi złowrogi!
Ukarzcie ją Mściciele, groźne czarne bogi!

Przełożył *A. Lange.*



ATOM I MONADA *).

(Studyum filozoficzne).



Bóg, natura, człowiek — oto trzy najważniejsze zagadnienia filozofii. Umysł ludzki, stojąc wobec ze wszech stron otaczających go tajemnic, usiłuje początkowo wytłómaczyć sobie świat zewnętrzny, zjawiska przyrody, dopiéro późniéj zwraca się do badania własnéj swojéj istoty, przechodzi od przedmiotu do myślącego podmiotu, usiłując uchwycić ich wzajemny do siebie stosunek. Dążność do podniesienia się ku prawdzie bezwzględnéj, ku absolutom, ku pierwszéj przyczynie zjawisk prowadzi do wytworzenia pojęcia o Istocie najwyższéj, a pojęcie to przeobraża się, zmienia, stosując do umysłowego poziomu badacza i pojęć epoki, która je zrodziła. Filozofia natury pierwsza pojawia się w dziejach; starzy myśliciele Indyi dumali już nad zagadką świata, toż samo zagadnienie poruszyła szkoła jońska w zaraniu filozofii greckiéj, dążąc do wytłómaczenia nieskończonéj rozmaitości zjawisk kombinacyą kilku zasadniczych pierwiastków. Usiłowania te wywołały żywy ruch umysłowy, objawiły

---

*) Mabilleau: „*L'histoire de la philosophie atomistique*". Lange: „Historya materyalizmu". Leibnitz: „*La Monadologie*". Hennequin: „*L'hypotése des atomes dans la science contemporaine*".

się w całym szeregu kosmogonicznych hypotez, z których głównie na uwagę zasługuje mechanizm Demokryta.

Zagadnienia bytu w dwojaki sposób rozwiązywane być mogą, zależy to od stanowiska na którém stoimy, od terminu wziętego za zasadniczy pierwiastek. Materya lub duch, atom lub monada, przedmiot albo podmiot—oto dwa punkty widzenia pozornie przeciwstawiające się się sobie, a mogące zarówno dobrze służyć za punkt wyjścia do wytłómaczenia świata. Dla materyalisty myśl jest wytworem nader złożonych kombinacyi mechanicznych, wynikiem ruchów mózgowych, zjawisko świadomości rozwija się na tle drgań nieświadomych cząsteczek materyi. Spirytualista rozumuje wręcz odwotnie, wyprowadza naturę z ducha, z myśli, będących jedynym, zasadniczym pierwiastkiem bytu. Materyalizm przyjmuje za jednostkę atom, a kombinacye i ruchy atomów tłómaczą nam całą różnorodność zjawisk wszechświata. Spirytualizm szuka owéj zasadniczéj jednostki w świadoméj monadzie, darząc ją myślą i wolą.

Wnikając głębiéj w owe spory toczone od wieków między zwolennikami materyalistycznego i spirytualistycznego pojmowania świata, dojdziemy łatwo do wniosku, że jest to prosta gra wyrazów, spór ów toczy się około różnych terminów naukowych bez krytycznéj oceny zasadniczych pojęć. Bo czyż wiemy, czem jest materya, czy znamy istotę ducha? Napróżno myśl ludzka przeniknąć usiłuje nierozwiązalne zagadnienie, napróżno pracuje nad analizą zjawisk, by z nich wydobyć pierwszą przyczynę, by dociec aż do pierwiastków bytu. Cała historya filozofii świadczy o olbrzymich wysiłkach myśli dążącéj do poznania bezwzględnéj prawdy, pracowały nad tém wieki, łamały się najgenialniejsze jednostki, a jakiż owoc owych potężnych wysiłków? Uznać dzisiaj musimy względność wszytkich naszych twierdzeń, prawd, przekonań, niedostateczność całéj wiedzy opartéj na pojęciach ciemnych, mglistych, nieuchwytnych. Owe zagadnienia postawione u wstępu umysłowéj pracy ludzkości, w zaraniu historyi, wznoszą się i dzisiaj jeszcze przed nami i pociągają ku sobie z nieprzepartą siłą, zagadnienia owe są dla nas pierwszorzędnéj wagi, dążą do wytłómaczenia własnéj naszéj istoty. Źródło to nieprzebrane spekulacyi filozoficznych, z niego tworzą się rozliczne systemy zwalczające się nawzajem. Każdy z nich z innego punktu widzenia rozpatruje jedno i toż samo zagadnienie, każdy inną drogą dąży do rozwiązania odwiecznéj zagadki. Czyż kiedykolwiek ta praca myśli, ta walka idei wykrzesać zdołają choćby iskierkę prawdy? a może człowiek skazany jest na wieczne szamotanie się wśród nieprzebitych ciemności, które go bolą i gniotą? Przyszłość tylko

na pytanie to odpowiedzieć będzie zdolna. Tymczasem wiek nasz, tak jak i te, które go poprzedziły, pracuje nad zebraniem bogatego materyału naukowego, również jak i nad wytłómaczeniem istoty zjawisk.

Pojęcie atomu odgrywa ważną rolę w nauce współczesnéj, teorya atomistyczna jest podstawą nowożytnéj chemii! Dawne poglądy Demokryta, odmłodzone i przetworzone, pojawiają się znowu w naszéj filozofii natury. Atomy, uważane jako niepodzielne jednostki z których wszechświat się składa, nabiérają coraz więcéj cech duchowych, dążą do przeobrażenia się w monady obdarzone psychicznemi własnościami, lub téż wśrodki sił, w punkty niepodzielne i pozbawione rozciągłości, których wzajemne stosunki wytwarzają wszechświat. Zanim przystąpię do bliższego określenia téj nowéj formy jaką przybiéra filozofia atomistyczna, myślę, że nie będzie bez pożytku rzucić okiem w przeszłość, przypatrzyć się różnym jéj fazom historycznym, zaznaczyć przeobrażenia przez jakie przechodziła od głębokiéj starożytności, aż do dni naszych.

Najnowsze badania nad cywilizacyą Wschodu wykazały, że tam już, w nader odległéj od nas epoce, zbudziło się i rozwijało w pełni zamiłowanie do filozoficznych dociekań. W Indyach powstały różnorodne systemy, w których odnaleźć można zarody wszystkich późniejszych myśli ludzkiéj kierunków. Systemy te, jakkolwiek niezupełnie jeszcze oswobodzone od więzów teologii, zasługują na uwagę historyka, pragnące uchwycić pierwsze przejawy ducha spekulacyjnego, by módz ztąd lepiéj zrozumiéć i ocenić dalsze jego fazy ewolucyjne.

W religijnéj literaturze indyjskiéj, w świętych księgach Wedy, odnajdujemy już dążność do sprowadzenia wszystkich ciał materyalnych do pewnéj, ograniczonéj ilości ciał prostych, czyli pierwiastków, te ostatnie łączą się ze sobą w rozlicznych proporcyach, stosunkach i z kombinacyi tych powstaje świat widzialny. W powyższych pojęciach tkwi już zaród filozofii atomistycznéj, którą potém rozwija sekta Waïseshika, stworzona przez myśliciela imieniem Kanada. Wedle niego, materya składa się z atomów, każdy pierwiastek posiada specyalnie odpowiadający mu gatunek atomów czyli niedziałek, pojęcie jedności jest mu jeszcze nieznaném. Atom jest prostym, niezniszczalnym i wiecznym, do poznania jego dochodzimy nie drogą wrażeń zmysłowych, lecz przez rozumowanie. Atom, jednostka bytu, nie podpada pod zmysły. Prawo łączenia się i rozkładu atomów tłómaczy najzawilsze zjawiska świata. Porównać by je można ze słynném prawem ewolucyi i dyssolucyi sformułowaném za dni naszych przez Herberta Spencera.

Dusza, wedle Kanady, jest wyższego rodzaju atomem orza wyrazem czynności organicznych. Bóg nie stwarza, atomy są wieczne, byt ich z żadną nie jest związany przyczyną. Inne sekty indyjskie wprowadziły pewne zmiany w systemie, przestały rozróżniać gatunki atomów, przyjęły jednorodność pierwotnéj materyi.

Kanada stworzył system materyalistyczny, od którego wywodzą się liczne sekty ateistyczne. Pierwsze to błyski geniuszu indoeuropejskich ludów, dążących do wytworzenia filozofii natury, do wytłómaczenia zjawisk świata niezależnie od przyjętych ogólnie wierzeń religijnych.

Atomizm grecki jest tylko dalszym ciągiem atomizmu indyjskiego, liczy on znakomitych poprzedników wśród filozofów epoki, która poprzedziła Sokratesa. Jończycy uznawali materyę pierwotną tworzącą wszechświat, pitagorejczycy dorzucili matematyczne pojęcie owéj materyi. Heraklites wprowadził do fizyki ruch, Empedokles uznał cztery żywioły pierwotne, których kombinacye wytwarzają całą różnorodność zjawisk świata. Znakomitym przedstawicielem filozofii atomistycznéj w Grecyi jest Demokryt, żyjący w V w. przed narodzeniem Chrystusa. Prawdziwym twórcą doktryny jest mistrz jego Leucipus, o którego życiu i dziełach jednak mało wiemy. Teorya atomistyczna Demokryta rozwija się na podstawie trzech zasadniczych twierdzeń: 1) istnienie próżni,—2) wielka ilość jednostek tworzących byt,—3) zdolność ich do wytwarzania różnorodnych połączeń i kombinacyi. Ostatnie to twierdzenie zawiera już w sobie cały atomizm nowożytny.

Atom i próżnia, byt i niebyt istnieją równocześnie obok siebie; wszechświat składa się z materyalnéj substancyi, która wypełnia przestrzeń, i z przestrzeni dozwalającéj materyalnym cząsteczkom swobodnie się poruszać. Demokryt poglądy swoje sformułował w szeregu następujących twierdzeń: 1) Nic nie pochodzi z niczego, nic z tego, co istnieje, nie może być unicestwioném; każda zmiana jest tylko połączeniem się lub rozdzieleniem cząsteczek. 2) Nic nie jest dziełem przypadku, wszystko ma swoją racyę bytu, jest konieczném. Mimo pozornych zmian zachodzących w zjawiskach, substancya sama nie ulega przeobrażeniom, a ilość jéj zawsze jednakową pozostaje we wszechświecie. 3) Istnieją tylko atomy i próżnia, reszta to złudzenie. 4) Liczba atomów jest nieskończoną, przybierają téż one niezliczoną różnorodność kształtów. Spadając wiecznie po przez niezmierzone przestrzenie, większe atomy uderzają o mniejsze, powstające ztąd wiry są początkiem tworzenia się światów, które powstają tylko dla tego, aby zaginąć. 5) Przyczyną

różnic zachodzących w przedmiotach są różnice składających je atomów, różnice w ilości, wielkości, kształcie i ustawieniu. Różnice jakościowe nie istnieją w atomach, oddziaływają one wzajemnie na siebie drogą zetknięcia się zewnętrznego, przez uderzenie. 6) Dusza składa się z atomów subtelnych, okrągłych, gładkich i niezmiernie ruchliwych; ich to ruch jest przyczyną wszelkich zjawisk życiowych.

W twierdzeniach tych odnajdujemy dwie wielkie tezy nowożytnéj fizyki: niezniszczalność materyi i zachowanie energii. Demokryt głosi zasadę, na któréj oparły się późniejsze zdobycze naukowe, najbardziéj złożone zjawiska objaśnia ruchem cząsteczek niepodzielnych, prostych. Dzisiaj w podobny sposób tłómaczą zjawiska dźwięku, światła, ciepła, wszelkie przemiany chemiczne i fizyczne. Demokryt zdaje się przeczuwać owe teorye mówiąc: „Słodycz, gorycz, ciepło, chłód, barwa — istnieją jedynie w myśli człowieka, w rzeczywistości niema nic po za atomami i próżnią". Przypomina to owo sławne rozróżnianie własności pierwszo i drugorzędnych Locka, zkąd wziął początek potężny ruch myśli, który doprowadził do psychologii Hume'a, a tém samém i oddźwiek swój znalazł w kantowskim krytycyzmie.

Atomy Demokryta proste są, niepodzielne, wieczne, żadna siła zniszczyć ich nie jest zdolną, posiadają pewną wielkość i rozciągłość oraz siłę ciężkości. Zmiany wszelkie wynikają z różnego rozpołożenia atomów w przestrzeni, wszelkie czynności są mechaniczne. Ruch wiecznym jest, szybkość z jaką atom porusza się w nieskończonéj przestrzeni ściśle odpowiada jego masie, wielkości, kierunek ruchu jest pionowym. Wszechświat powstaje z wirów atomów, uderzają one o siebie, łączą się lub rozdzielają, brak tu praw ściśle określonych, przypadek panuje wszechwładnie. Wszechświat jest zbiorem atomów i próżni rozciągających się w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Przypadkowe nagromadzenie cząsteczek daje początek światom, których trwania nie możemy określić. „W ruchach i wirach streszcza się cały mechanizm świata". Demokryt nie sformułował prawa rozwoju, kombinacye atomów mają objaśniać wszelkie zjawiska i sławném jest jego porównanie, że jednemi i temi samemi głoskami napisać można dramat albo komedyę.

Myśl jest także wynikiem ruchu, każda z czynności psychicznych ma swoje właściwe siedlisko w ludzkim organizmie: gniew w sercu, wola w wątrobie, myśl w mózgu i t. d... Psychologia Demokryta sprowadza wszystkie czynności umysłowe do zmysłowych wrażeń, a te ostatnie objaśnia mechanicznie. Wszystkie zmysły są

odmianą zmysłu dotykania. Cząsteczki jednych ciał przechodzą w drugie, i w ten to sposób zdolni jesteśmy do odczuwania otaczającego nas świata. Co się zaś tyczy moralności, to Demokryt widzi cel życia w szczęściu, to jest w dążeniu do odczucia jak można najwięcéj przyjemnych wrażeń.

Demokryt pierwszy pokusił się o naukowe wytłómaczenie świata, usunął zeń wszelką interwencyę sił zewnętrznych, nadprzyrodzonych, nowocześni przyrodnicy nie stworzyli do téj pory nic, coby mogło obalić lub zastąpić teorye myśliciela greckiego. System to nawskroś materyalistyczny, fatalizm i ateizm są jego koniecznėm następstwem, brak mu prawa ruchu, wszechświat, pojęty jako chaotyczne nagromadzenie atomów nie tłómaczy nam owéj harmonii, jaką spostrzegamy we wszechistnieniu. Prosty mechanizm nie wystarcza do objaśnienia zjawisk psychicznych: myśli, uczucia i woli.

Pierwszy Anaksagoras w filozofii greckiéj zaznaczył niedostateczność wszelkich usiłowań dążących do wytłómaczenia wszechbytu za pomocą hypotez fizycznych i mechanicznych, stworzył pojęcie ducha, pierwiastku intelektualnego istniejącego obok bezwładnéj materyi, ducha, który świat wydobywa z chaosu, by zeń wytworzyć harmonijną całość. Anaksagoras zamyka pierwszy okres w rozwoju filozofii greckiéj i zdaje się już przeczuwać następną świetną epokę głębokich spekulacyi: Sokratesa, Platona i Arystotelesa. Idealizm zapanował wszechwładnie, przestano badać naturę, zarzucono nauki fizyczne, dopiero w IV wieku przed Chrystusem atomizm Demokryta powraca znowu, jako podstawa filozofii epikurejskiéj, pewne w nim jednak spostrzegamy zmiany. Psychologiczne i moralne zdobycze epoki Sokratesa oddziaływają na fatalistyczne pojęcia materyalizmu, pojawia się nowy czynnik, wolna wola, i Epikur wprowadza ją do swojego systemu, jego atomy zdolne są zbaczać z linii prostéj, mogą zmieniać kierunki i t. p.... Poeta rzymski Lukrecyusz rozpowszechnił w ojczyźnie swojéj znajomość zasad Epikura, w jego poemacie „O naturze wszechrzeczy” występuje już pojęcie ewolucyi, wolnego, stopniowego rozwoju istot organicznych.

Charakterystyczną cechą atomizmu greckiego jest jego zupełna niezależność od wszelkich wierzeń religijnych i filozoficznych, podobną niezależność odnajdzie on dopiero za dni naszych. Atomizm jest prostém nader, wspaniałém wytłómaczeniem świata, cała jednak teorya opiera się na hypotezie, któréj żadne doświadczenie nigdy dowieść nie będzie w stanie, wartość jéj zatém, zarówno jak wartość wszelkich filozoficznych systemów, jest względną, nie rozwiązuje ostatecznie zagadki świata.

Fazę przejściową od atomizmu starożytnych do naszych teoryi nowoczesnych przedstawia w sobie szkoła muzułmańska Motecallemîn z X wieku naszéj ery. Arabowie wzięli w Indyi i Grecyi materyalistyczny sposób tłómaczenia natury, ale przeobrazili go dostosowując do swoich pojęć religijnych, nadali mu wschodni charakter mistyczny, różniący się wielce od czysto naukowego atomizmu Hellenów. Filozofowie arabscy usunęli na plan drugi czynnik materyalny w dziele wytworzenia się wszechświata, a pierwszorzędne znaczenie przyznali istocie Boga. Ich atomy, jako nieskończenie małe cząsteczki, nie dadzą się uchwycić drogą doświadczenia, jedynie umysł pojąć je może. Wedle Greków, atomy są rozciągłe, zajmują pewne miejsce w przestrzeni, Indyanie i Arabowie odmawiają im rozciągłości wszelkiéj. Zasadnicza to różnica dwóch form tych, jakie przybierała filozofia atomistyczna.

Materya u Arabów traci byt rzeczywisty, samodzielny, Bóg stwarza ją i utrzymuje, Bóg również może ją w każdéj chwili unicestwić; istnienie jéj w zupełności zależy od owéj twórczéj potęgi, co ją wywołała z nicości, co ją utrzymuje wolą swoją wszechwładną, Bóg jest przyczyną wszelkiego bytu, nadaje prawa, wedle których wszechświat porusza się w wiekuistéj harmonii, do Niego wszystko odnosić należy, nic po za Nim nie istnieje samoistnie. Nowa to forma panteizmu, przedstawiająca pewne pokrewieństwo z doktryną Kartezyusza o nieustającém stwarzaniu. Arabowie nowy kierunek nadali filozofii atomistycznéj, godząc dawne pojęcia Demokryta z wiarą w Istotę najwyższą, co świat stworzyła i zorganizowała wolą swoją potężną. Forma to atomizmu teologicznego, nader mało podobna do czysto naukowéj teoryi Greków, pojawiać się ona będzie późniéj w dziełach nowożytnych filozofów tylko pod nieco zmienioną postacią.

Przedstawicielami wiedzy przyrodniczéj w wiekach średnich są alchemicy, przechowali oni tradycyę teoryi objaśniających całą różnorodność zjawisk przez kombinacye pewnéj ograniczonéj ilości ciał prostych, pierwiastków. Szkoła Demokryta w Egipcie zajmowała się alchemią, stamtąd w VIII wieku nauka ta przeszła do Arabów, a w czasie wojen krzyżowych pojawiła się na zachodzie Europy. Doktryny alchemików wytworzyły się z wzajemnego na siebie oddziaływania ducha Grecyi z duchem Wschodu w Aleksandryi, z atomizmem łączy je wiara w jednorodność materyi tworzącéj wszechświat. Alchemicy wierzą, że jedne ciała można przeobrażać w drugie. Istnieją cztery pierwiastki: ciepło, zimno, wilgoć, susza, które są różnemi tylko postaciami jednéj „duszy świata". Alchemia uznaje ścisły związek między pewnemi połączeniami pierwiastków a ru-

chami ciał niebieskich w przestrzeni; po raz tu pierwszy występuje przeczucie możliwości uchwycenia pewnych stosunków i podobieństw w budowie materyi na dwóch przeciwnych biegunach, w molekule i w systemie słonecznym; wielka to zdobycz chemii filozoficznéj.

Atomizm pojawia się pod różnemi postaciami w nowożytnéj filozofii: niekiedy, pod wpływem idei muzułmańskiéj, nosi na sobie charakter teologiczny, dąży do pogodzenia nauki z wiarą, stawia Opatrzność na miejsce odwiecznéj materyi. Przedstawicielami tego kierunku są: Gassendi we Francyi w XVII wieku, Newton w Anglii; kierunek ów przeobraża się i przyjmuje idealistyczny charakter w monadologii Leibnitza. Wiek XVIII tworzy nową formę filozofii atomistycznéj, atomizm dynamiczny Boskowicza; pierwiastek czynny, siła staje się zasadą bytu. Nasze stulecie bierze teoryę atomistyczną za podstawę naukowych badań, przyjmuje ją jako hypotezę mogącą objaśnić cały szereg faktów zdobytych drogą doświadczenia. Atomiści współcześni przystosowują poglądy swoich poprzedników do pojęć bieżących. Przypatrzmy się bliżéj trzem głównym kierunkom nowożytnego atomizmu: teologicznemu, psychologicznemu i dynamicznemu, zanim określimy dokładniéj znaczenie naszéj teoryi w nauce współczesnéj.

Pierwszy Gassendi we Francyi przyjął zasady atomizmu Epikura, uzupełniając je swemi teologicznemi poglądami. Bóg stworzył atomy, nakréślił im kierunek ruchów w nieskończonéj przestrzeni, nadał im prawa niezmienne a mądre. Materya jest pierwiastkiem czynnym, ilość energii zawsze jednakowa utrzymuje się we wszechświecie. Atomy obdarzone są siłą ciężkości, wzajemnie się przyciągającego i oddziaływają na siebie.

Atomizm teologiczny pojawia się téż i w Anglii; znakomity chemik Boyle wyobraża sobie wszechświat, jako olbrzymią maszynę, stworzoną i zorganizowaną przez Inteligencyę najwyższą. Dla Newtona Bóg jest pierwszym motorem świata, pierwszą przyczyną bytu, chociaż zjawiska przyrody objaśnia mechanicznie, przez ruch atomów. Siły działać mogą bez względu na odległość, krytykuje on tutaj Demokryta, dla którego atomy mające oddziaływać na siebie koniecznie stykać się bezpośrednio musiały. Newton badał tajniki ruchu molekularnego i wykazał, że ruchy ciał niebieskich są prostą sumą ruchów cząsteczek, z których powstały.

Krytycyzm myśliciela angielskiego Locka zachwiał wiarę w istnienie materyi, pobudził do głębszych badań nad jéj istotą,

przygotowując tém samém nową formę atomizmu, któréj przedstawicielem jest Boskowicz, uczeń Newtona, jezuita chorwacki z XVIII wieku.

Filozof ten przeczy istnieniu atomów, a w miejsce ich stawia siłę. Wszechświat cały to olbrzymi mechanizm, to gra sił potężnych; znika to, cośmy zwykli nazywać materyą; poglądy Boskowicza graniczą z najczystszym idealizmem. Pierwiastki składające świat przedstawiają mu się w postaci punktów niepodzielnych, brak im rozciągłości, pozostają w pewném od siebie oddaleniu i obdarzone są podwójną siłą przyciągania i odpychania, któréj natężenie zmienia się stosownie do odległości. Nazwać by je można mianem atomów dynamicznych. Nie różnią się one w niczém jedne od drugich, a rozmaitość zjawisk pochodzi z nieskończonych różnic w ilości, położeniu, we wzajemnych stosunkach owych dynamicznych jednostek. Boskowicz wraca do pojęć pitagorejczyków starożytnéj Grecyi i jednocześnie przeczuwa teorye fizyki nowoczesnéj, sprowadzającéj wszelkie zjawiska do ruchów ściśle matematycznie określonych i obliczonych.

Atomizm psychologiczny, spirytualistyczny ma swego twórcę i najznakomitszego przedstawiciela w Leibnitzu, którego monadologia w szeregu tez streszcza główne punkty filozofii mistrza. Istnieje ścisłe nader pokrewieństwo między monadami Leibnitza a atomami przyrodników; atom i monada pojęte są jako pierwiastki bytu; materyaliści z atomów, idealiści z monad wznoszą budowę wszechświata; pierwsi, jako punkt wyjścia, biorą bezwładną materyę i z niéj wyprowadzają wszelkie przejawy ducha, myśl, uczucie, wolę; drudzy z myślącego „ja", z podmiotu, snują wątek przedmiotowego bytu, świat zewnętrzny sprowadzają do gry naszych pojęć i wyobrażeń. Uderzające podobieństwo uchwycić można między monadami i harmonią naprzód ustanowioną przez Boga z jednéj strony, a atomami i prawami natury z drugiéj.

Monadyzm jest rodzájem metafizycznego atomizmu, jednostki bytu są tu wzajem od siebie niezależne i poddane prawu wiekuistéj harmonii będącéj dziełem samego Boga. Istotę monady stanowi substancya prosta, nie mająca żadnéj rozciągłości, obdarzona tylko siłą rwącą się do działania, substancya niematerya'na, punkt metafizyczny wyrażający w sobie pojęcie bezwzględnéj jedności. Atom rozciągły, wedle Leibnitza, jest zbiorem materyalnych cząsteczek, porównać by go można do stawu ryb pełnego, pozornie prosty, w gruncie rzeczy jest nader złożonym. Prawdziwą jedność zrealizować może tylko siła wewnętrzna, psychiczna, świadoma siebie.

Demokryt wytworzył pojęcie jednostki mechanicznéj, Gassendi dynamicznéj, Leibnitz jednostki duchowéj, metafizycznéj. „Myśl jest wysiłkiem" twierdzi filozof niemiecki i tutaj to właśnie uchwycić możemy zasadniczą różnicę między zbliżonemi do siebie pojęciami atomu i monady. Atom jest jednostką bezwładną, nieświadomą, bezwzględnie ulegającą prawom rządzącym jego ruchami, monada posiada własną indywidualność, posiada myśl i wolę.

Wyraz „monada" pojawia się w filozofii po raz pierwszy w dziełach Giordana Bruna z XVI-go wieku. Bruno znosi różnicę między formą a materyą; pierwiastkami wszechrzeczy są wedle niego monady, dusza jest monadą wieczną, Bóg to także monada, początek wszechbytu, wszystko zeń wypływa i do niego powraca. Istnieje pewna różnica między pojęciami Bruna i Leibnitza; wedle pierwszego monada jest jednostką zewnętrzną, objektywną, drugi pojmuje ją podmiotowo, subjektywnie.

Rozliczne wpływy oddziałały na umysł i system Leibnitza; potężnym był wpływ Newtona, który pierwszy wykazał znaczenie siły we wszechświecie, również zaznaczyć należy wpływ krytycyzmu Locka i teoryi dynamicznych Gassendi'ego. Atomy Demokryta różnią się wielkością, kształtem i położeniem, monady Leibnitza są to punkty różniące się tylko jakościowo. Różnice te, a zarówno i stopień energii monad polegają na wyobrażeniach, które posiadają wszystkie monady, tylko nie z jednakową jasnością.

Jeden tylko Bóg, monada pierwotna, któréj wszystkie inne są odblaskiem, posiada zupełnie jasne wyobrażenia. Świat cały to hierarchia istot dążących do coraz jaśniejszych, doskonalszych wyobrażeń. To, co my bierzemy za ciało, jest w istocie zbiorem mnóstwa monad, tylko mylność zmysłów naszych przedstawia nam je jako jedno ciało.

Każda monada odbija w sobie wszechświat, najlepiéj jednak pojmuje swe najbliższe otoczenie Współczesne istnienie monad wytwarza przestrzeń; następstwo zaś objawów nazywamy czasem. Świat cały składa się z szeregu zjawisk, byt rzeczywisty jest niemateryalnym.

System Leibnitza, jakkolwiek pokrewny filozofii atomistycznéj, w innym duchu stworzony został, to reakcya przeciwko materyalistycznemu pojmowaniu świata w XVIII-ém stuleciu.

Za dni naszych atomizm filozoficzny nader mało liczy zwolenników, jego przedstawiciele ograniczają się do przetrawiania tez swoich poprzedników, między nimi Karol Lemaire twierdzi, że ato-

mizm wyklucza pojęcie Bóstwa, że sam wystarcza do wytłómaczenia świata.

Klementyna Royer nie widzi zasadniczych różnic między fizycznemi a psychicznemi zjawiskami, materya i duch to dwie tylko różne formy objawów jednéj substancyi, będącéj jednocześnie siłą, życiem, inteligencyą. Haeckel jest téż zwolennikiem atomizmu w swojéj psychologii komórek. Wedle Jana Izoulet jednostka jest niczém, dopiéro w związku z innemi nabiera znaczenia, połączenia atomów wytwarzają ciała.

Ostatnia to forma, jaką przybrała na siebie filozofia atomistyczna w dziejowym swoim rozwoju. Zaznaczyliśmy trzy jéj charakterystyczne kierunki: pierwszy Demokryta przyznaje ważne stanowisko atomom, jako pierwiastkom wszechbytu, podporządkowuje im siłę, ruch; drugi monoteistyczny odnosi wszystko do Boga, prawo ruchu rządzi w świecie, materya jest tylko zewnętrznym przejawem ducha. Trzeci kierunek od Newtona i Leibnitza przyznaje atomom siłę, czucie, myśl nawet. Dzisiejsza chemia dąży do poznania praw okréślających związki atomów, do uchwycenia stosunków i proporcyi, wedle których łączą się cząsteczki materyi.

Hypotezę atomów odnajdujemy we wszystkich epokach historyi, na niéj opierają się uczeni i myśliciele pragnący naukowo objaśnić zagadnienie świata.

Gdzież szukać jéj wytłómaczenia, jeżeli nie w naturze ludzkiego umysłu zawsze dążącego do jedności, usiłującego jedném prawem, jednym pierwiastkiem, jedną zasadą wyjaśnić całą nieskończoną rozmaitość zjawisk wszechświata.

Atomizm naukowy dni naszych opiéra się na teoryi Daltona, rozwiniętéj i uzupełnionéj przez Avogadra w początkach XIX stulecia. Pojęcia chemików różnią się od pojęć filozofów, atom nie jest już cząstką materyi jednolitą, niezróżniczkowaną, ale najmniejszą ilością danego pierwiastku zdolnego do reakcyi chemicznych, t. j. do połączenia się z jedną lub kilkoma cząstkami innego pierwiastku. Atom chemiczny jest pojęciem względném, jego wartość okréślamy porównywając go z wodorem przyjętym za jednostkę. Każdemu pierwiastkowi odpowiada właściwy mu rodzaj atomów, tylko atomy jednego pierwiastku są jednakowe.

Atomizm Daltona uznaje różnorodność ciał, rozróżnia około 70-ciu pierwiastków, które przy pomocy żadnego ze znanych nam środków rozłożyć się nie dają, toż samo jednak prawo ściśle określonych stosunków rządzi połączeniami wszystkich pierwiastków składających wszechświat. Uczeni dzisiejsi dążą do zmniejszenia liczby

ilości pierwiastków, po uznaniu jedności sił w przyrodzie pragną ustanowić jedność materyi. Jako przykład służyć tutaj może hypoteza Prout'a. Ciekawą również jest teorya Spencera i Crookes'a, przypuszczają oni, że atomy chemiczne wytworzone zostały z atomów fizycznych drogą ewolucyi, czyli stopniowego rozwoju.

Dzisiaj istniejące pierwiastki wytworzyły się zwolna podczas olbrzymich epok poprzedzających znane nam okresy geologiczne; na początku istniała materya bezkształtna, z któréj dopiéro drogą stopniowych oziębień powstawały pierwiastki.

Zdarza się często, że ciała złożone z tychże samych pierwiastków, połączonych w jednakich proporcyach, odmienne wszakże wykazują własności, tłómaczą zjawisko to różném ugrupowaniem się atomów w molekułach. Powyższe przypuszczenie pchnęło chemię organiczną na drogę ciekawych syntez. Znakomity uczony Mendelejeff przystosowuje prawo Newtona do objaśnienia budowy molekularnéj ciał, rozwój pierwiastków chemicznych przedstawia, wedle niego, pewne podobieństwa z rozwojem ciał niebieskich.

Znany chemik Berthelot pojmuje dynamicznie materyę, uznaje teoryę wirów, stałe ośrodki sił, które za rodzaj atomów uważane być mogą. Na wzmiankę również zasługuje hypoteza Thomsona który opiérając się na badaniach Helmholtza nad ruchami płynów, pojmuje atom w postaci wiru, poruszającego się punktu. Przypomina nam to teoryę Boskowicza. Thomson pojęcie masy zastępuje pojęciem siły, energii.

Teorya atomistyczna uznaną jest w nowoczesnéj chemii, na téj to hypotetycznéj podstawie wznoszą uczeni budowę wiedzy, zdobytéj drogą długich a mozolnych doświadczeń. W ostatnich czasach zachwiać nią usiłował profesor Ostwald i atomizm zastąpić dynamicznem pojęciem materyi, teorya jego dotąd mało ma zwolenników.

Kończąc przegląd ważniejszych faz i kierunków, przez jakie przechodziła filozofia atomistyczna w dziejowym swoim rozwoju, pozostaje nam teraz ocenić krytycznie pojęcia atomu i monady, określić ich wzajemny do siebie stosunek, przedstawić jak stopniowo atomizm pierwotny przeobrażał się w monadyzm metafizyczny, przystosowując do doktryn spirytualistycznych. Wiedza przyrodnicza idealizuje się za dni naszych i dąży do usunięcia materyi, masy, i zastąpienia jéj energią, siłą.

Pozornie atomizm zdaje się służyć materyalistycznemu pojęciu świata, w istocie jednak niszczy on wszelką pozytywną materyę. Fizycy i chemicy coraz lepiéj poznają naturę molekuł, a coraz mniéj atomów, te ostatnie stają się coraz bardziéj nieuchwytnemi w miarę, jak stosujemy do nich ostrze analizy krytycznéj. Materya to wielka niewiadoma.... Helmholtz, jeden z głównych współpracowników teoryi o zachowaniu energii, pojmuje materyę na sposób Arystotelesa. Oto jego własne słowa: „Nie znamy istoty materyi, chwytamy jéj siły i zewnętrzne przejawy".

Natura określić usiłuje wzajemne stosunki zjawisk, stwarza pojęcia czynników, jak np. atomy, dla łatwiejszego zrozumienia gry różnorodnych przejawów tworzących wszechświat, nie może jednak, nie powinna owych hypotez podawać za pewniki naukowe.

Określenie wzajemnego stosunku przedmiotu do wspólnego podmiotu staje tutaj przed nami, i widzimy, że zagadka natury, którą filozofia atomistyczna rozwiązać usiłowała, przechodzi w zagadnienie poznania. Ruch atomów okazał się niezdolnym do wyjaśnienia nam świata psychicznych zjawisk, głębsze wniknięcie w istotę materyalizmu wykazuje jasno jego braki, jego niedostateczność i jednostronność. Już Protagoras, sofista grecki, wypowiedział owo sławne zdanie: „że człowiek jest miarą rzeczy", a od chwili téj subjektywne, podmiotowe pojęcie świata walczy przeciwko czysto przedmiotowym, objektywnym poglądom. We wszystkich epokach dziejów myśli ludzkiéj występuje twierdzenie, że byt rzeczywisty niedostępny jest dla myśli, nie podpada pod zmysły człowieka, sięgać nie możemy po za stany świadomości naszéj, a ten świat zewnętrzny, świat zjawisk to mgliste tylko, niedokładne odbicie innego świata, rzeczywistości bezwzględnéj. Krytycyzm Kanta do téj pory oddziaływa na każdego, ktoby pokusił się o rozwiązanie powyższego zagadnienia. Kant to za punkt wyjścia całéj naszéj wiedzy i filozofii uznał myślący podmiot i postawił hypotezę, „że pojęcia nasze nie tworzą się na skutek wrażeń, jakich dostarcza świat zewnętrzny, ale przeciwnie my świat ten ukształtowujemy wedle naszych umysłowych kategoryi.

I czémże jest więc ów atom, jednostka bytu, cóż zeń pozostanie, skoro rozpatrzymy krytycznie istotę jego i własności? Traci swój byt bezwzględny, swój przedmiotowy charakter; atom podobnie jak wiedza cała, czémże jest innéм jeżeli nie dziełem myśli człowieka, owocem potężnych wysiłków ducha, podjętych dla rozwiązania zagadki bytu, zgłębienia istoty świata. Atom to pojęcie umysłowe, to

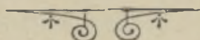
hypoteza, zapomocą któréj łatwiéj zdajemy sobie sprawę z otaczających nas zjawisk.

Czy atom, czy wogóle świat nas otaczający są czémś rzeczywistém, czy mają byt swój własny, bezwzględny, niezależny od pojęć naszych, ludzkich, i własności, jakie im przypisujemy? Oto zagadnienie przechodzące szczupły zakres naszego poznania. Niezdolni jesteśmy wyjść po za ciasne koło stanów naszéj świadomości, byt przedmiotowy niedostępny jest dla naszego umysłu, nie możemy wznieść się po nad ten świat wiecznie zmiennych zjawisk, nie znajdujemy punktu stałego w ustawicznym ruchu, w przeobrażeniach nieskończonych, wśród których zacierają się granice między przedmiotowym a podmiotowym bytem. Saméj istoty rzeczy nie pojmujemy, i tylko myśl człowieka, ta myśl, z któréj on sam sobie nie umie zdać sprawy, od wieków miota się rozpaczliwie wśród otaczających ją ciemności, od wieków stawia jedne i też same zagadnienia bez nadziei, aby kiedykolwiek rozwiązać je mogła w sposób ostateczny i bezwzględny.

Helena Witkowska.



Szyk, sport i moda.



I.

Ekonomiści niejednokrotnie stawiali sobie pytanie, czy analiza potrzeb człowieka, jakotéż konsumcya bogactw, która będąc środkiem do zaspokojenia tych potrzeb, jest zarazem celem i regulatorem produkcyi—stanowią odłam ekonomii politycznéj i czy wchodzą w zakres téj nauki. Wahano się długo z rozstrzygnięciem téj kwestyi, przeczono istnieniu właściwéj teoryi konsumcyi bogactw, utrzymując że zjawiska społeczne, z których się ona składa, podlegają nie tyle stałym prawom natury, ile raczéj samowoli i kaprysowi człowieka. Jedni twierdzili, że zjawiska konsumcyi wchodzą w skład produkcyi i konsumcyi bogactw, inni zaliczali je do etyki i hygieny. Ta długotrwała sprzeczność zdań była przyczyną, że konsumcya bogactw odsuniętą została w klasyfikacyi zjawisk ekonomicznych na ostatni plan, że przypisywano jéj zaledwie doniosłość drugorzędną, to téż była ona zwykle lekceważoną, badaną niedokładnie, lub téż zupełnie pomijaną.

Zwłaszcza gdy przychodzi rozpatrywać ważną a niezmiernie złożoną kwestyę konsumcyi nieprodukcyjnéj, objawiają się najsprzeczniejsze sądy i zapatrywania nawet wśród ludzi nawykłych do rozumowania ścisłego. Sztuczne potrzeby oraz konsumcya fałszywych bogactw i fałszywych usług, będących ich zewnętrznym, wido-

mym objawem, są węzłem łączącym życie duchowe jednostek z ich życiem ekonomiczném. Kwestya zbytku daleką jest jeszcze od ostatecznego wyjaśnienia i rozstrzygnięcia przez naukę, dla większości jest ona dotychczas—sporną i pozostaje w zawieszeniu, co się zaś tyczy konsumcyi publicznéj, czyli wydatków władz państwowych, to opinia ogółu o niéj mieści w sobie niezliczoną ilość fałszywych pojęć i nieprzepartych przesądów.

Słyszy się często zdanie, iż niepodobna jest dać wyrozumowanego i naukowo ścisłego określenia potrzeby rzeczywistéj, lub potrzeby sztucznéj, potrzeba—powiadają nam—jest źródłem wrażeń podmiotowych i czysto indywidualnych, pojęcie potrzeby musi być względne, mgliste i niestałe, a to, co przez jednych słusznie jest uważane za rzecz niezbędnéj i niezaprzeczonéj konieczności, może łatwo okazać się dla innych błahostką lub zbytkiem.

Nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy mają te same potrzeby, bywają one rozmaitéj skali, wartości i siły, zależą ściśle od organizacyi fizycznéj i umysłowéj człowieka, różnią się wielce względnie do jednostki i z tego powodu ogólne i stanowcze określenie potrzeby, czy to rzeczywistéj, czy sztucznéj, okazuje się niemożliwém, pomimo to zdają się jednak istniéć dla potrzeb każdéj jednostki oddzielnie wziętéj granice łatwo dające się zakréślić. Kultura umysłowa początkowo granice te rozszerza, wiadomo, że ze wzrostem cywilizacyi łatwość zaspakajania potrzeb wzrasta, łatwość ta nie stwarza jednak potrzeb, ale je jedynie ujawnia, przychodzi chwila, w któréj wzrost potrzeb jednostki dochodzi kulminacyjnego swego punktu, po za którym w miarę dalszego umysłowego jéj rozwoju granice jéj potrzeb się zacieśniają, ilość ich się zmniejsza. To téż przekonanie o możliwości wzrostu potrzeb człowieka do nieskończoności, mającego jako, by towarzyszyć postępowi i być tegoż nieodłączną właściwością i charekterystyczną cechą, wydaje nam się bezzasadne i sprzeczne z rzeczywistością, wszak ogólnie wiadomo, że ludzie bardzo wysokiéj cywilizacyi mają zwykle mało osobistych potrzeb.

Od pewnego czasu usiłują nas przekonać, że człowiek współczesny jest istotą niezmiernie subtelną i złożoną; powieściopisarze ostatniéj doby ukazują nam go, jako obdarzonego niesłychaném bogactwem i różnorodnością uczuć, nadzwyczajną wrażliwością, nieograniczoną zdolnością rozkoszy i cierpienia, dręczonego niepokojem duszy, niejasnemi i niepochwytnemi pragnieniami, co go czyni bardzo interesującym przedmiotem obserwacyi i analizy. Gdyby tak w istocie było, wszystkie owe cechy współczesnego człowieka zawierałyby w zarodku mnóstwo nowych potrzeb, których zaspokojenie

skazywałoby nieszczęsną ludzkość na wieczną gonitwę za nowemi źródłami użycia.

W rzeczywistości człowiek normalny jest istotą prostą i mało skomplikowaną, jego życie duchowe pozornie tylko jest różnorodne i złożone, podlega ono określonéj liczbie pobudek naturalnych, których źródła z łatwością dają się odszukać i zbadać. Jeżeli wyłączymy wypadki noszące na sobie cechy patologiczne, przekonamy się, że rzeczywiste potrzeby człowieka są ściśle ograniczone prawami naturalnemi; gdy przekraczają granice z natury im nakréślone, stają się w jednostkach, których zdolności inhibicyjne, hamujące są osłabione lub zatracone, potrzebami sztucznemi, dziwactwami, nałogami, wytworami podnieconéj wyobraźni, która okazuje się silniejszą od rozsądku, rządzi nim i zwycięża go, zamiast być mu posłuszną. Oto są właśnie owe potrzeby, które nazwano potrzebami sztucznemi, bogactwom zaś, które służą do ich zaspokojenia, Emil de Laveleye nadał nazwę fałszywych bogactw „*fausses richesses*".

Potrzeby człowieka są ograniczone fizyczną i duchową jego organizacyą, mylą się ci, którzy sądzą, że potrzeby umysłu ludzkiego nie znają hamulców ani wędzideł, wzrastać mogą do nieskończoności, nie potrzebują się rachować z właściwościami i siłami organizmu ludzkiego i nie podlegają prawom natury; to téż znalezienie pewnych wskazówek dla odróżniania potrzeb prawdziwych od potrzeb sztucznych jest kwestyą pierwszorzędnego znaczenia; sądzimy, że zdobycze nauki i środki jakiemi współczesna wiedza rozporządza wystarczają, aby określić potrzeby ludzkie i ocenić właściwą ich wartość.

Istnieją dwie różne kategorye potrzeb—fizycznych i duchowych; zarówno dla ciała jak i dla umysłu istnieją naturalne warunki życia i rozwoju; nauką bada je i określa, a tém samém określa i potrzeby, które warunkom tym odpowiadają i których są objawem; potrzeby te bowiem regulują funkcye życiowe. Nie wiemy jakiemi mogą być potrzeby człowieka przyszłości, gdyż zakryta jest ona przed nami i nauka jéj nie odgaduje, ale znajomość fizycznego i duchowego ustroju człowieka dzisiejszego wchodzi w jéj zakres i do niéj należy; warunki normalnych czynności jego władz i organów są przedmiotem dochodzenia naukowego, może więc ono nam powiedzieć, co jest dla człowieka pożyteczne, a co szkodliwe, i odróżnić potrzebę od zbytku. Co się tyczy fałszywych bogactw, to istnieje praktyczny sposób poznania ich z łatwością, mogą one być albo bezużyteczne, albo wprost szkodliwe. W obydwóch wypadkach społeczeństwo może zyskać na ich zniszczeniu; konsumując zaś i przyswa-

jając sobie bogactwa szkodliwe, naraża się na szkody niezawodne. Trzeba więc dla sprawdzenia użyteczności danego bogactwa dojść do przekonania, czy zniszczenie go przed użyciem zubożyłoby rzeczywiście społeczeństwo, naraziłoby je na istotne straty niezaspokojonych potrzeb, czy też przeciwnie stałoby się dlań korzyścią i dobrodziejstwem.

Społeczeństwa cywilizowane mają tak wiele sztucznych potrzeb, że całe gałęzie przemysłu są wyłącznie przeznaczone na produkcyę mającą na celu ich zaspokojenie. Żal patrzéć, jak olbrzymie ilości bogactw naturalnych, kapitału i pracy giną corocznie tą drogą w otchłaniach konsumcyi nieprodukcyjnéj, kiedy tylu ludziom zbywa na niezbędnych do życia przedmiotach. Wymowny obraz tego smutnego stanu rzeczy dał Novicow w pięknéj swéj pracy: *Les gaspillages es sociétés modernes*. W dalszym ciągu niniejszego szkicu chcemy powiedziéć kilka słów o trzech źródłach sztucznych potrzeb, które grasują i szerzą spustoszenie zwłaszcza w zamożniejszych warstwach społecznych, mianowicie o szyku, o sporcie i o modzie.

II.

Szyk nie łatwo daje się określić, nawet nazwy, które nosi, są krótkotrwałe i zmieniają się wraz z sezonami; od kilku miesięcy, od ofiarowania przez królowę hiszpańską prezydentowi orderu Złotego Runa „szyk" nazywa się w Paryżu „*toison d'or*". Wogóle szyk jest pochodzenia świeżego, jest produktem nowoczesnym, przedstawia wytworność poniżoną, niezgrabne i śmieszne naśladownictwo prawdziwéj dystynkcyi prawdziwego „wyróżnienia", które samo przez się nie jest niczém inném, jak tylko najwyższą harmonią w prostocie. Pojawienie się szyku przypada równocześnie z rozwojem wielkiego przemysłu, ze wzrostem bogactw, z demokratyzacyą własności i rozpowszechnieniem się dobrobytu. Tym to wielkim i cennym zdobyczom ekonomicznym winni jesteśmy smutne i przykre widowisko, jakie nam dają ludzie, którzy są przekonani, że z łaski posiadanego majątku lub jego pozorów mają prawo i obowiązek znieważać dobry smak i prostotę przez rozpaczliwe a bezowocne wysiłki okazania się dystyngowanymi.

A jednak łatwo dojść do wniosku, że prawdziwa, naturalna wytworność nie może być ani wypracowaną, ani naśladowaną i wymuszoną, że nie dostaje się człowiekowi zzewnątrz, przez innych, że

się nie zdobywa ani bywaniem w wielkim świecie, ani przestrzeganiem przepisów towarzyskich, salonowych, i wskazówek czerpanych z dzienników mód; nie można jéj kupić w sklepie. Mieszka ona w człowieku i stanowi nierozdzielną cząstkę duchowéj jego istoty, od któréj nie można jéj odłączyć dla odstąpienia lub darowania komu innemu. Błyszczy ona skromném i łagodném światłem, przebija się w najdrobniejszych ruchach i w słowach najmniéj znaczących, towarzyszy człowiekowi zawsze i wszędzie, bo ma swe źródło w jego duchu.

Wytworność naturalna jest zbyt złożoną, pierwiastki z których się składa są zbyt liczne i zbyt subtelne, by przeciąg jednego ludzkiego życia mógł wystarczyć do wytworzenia jéj i ujawnienia; jest ona kwiatem i zewnętrznym przejawem doskonałéj harmonii duszy i występuje zwykle, jako wytwór kultury moralnéj całego szeregu pokoleń, z których każde dołącza swój dorobek do otrzymanego dziedzictwa. Zdarza się czasem, że jednostki doskonalsze zdołają dzięki potędze swego umysłu wznieść się same przez się aż do szczytów moralnego rozwoju, jakie człowiek posiąść może, są to jednak rzadkie wyjątki. Harmonijny rozwój wszystkich zdolności duchowych jest powolny, wymaga dłuższego czasu aniżeli trwanie jednego życia ludzkiego, wytworność będąca zewnętrznym jego objawem przenosi się wraz z innemi cechami drogą dziedziczności, staje się wrodzoną, nieświadomą. Wynika z tego jednak, że pod wpływem zewnętrznych przyczyn oddziela się ona niekiedy od swych źródeł, i wytworności ciała nie towarzyszy wytworność duszy, objawia się ona wtedy wyłącznie odruchowo, nie opiéra się na żadnych naturalnych podstawach i nie trwa długo, niemniéj można niekiedy spotkać ciała wytworne, zamieszkałe przez dusze nizkie i nikczemne.

Dla użytku więc tych, którzy jéj ani nie odziedziczyli, ani samoistnie zdobyć nie zdołali, została wynalezioną sztuczna, fałszywa wytworność—szyk. Zamiast zadawalniać się prostotą, która, jakkolwiek dostępna dla wszystkich, posiada jednak tyle uroku, wdzięku i szlachetności, przeważna większość ludzi wszelkich stanów pozuje, gra jakąś rolę, przybiera fałszywe pozory i stara się przedstawić inaczéj niż jest w rzeczywistości, czego najlepszym dowodem, że określenie „naturalny" należy do rzadziéj udzielanych pochwał. Aby dopiąć swego celu, kupują szykowcy zwykle bardzo drogo to, co im się wydaje być wytworném i eleganckiém, a co jest tylko zbytkownem, wydają znaczne sumy na ukrycie swych śmieszności i cech

pospolitości, a zwłaszcza na zadowolnienie miłości własnéj, próżności i pychy.

Charakterystycznym tego rodzaju przykładem są owi dorobkowicze amerykańscy, którzy wydają krociowéj kosztowności bale, a których opisuje Bourget w swych „*Voyageuses*".

„Pani Harris przyjęła mnie w pewnego rodzaju buduarze oszklonym, wychodzącym na morze, który od pierwszego rzutu oka przedstawiał mi obraz kilku salonów w Cannes, które najbardziéj lubiłem; był to jednak obraz sparodyowany wskutek nadmiaru naśladownictwa, karykaturalny skutkiem przesady. Zbyt wiele sztychów i obrazów obciążało zbyt bogatą materyę, pokrywającą ściany, za wiele kwiatów i za wielkich wysuwało się z wazonów zbyt kosztownych, za wiele sprzęcików ze srebra angielskiego błyszczało na stołach między zbyt wielu fotografiami książąt i księżniczek, a wszystkie z dedykacyami. A i ona sama, pani Harris, była niemal zbyt piękna, z ustami zbyt czerwonemi, z zębami zbyt lśniącemi, z rączkami zbyt gładkiemi, pod nadmiarem pierścionków, a miała na sobie suknię letnią do tego stopnia modną, że wydawała się kobietą—afiszem, lalką ożywioną, którą jakiś genialny kostiumer przybrał i wystroił na eksport zagraniczny".

Oto jakim sposobem szyk oraz wszystko co w bliższym lub dalszym pozostaje z nim związku znajduje miejsce pomiędzy sztucznemi potrzebami, wymaga produkcyi fałszywych bogactw i fałszywych usług, a kwestye te, pozornie błahe i drobne, w rzeczywistości posiadają doniosłe znaczenie ekonomiczne. Celem szyku jest zwracać na siebie uwagę, być widocznym, robić wrażenie, być podziwianym i wzbudzać zazdrość, inaczéj cel ten byłby chybionym. Szyk jest liberyą elegancyi przeznaczoną do ukrywania natury wtedy, kiedy człowiek wstydzi się pokazać takim, jakim jest, a chce za jaką bądź cenę imponować innym. Szyk może być na różne ceny, ale wielki szyk, który najlepiéj maskuje naturę, wymaga znacznych ofiar pieniężnych, kosztuje drogo, zawsze za drogo, gdyż nie przynosi nic wzamian, do niczego nie służy, chyba do paczenia dobrego smaku, do szerzenia fałszu, do rozbudzania przez bezmyślny, pyszny i bezczelny zbytek próżności jednych, zazdrości i nienawiści drugich. Prawdziwa wytworność nic nie kosztuje, nie potrzebuje aby się uwidocznić, ani zbytku, ani sztuki, gdyż jest prostotą samą; może się zgodzić z każdym budżetem, zastosować do każdego położenia i widziano ją nieraz promieniejącą w nieszczęściu, w nędzy, w głębi ciemnych więzień, wśród katuszy ciała i duszy, a nawet w obliczu saméj śmierci.

III.

Wiemy dobrze wszyscy, że dzieci bawić się muszą i powinny, gdyż zabawa wypływa u nich z potrzeby naturalnéj i normalnéj; dobrze obmyślana i umiejętnie kierowana zabawa przyczynia się znacznie do umysłowego i fizycznego rozwoju dzieci. To téż gry wszelkiego rodzaju, zwłaszcza na świeżém powietrzu, uważane są słusznie w wychowaniu za czynnik pierwszorzędnéj doniosłości. Zabawki jednak nie powinny kosztować drogo, a doświadczenie poucza, że taniość jest głównym warunkiem ich wartości i powodzenia, zauważono bowiem, że zabawki proste i tanie podobają się dzieciom więcéj aniżeli drogie i skomplikowane, te bowiem nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, wymagają znajomości obchodzenia się z niemi, łatwo się psują i stają się wkrótce niezdatnemi do użytku. Zresztą po co wydawać niepotrzebnie pieniądze i przyzwyczajać dzieci do zbytków, gdy każdą zabawkę drogą można z łatwością zastąpić inną tańszą, która spełni swoje zadanie równie dobrze, lub nawet lepiéj, i dostarczy tyle rozrywki i korzyści, ile się od niéj wymaga.

To, cośmy powiedzieli powyżéj, odnośnie do zabaw dziecinnych, i wnioski, jakie stąd wyciągnąć można, dają się z równą słusznością zastosować do sportu, czyli do różnego rodzaju gier i zabaw przeznaczonych dla rozrywki osób dorosłych. Ćwiczenia ciała pozostające w granicach hygieny, ruch, nadanie myśli dla wypoczynku nowego jakiegoś kierunku są niezaprzeczenie potrzebami prawdziwemi, których zaspokojenie dostarcza przyjemności zdrowych, normalnych, wpływa w korzystny sposób na prawidłowe funkcyonowanie organizmu ludzkiego. Pomimo to jednak sport powinien zajmować w społeczeństwie skromne miejsce, które mu przystoi, jest to bowiem tylko rozrywka, zabawa i nic więcéj, nie należy zatém znaczenia jego potęgować zbytecznie, lecz starać się oceniać go podług rzeczywistéj jego wartości; innemi słowy, ofiary pieniężne, jakich wymaga, powinny być zastosowane do usług, których od niego można oczekiwać, i usługom tym odpowiadać.

Otóż dzieje się wprost przeciwnie, ludzie mieli i mają zawsze skłonności do przypisywania wszystkiemu, co ma z zabawą związek, przesadzonego znaczenia, jest to punkt drażliwy, na którym nie znoszą krytyki, uważając, że jako dorośli mają tém samém zawsze słuszność, a jednak pod tym względem są tylko dużemi dziećmi.

Doszedłszy do pewnego wieku, człowiek już się nie bawi, lecz oddaje sportowi, poświęca mu się, sport staje się zaję-

ciem, pracą, specyalnością poważniejszą i więcéj szanowaną, aniżeli przemysł, handel, lub inne zawody użyteczne. Jest on instytucyą społeczną o charakterze międzynarodowym, ma swoje zwyczaje, swoje prawa, swoją własną etykę, swój język, swoje pisma, całą hierarchię dygnitarzy i uroczystości, które nabierają znaczenia wypadków dziejowych; zgromadzenia prawodawcze w Anglii zawieszają swe posiedzenia w dniu wyścigów *Derby*. Dodajmy, że sport, zwłaszcza wyścigowy, stał się wszędzie nieodłączną właściwością i wyróżniającą oznaką szyku, przypomina turnieje średniowieczne, jest zabawą czasów rycerskich, w tém też prawdopodobnie należy szukać przyczyny wszechwładnego wpływu, jaki sport koński wywiera okrywając śmiesznością tych swoich adeptów, którzy ani duchem, ani gustem nie mają nic wspólnego z rycerskością.

Sport był zawsze wprowadzany przez wyższe klasy społeczne, w naszéj epoce uprawiają go przedewszystkiém ludzie bogaci, a ponieważ szyk wymaga, aby uchodzić za bogatego, zatém trzeba zostać sportsmanem, jeżeli się chce uchodzić za człowieka wyższego towarzystwa. Sport, dzięki swemu charakterowi kosmopolitycznemu i korporacyjnemu, otwiera wszystkie podwoje, zaciera różnice stanu, wychowania, pochodzenia, kultury moralnéj i umysłowéj, jest hasłem, z którego nieraz korzystają rycerze przemysłu, polem do zdzierstwa i wszelkiego rodzaju nadużyć, gruntem neutralnym, miejscem publiczném, gdzie wszyscy się pchają i potrącają, nie znając się wzajemnie. Prócz tego, tytuł sportsmana jest w oczach tłumu zaszczytem, godnością budzącą podziw, zazdrość, a zarazem szacunek.

Uważamy za zbyteczne zatrzymywać się nad sportem, mającym jakikolwiek związek z hazardem, nie jest to już właściwie sport, lecz objaw antispołecznych instynktów związanych z hazardem. Wszelki postęp w życiu ekonomiczném i społeczném zasadza się właśnie na wystrzeganiu się ryzyka na usuwaniu go i zmniejszaniu, dążeniem człowieka cywilizowanego jest unikanie niespodzianek, hazardu, ryzyka, powiedziano nawet, że dążenie to jest jedną z najbardziéj charakterystycznych cech postępu, to też popęd i gust do hazardu należy bezwarunkowo uważać za instynkt pierwotny i niemoralny. Z chwilą, gdy sport wykracza po za swoje granice naturalne, gdy przestaje być rozrywką i staje się namiętnością pochłaniającą wszystkie siły i zdolności człowieka, zasługuje wtedy na stanowczą naganę i musi być zaliczony do nadużyć i występków. Sportsman z zawodu staje się graczem, który ma złudzenie, że się bawi, zabawę uważa za swoje rzemiosło, i pochłania go ona zupełnie.

Nie mówiąc już o zaburzeniach w czynnościach organicznych i psychicznych, o zboczeniach umysłowych, które podobny sposób życia musi z konieczności sprowadzać, to po za tém olśniewający i odurzający widok zbytku, sztuczna i pobudzająca atmosfera próżniaczego życia, uganianie się za sposobnościami do zaspokojenia ciągłéj potrzeby nowych rozrywek i przyjemności z pogwałceniem wszelkich zasad hygieny, oszczędności i zdrowego rozsądku — wszystko to wywiera zgubny i demoralizujący wpływ nietylko na osobę sporstmana i jego bezpośrednie otoczenie, ale przenika wokoło do coraz dalszych i coraz uboższych warstw społecznych.

Sport, jakim go dzisiaj widzimy, pełen przesady, śmieszności i zboczeń, nie odpowiada żadnéj potrzebie natury ludzkiéj, że wspomnimy tylko o nowym rodzaju sportu — zabawie w filantropię, który ma tak wielkie powodzenie, że użyto go za narzędzie reklamy dla rozmaitych firm, sklepów etc., jakkolwiek jako reklama posiada niezaprzeczoną wyższość nad afiszami rozlepianemi na kioskach i parkanach, albo nad dziwolągami chodzącemi po ulicach. Większa jednak część bogactw, jaką corocznie sport pochłania w społeczeństwach cywilizowanych, nie przynosi wzamian nic, prócz wrażeń brutalnych i niezdrowych rozbudzających złe instynkta, to téż bogactwa te nietylko bywają całkowicie dla człowieka stracone, lecz— użyte w sposób przynoszący mu szkodę.

Co się tyczy zabaw rozsądnych, prostych, zdrowych, które są wypoczynkiem dla umysłu i wzmacniają ciało, to te kosztują niewiele i wymagają bardzo nieznacznych ofiar. Zrobiono téż pod tym względem charakterystyczne i ciekawe spostrzeżenie, mianowicie że wartość hygieniczna każdego sportu, to jest użyteczność i przyjemność jakiéj dostarcza, znajduje się prawie zawsze w stosunku odwrotnym do wysokości jego kosztu, mniéj więcéj tak samo, jak się rzecz ma z zabawkami dziecinnemi.

Nie można bezwątpienia nic zarzucić sportowi używanemu jako środek wychowania fizycznego, oddaje on tam rzeczywiście usługi, dla przekonania się o tém wystarcza zwrócić uwagę na znakomite rezultaty sportu u młodzieży angielskiéj, chociaż i w Anglii zaczynają się skarżyć na przesadę w tym kierunku. Nie mniéj téż dla dorosłych jest ruch i ćwiczenie muskułów nieodzownym warunkiem normalnego rozwoju organizmu i utrzymania tak pożądanéj równowagi pomiędzy funkcyami fizycznemi i czynnościami umysłu. Sport musi koniecznie kosztować i pociągać za sobą zużycie pewnéj ilości bogactw, ale ilość ta nie powinna przekraczać granicy zakréś-

lonéj potrzebą rozrywki zdrowéj i będącéj prawdziwą zabawą; tymczasem w obecnéj chwili sport stał się w wielu miejscach plagą społeczną, a gdy jest połączony z hazardem,—przyczyną nieobliczonych strat i cierpień. Ujemne skutki takiego sportu widoczne są w ruinie majątkowéj wielu jednostek, w zaspakajaniu potrzeb sztucznych, w wytwarzaniu przyjemności urojonych i poniżających i w rozbudzaniu instynktów przeciwnych naturze życia społecznego.

IV.

Pierwiastki, z jakich się składa moda, są zbyt liczne i zbyt niepochwytne, aby można było z zupełną ścisłością i dokładnością wykazać jéj źródła. Poczucie piękna, ujawniające się w potrzebie przyozdabiania się, odgrywa niezaprzeczenie bardzo ważną rolę w modach odnoszących się do ubrania, w wielu wypadkach znika ono jednak całkowicie i tém samém nie wystarcza do wytłómaczenia zadziwiającego tego zjawiska pod wszystkiemi postaciami, jakie przybiera.

Moda opiera się, o ile nam się zdaje, przedewszystkiém na wybujałéj i spaczonéj miłości własnéj, pod któréj wpływem człowiek uważa za punkt honoru, aby się nie wydać „inaczéj" jak inni, gdyż dla opinii publicznéj wyraz ten znaczy „gorzéj", trzeba więc być „tak jak wszyscy". Nie będąc ubranym podług ostatniéj mody, wygląda człowiek, jakgdyby nie wiedział co noszą, co każe przypuszczać, że stoi zanadto zdala od wielkiego świata aby znać jego zwyczaje i prawa, albo téż że ma za mało pieniędzy aby się do nich zastosować, a przecież tak jedno, jak i drugie, jest upokarzające. Do tego należy dodać instynkt naśladownictwa, popęd niewyrozumowany i bezwiedny, ale niezwykle w tłumach potężny; naśladownictwo, które nie ulega żadnéj widocznéj przyczynie, jest dążnością do niewyróżniania się z pośród swego otoczenia, zapewne dla lepszego osobistego bezpieczeństwa, sądzimy téż, że moda ma wiele wspólności ze zjawiskiem dobrze znaném w naukach przyrodniczych, pod nazwą m i m e t y z m u.

Moda nie stosuje się jedynie do ubrania i do drobiazgów będących z niém w bezpośrednim związku, odnosi się ona jeszcze do mnóstwa przedmiotów, zwyczajów i form towarzyskich; zmysł upiększania i sztuka przypodobania się pojawiają się tu tylko przygodnie; inne pierwiastki wypływające przeważnie z miłości własnéj,

w połączeniu lub działające oddzielnie, wspomagane i wzmacniane przez wyobraźnię, wytwarzają ów nieprzeparty prąd, któremu każdy poddać się musi i którego kaprysy znosić trzeba pod grozą narażania się w życiu codziennem na niezwalczone trudności i udręczenia bez końca. Nietylko fałszywe bogactwa i sztuczne przyjemności ulegają modzie, prawdziwe bogactwa są jéj w wielu wypadkach posłuszne, dla tego téż nikt nie jest w stanie zupełnie się od niéj uwolnić.

Do bezpośrednich skutków mody należy zaliczyć przedewszystkiém ciągłą gorączkę zmiany, nieustanną potrzebę nowości i gonitwę za tém, czego jeszcze nie było, czego jeszcze nie widziano, u tych, którzy jéj hołdują, u tych zaś, którzy jako wyrocznie i sędziowie szyku o modzie stanowią i innym ją narzucają, wysiłki wyobraźni co do coraz nowych kombinacyi form, barw i t. p. Mało jest powag, które mogłyby się poszczycić równie nieograniczoną władzą, równie biernem i ślepém posłuszeństwem swych poddanych, jak moda, dekrety jéj rozchodzą się po całym cywilizowanym świecie, ktoby chciał się jéj sprzeciwić, tego gromi bronią straszną skazuje go na ośmieszenie, a jest to broń, przed którą jak wiadomo nic ostać się nie może. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że rządy mody ograniczają się na gałgankach i błahostkach bez znaczenia, przekonania, zasady moralne, teorye społeczne podlegają jéj także, to téż, mając to na względzie, J. Lemaître wypowiedział zdanie, że aby powstrzymać wyludnianie się Francyi, potrzebaby macierzyństwo zrobić modném, wygląda to na żart i paradoks, a jednak już raz we Francyi Rousseau swoim Emilem wprowadził macierzyństwo w modę.

Moralność potępia modę w imię swych zasad, jako wynik próżności, pychy i przywiązania do rzeczy ziemskich, ekonomia polityczna potępia ją ze względu na szkody materyalne i cierpienia, na jakie pośrednio naraża ona społeczeństwa, popychając je do konsumcyi nieprodukcyjnéj. Moda pobudza i zmusza ludzi do szybszego niszczenia bogactw, aniżeliby to miało miejsce bez jéj interwencyi, a straty materyalne, które powoduje. polegają na tém, że każe wydawać pieniądze na zbytki, na przedmioty nie zadawalniające żadnéj rzeczywistéj potrzeby, tak zwane „sezonowe", albo téż że przedmioty użyteczne, odpowiadające potrzebom racyonalnym, nie zniszczone i mogące jeszcze długo służyć, muszą być ze zmianą mody usunięte, zniszczone i zastąpione innemi, skutkiem czego utylitarna ich wartość, użyteczność, którą w sobie mieściły, a która byłaby pozwoliła ludziom jeszcze długo z nich korzystać, jest na zawsze straconą dla bogactwa krajowego. To téż J. B. Say powiada, że

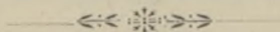
szybko następujące po sobie zmiany mody ubożą społeczeństwo nietylko o tę ilość bogactw, jaką ona konsumuje ale i o tę, któréjz użyć nie ma czasu.

Niesłuszném byłoby jednak nie odróżniać dziwactw i śmieszności mody od tego, co możnaby nazwać sztuką stroju, czyli od urzeczywistnienia za pomocą zgodnych z wymaganiami i prawami piękna środków pewnego ideału estetycznego w ubiorze. Czy jest sprawiedliwém nazywać niedorzecznością i zabawką poszukiwanie piękna w stroju? nie sądzimy aby piękno mogło być kiedykolwiek bezużyteczne albo szkodliwe, niezależnie od tego jakie będą jego objawy. Czy piękno będzie wcielone w kamień, w metal, czy téż w tkaninę, harmonia, jaka wyzwala się z dzieła sztuki i którą człowiek zmysłami odczuwa, przenika aż do jego duszy i tylko dodatni wpływ na nią wywrzéć może.

Rodzaj tkaniny, krój i dobór barw mogą przez umiejętne połączenie wytworzyć strój będący dziełem sztuki, które będzie w stanie zadowolnić potrzeby i uczucia o wiele wyższe i szlachetniejsze, aniżeli pierwotny popęd do upiększania i instynkt przypodobania się. Ale rezultat ten zdobywa się rzadko; ażeby go osiągnąć, nie wystarcza iść do sławnego krawca lub znanéj modniarki, kupić sobie szyku za pieniądze i ubrać się *a la mode de demain*,—trzeba samemu umiéć się ubrać. Dobrego smaku się nie kupuje, nie dosyć jest sprawić sobie strój piękny, trzeba miéć jeszcze poczucie harmonii, aby umiéć strój ten nosić, zastosować go do siebie, układ swój, ruchy i całą postać w zgodzie ze strojem utrzymać, ci którzy daru do tego nie mają, wyglądają zawsze jak w stroju pożyczanym. Aby tego uniknąć, należy ubierać się podług swego własnego gustu, żaden obcy wybór nie może go zastąpić; strój powinien dopełniać człowieka, powinien przestać być gałganem, a stać się ciałem; będzie wtedy cząstką tego, który go nosi, ożywi się jego życiem i tak się z nim zespoli, że nabierze jego indywidualnéj fizyognomii, będzie go odbijać i niejako charakteryzować, ujawniając odrębności, które odpowiadają rysom danego człowieka.

Umiarkowanie w smaku, czystość linii i prostota są pierwszemi warunkami piękna w stroju, to téż i na tym punkcie istnieje zupełna zgoda pomiędzy estetyką i ekonomią polityczną. Najpiękniejszy strój, jaki ludzie do téj pory wymyślili, był zarazem najprostszym i najtańszym, składał się on ze skromnéj lnianéj tuniki i z kawałka białéj wełnianéj tkaniny ułożonéj w fałdy.

W. Domański.



Rozbiory i Sprawozdania.

Aleksander Hirschberg: „Dymitr Samozwaniec“ (z ilustracyami). Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1898 r., str IX+292.

Powołanie na tron Borysa Godunowa, którego przodkowie, tatarskiego pochodzenia, nie piastowali nigdy pierwszorzędnych godności przy dworze, jakkolwiek oddawna odznaczali się wielką zamożnością, dotkliwém i upokarzającém było dla starych rodów bojarskich państwa moskiewskiego, wśród których nie brakło pretendentów nawet takich, co ród swój wiedli od Ruryka i Gedymina. Utworzyło się więc niebawem silne stronnictwo przeciwników nowéj dynastyi, dążące do pozbycia się za jakąbądź cenę „koniucha” Groźnego. Na czele spiskowców stanął gedyminowicz, Bohdan Bielski, popierany przez kilku możnowładców z rodzin tak wpływowych, jak Romanowowie (z których pochodziła pierwsza żona Groźnego, wysławiana przez latopisców Anastazya), jak Massalscy, Puszkinowie, Pleszczejewowie, Szczełkałowowie i t. d. Postanowiono wziąć się do rzeczy w sposób jedynie możliwy: bez wstępnego boju. Uderzyć wprost na człowieka, jednomyślnie niemal wybranego niedawno przez sobór ziemski, było rzeczą niebezpieczną, zawodną, ciężką. Jak się zdaje, sam Borys był pierwszym twórcą pomysłu, który odpowiednio zastosowany zgubę jego zgotował. Jest to właśnie zawiązek, ekspozycya dramatu opowiedzianego nam przez p. Al. Hirschberga.

W „Archiwum dworu Sapiehów" (t. I, str. 177—179) znajduje się list Andrzeja Sapiehy, starosty orszańskiego, datowany 15 lutego 1598 r. z Orszy; na podstawie zwiadów i doniesień z Moskwy, relacya opiewa co następuje: Borys, nie będąc jeszcze pewnym swego wyboru, powziął był zamiar wskrzeszenia Dymitra, najmłodszego syna Groźnego (z szóstéj, czy siódméj jego żony) — chłopięcia lat ośmiu zamordowanego w Ugliczu, jak wieść niesie, przez umyślnie w tym celu wysłanych siepaczy godunowskich. Dopóki żył car Fieodor Joannowicz (starszy syn Groźnego) ożeniony, z siostrą Borysa, i istniała nadzieja potomstwa, Dymitr z konieczności zawadzał... Sprzątnięto go. Ale oto Fieodor szczezł marnie, bo bezdzietnie ze świata—Dymitr, naturalnie, byłby teraz bardzo potrzebny, a to w celu, aby módz w jego imieniu daléj rządzić i rozkazywać, jak za dni chorowitego Fieodora. Owóż—pisze starosta orszański—Borys postanowił „podstawić" jednego ze swych zaufanych, który miał udawać zamordowanego Dymitra. Był to młodzieniec mniéj więcéj w wieku zabitego carewicza, a nawet miał być do niego podobny. I wydał wnet Godunow odezwę donoszącą o wstąpieniu na tron młodszego syna Groźnego, przyrodniego fieodorowego brata. Odezwa doszła aż do Smoleńska; — ale w porę jeszcze wycofano ją z obiegu,—na skutek kłótni z bojarami, czy téż może w następstwie upewnionego wyboru samego Godunowa.

Obecnie, jakoś na schyłku r. 1599 możnowładcy moskiewscy przypomnieli sobie nagle, że kto wie... a może. Przynajmniéj tak przypuszcza p. Aleksander Hirschberg — że właśnie owego godunowskiego figla spróbowano użyć przeciwko carowi Godunowowi, w widokach pozbawienia go korony, skąpanéj we krwi Dymitra. Nie mogąc jednak, czy nie umiejąc u siebie w domu wyszukać i wystawić uzdolnionego do gry partnera, Rurykowicze i Gedyminowicze odwołali się o radę i pomoc do magnatów litewskich, z którymi utrzymywali stosunki zażyłe i poufne. Trzéj Wiśniowieccy (Adam, Konstanty, Michał), Mniszchowie (prawdopodobnie), Michał Ratomski, starosta osterski, Maciéj Wojna, pisarz litewski—mniéj lub więcéj do sekretu wciągnięci zostali—czy téż tylko wciągnięci być mogli. Najcięższe, widoczne prawie poszlaki obarczają tylko Lwa Sapiehę, kanclerza litewskiego. Istotnie, nie jest-że to dziwne, że pierwsze wieści o ukazaniu się Dymitra (fałszywego, jeśli prawdziwy był zamordowany) zbiegły się akurat z poselstwem kanclerza do Moskwy pod koniec września 1600 r. ?... Młodzieniec, który następnie, po zgonie Borysa, rzeczywiście panował jako syn Groźnego — tak zwany pierwszy samozwaniec — zostawił po sobie for-

malne świadectwo, że należał do orszaku Lwa Sapiehy i że po odjeździe kanclerza pozostał w Moskwie dla oswojenia się z życiem, obyczajami, mową kraju, którego korona — mocno sam on w to wierzył—z prawa się mu należała. Umknął późniéj do Kijowa, z Kijowa do Hoszczy, z Hoszczy na dwór Wiśniowieckich,—co zaś do czerńca Griszki Otrepjewa, którego wkrótce Borys ogłosić kazał za samozwańca, był on tylko towarzyszem i przewodnikiem ucieczki Dymitra, jak nieco przedtém był pośrednikiem w porozumieniu się panów moskiewskich z panami litewskimi...

Książę naprawdę był ów młodzian z poselskiego orszaku Lwa Sapiehy, co w kilka lat potém ożenił się z wojewodzianką sandomirską Mniszchówną i zasiadł na tronie Groźnego?

Dawni historyografowie rosyjscy, Karamzin, Sołowjew,—zgodnie ze źródłami archiwalnemi i podaniami kronikarzy mniemali, że był nim pomieniony Otrepjew. Kostomarow w r. 1864, wykazawszy oczywistą niedorzeczność godunowskiéj téj hypotezy, sądził, że t. zw. samozwaniec, najprawdopodobniéj, był prawdziwym Dymitrem; cofnął jednak późniéj drugą tę połowę swych wywodów, opartych na ogromnym materyale erudycyjnym. Opuszczoną tezę podjął za dni naszych ksiądz Pierling, opiérając ją na dokumentach watykańskich, nieprzebranéj obfitości i trudnéj dziś jeszcze do odgadnienia wagi. Prof. Iłowajski w r. 1894 wystąpił ze swojém twierdzeniem, wysnutém z listu niejakiego Neri Giraldiego, który w d. 26 września 1605 r. doniósł z Norymbergi księciu toskańskiemu, że Dymitr „od dzieciństwa służył u wojewody sandomirskiego" Mniszcha; z innych źródeł wnioskuje historyk, że pochodził on z drobnéj szlachty biało- lub mało-ruskiéj, zakochał się w Marynie, a romantyczna panna podszepnęła mu projekt... znany.

Źródła, któremi p. Hirschberg posługiwał się w swéj pracy, nie rzucają wprost i bezpośrednio nowego światła na kwestyę pochodzenia samozwańca. Są to przeważnie listy i dyaryusze towarzyszów wyprawy Dymitra do Moskwy, krewnych Mniszchówny, jéj dworzan i t. p. Dużo tych świadectw, wcale dotąd nie poruszanych, nagromadziło się w zakładzie im. Ossolińskich we Lwowie i w Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Objaśniają one nie mało okoliczności spornych z okresu pobytu Samozwańca w Polsce i jego panowania; postać Dymitra i szczegóły jego działalności publicznéj (to jest od daty wystąpienia w roli pretendenta) przedstawiają się wyraźniéj, plastyczniéj w skrzyżowaném, krytyczném zestawieniu wiadomości dawniéj nabytych ze świeżemi. Tę analizę autor prowadzi równolegle z pragmatycznym, obrazowym tokiem opowiadania i dopiéro po zbu-

dowaniu całości z niéj saméj wyprowadza, zwrotem wstecznym, zagadnienie o tożsamości osoby.

Bez żadnéj, lub prawie bez żadnéj pewności faktycznéj, ale téż i bez narażenia się na sprzeczność z dotychczas zebranemi pozytywnemi świadectwami utrzymywać wolno, że samozwaniec był nieprawym synem... Stefana Batorego. Z matki? — Może teki ś. p. Pawińskiego przechowały gdzieśkolwiek, na kawałku papieru, na marginesie rachunku, na książce, na kopercie, ślad drobny, ledwo dojrzany, literę jedną, pół litery odpowiedzi na to pytanie. Prawo nie wzbrania wszak poszukiwań macierzyństwa; więc miejmy nadzieję. Jak na dziś, ograniczyć się trzeba do wątłych, chwiejnych wskazówek ojcowstwa moralnego, czyli raczéj duchowego, intelektualnego, wypływającego z przesłanek natury podmiotowéj.

Bojarowie, z Wasilem Szujskim na czele, uśmierciwszy w Kremlinie samozwańca, kazali ogłosić ludowi w kilkanaście dni późniéj, że był on nietylko tyranem, rozpustnikiem, świętokradzcą, złodziejem skarbca carskiego, ale że nadto działał w najwyższym stopniu szkodliwie dla narodu, zamierzał znieść religię prawosławną, wymordować wszystkich znakomitych ludzi ziemi moskiewskiéj, oddać Polsce Smoleńsk, Mniszchom Psków i Nowogród i t. d. Gdyby w istocie takim był Dymitr Samozwaniec, w mieszaninie téj jużby bez trudu odkryć się dało coś niecoś z Groźnego i coś niecoś z Batorego. Lecz p. Hirschberg dołożył niemało starań i trudu, aby legendę obrać z łupin wierutnego kłamstwa, popełnionego w obawie... o własne gardło. Lud lubił samozwańca. Gniewały go trochę wygrywania polaków na trąbach podczas nabożeństwa, dziwił się—ilekroć dobrze to spostrzegł—dlaczego Dymitr nie dość wprawnie się żegna i całuje obrazy świętych; ale co do reszty... Najznakomitszy wódz tych czasów, człowiek stosunkowo dość wykształcony, wojewoda Basmanów, najbliższy i najwierniejszy z przyjaciół Samozwańca,—ten co na godzinę przed zgonem swego pana odważnie i ofiarnie dał życie w jego obronie, wygadał się pewnego dnia, gdy uzurpator był jeszcze na szczycie swych powodzeń: „Chociaż — rzekł do osoby zaufanéj—nie jest on prawdziwym Dymitrem, ale trzeba go słuchać... bo umie rządzić". P. Hirschberg strzegł się panegiryzmu, a o schlebianie „jezuitom", domniemanym „fabrykantom" Samozwańca, to i posądzić go chyba niepodobna, a przecież zataić nie zdołał zdumienia, jakim sposobem parweniusz, przybłęda, awanturnik, bez wykształcenia, złożył niezbite dowody, wkrótce po objęciu władzy, szerokości poglądów, niezaprzeczonéj wyższości umysłowéj i ambicyi wyższéj, szlachetnéj, popychającéj go do czynów śmiałych, do oddania

rzeczywistych usług swojemu krajowi. Samozwaniec starał się ulepszyć administracyę, zapewnić słuszny wymiar sprawiedliwości, ulżyć doli warstw niższych, podnieść warunki bytu ekonomicznego, zaszczepić oświatę; marzył o zakładaniu szkół, o wysyłaniu za granicę ludzi zdolnych na naukę. „Chciał bojarom dać nieco wolności i akademików z obcych ziem, a mianowicie z Francyi przywołać"—zapewnia jeden z dyaryuszów współczesnych (Niemojewskiego, z którym Samozwaniec częste i chętne rozmowy zaprowadzał). Zanadto był ludzkim i dostępnym—utrzymuje dyaryusz drugi (Marcina Stadnickiego, ochmistrza Maryny),—a to właśnie najbardziéj bojarów raziło, iż Dymitr z podwładnymi swymi „poufale konwersował, onym bezpiecznie mówić pozwalał i za panie bracie w żartach poczynać z sobą nie bronił". Odznaczał się niepospolitą zręcznością, był bardzo wymowny i wybornie umiał sobie ludzi zjednywać. Każdy czyn śmiały, albo rys dodatni z łatwością go ujmował, szybko téż zapominał uraz doznanych i nawet z nieprzyjaciółmi postępował w sposób wspaniałomyślny. Obdarzony był znaczną siłą fizyczną, energią, odwagą nieustraszoną. Przepadał za polowaniem na grubego zwierza. Nie odznaczał się wprawdzie urodą, ale w powierzchowności i w zachowaniu się jego było coś pańskiego, coś takiego, o czém Klaudyusz Rangoni, nuncyusz, w relacyi swéj z dnia 13 marca 1604 r. pisał:... „*ha veramente del grande*". Oryentował się szybko. Dostrzegłszy, że bojarowie żałować zdają się czasów, kiedy Godunow kopał ich nogami, w kilku okazyach wyniośle i dumnie dał do zrozumienia, że z łatwością potrafiłby czynić to samo; podczas koronacyi Maryny doświadczył tego na sobie Wasil Szujski, gdy po kilkakroć na skinienie władcy zniewolonym był podsuwać poduszeczki pod stopy pogrzebanego przez siebie w Ugliczu Dymitra i po kilkakroć do téj czynności wracać... Grubsza chamska, czy szlachecka natura wyłaziła wszakże niekiedy na wierzch, w obcowaniu np. Samozwańca z płcią piękną. Maryna, już po ślubie zastępczym w Krakowie z pełnomocnikiem Własjewem, długo zwlekała z wyjazdem do Moskwy, na skutek pogłosek nieprzyjemnych, wstrętnych. Z Ksenią Godunówną, sierotą, w świeżéj żałobie po matce i ohydnie zamordowanym bracie, intruz postąpił sobie nawet brutalnie, podle...—chociaż znowu, z drugiéj strony—to i czasy były nie inne, obyczaje nie lepsze.

Specyalistom, bliższym znawcom duszy i temperamentu Stefana Batorego, pozostawić należy resztę,—to jest zawyrokowanie, ile z niemi wspólnego posiada powyższa psychologia fałszywego syna

Groźnego. Ale choćbyśmy zasługę trafnego zaznaczenia podobieństwa wytrącić mieli z książki p. Hirschberga, dzieło jego pozostanie pomimo to,—mniemany—cennym i na uznanie zasługującym nabytkiem w naszéj literaturze historycznéj. *Rajczyc.*

„Proza i poezya“ w przykładach z najcelniejszych autorów i mówców dla użytku młodzieży zebrane i ułożone przez D. W. i W. Warszawa. Nakład i własność Maurycego Orgelbranda. 1899.

Dziełko niniejsze—to, o ile wiemy, pierwsze w naszej literaturze pedagogicznej wypisy do teoryi prozy i poezyi. Zawiera ono urywki i streszczenia rozlicznych rodzajów utworów prozaicznych. i poetyckich tak z naszej literatury, jak i obcych. Wyjątki te, umiejętnie dobrane i systematycznie ułożone, w pedagogice mogą się okazać wielce pożytecznymi

Proza dzieli się w niniejszem dziełku na cztery działy: prozę historyczną, opisową, naukową i wymowę.

Przykłady prozy historycznej słusznie bardzo rozpoczynają wyjątki z roczników, kapitulnego i lubińskiego; daje to uczniowi obraz stopniowego rozwoju prozy dziejowej od suchych zapisek rocznikarskich do wspaniałych obrazów przeszłości historyków w rodzaju Herodota lnb Tucydydesa.

Dalej następują urywki z kronik Nestora, Gallusa i Kadłubka, z dziejopisów od Herodota do Szajnochy i Kubali, wreszcie biografie i autobiografie i pamiętniki; co do tych ostatnich, to reprezentują je: wyjątek z pamiętników Paska (elekcya Wiśniowieckiego), oraz ze wspomnień Leona Potockiego i A. E. Odyńca.

Prozę opisową reprezentują tu urywki z podróży Kraszewskiego, Sienkiewicza i Witkiewicza, oraz przykłady opisu właściwego i pięknego.

W prozie naukowej podział na 1) rozprawę i monografię 2) charakterystykę i 3) krytykę—trochę może dowolny; każda monografia jest zarazem charakterystyką, a charakterystyka (zwłaszcza literacka) bez krytyki obejść się nie zdoła.

W dziale wymowy popełniono błąd dziwny. Nie mówię tu o umieszczeniu jednego z kazań sejmowych Skargi, jako przykładu wymowy kościelnej, tymczasem kiedy ma ona charakter wyłącznie polityczny. Ale co gorsza, jako przykład wymowy sądowej znajdziemy tu pierwszą mowę przeciw Lucyuszowi Katylinie Cycerona;

tymczasem mowa ta nie przed sądem była wygłoszoną, lecz w senacie, należy więc do wymowy parlamentarnej.

Obrazu prozy dopełniają listy i dyalogi—te ostatnie Lucyana i Krasickiego; filozoficznym dyalogom Platona należałoby się tu może miejsce.

Drugi dział niniejszych wypisów stanowią przykłady poezyi epicznej, lirycznej i dramatycznej.

A więc w poezyi epicznej idą tu przykłady baśni, legendy (w opracowaniu literackiem Odyńca i M. Gawalewicza) i epopei. Do tego ostatniego działu słusznie zaliczono: „Iliadę“, „Odysseję“ i „Jerozolimę Wyzwoloną“, mniej może słusznie „Pana Tadeusza“, a zupełnie już bezpodstawnie „Wojnę Chocimską“ Wacława Potockiego, tak ze względu na treść jej, jak i genezę.

Podane są tu streszczenia i wyjątki z większych całości; tylko tych streszczeń mogłoby być więcej: obok np. sumiennego streszczenia Odyssei z Iliady widzimy kilka zaledwie wyjątków i t. d.

Następują przykłady romansu—może nie na miejscu; należałoby pomieścić je obok działu nowell i powieści. Są to wyjątki z powieści historycznych Walter Scotta i Sienkiewicza, umiejętnie wybrane: z „Ogniem i Mieczem“ obrona Zbaraża, z „Pana Wołodyjowskiego“ śmierć i pogrzeb Wołodyjowskiego.

Dział następny zawiera przykłady poematu i gawędy w dość chaotycznym układzie; i tak „Marya“ Malczewskiego przed „Grażyną“ Mickiewicza, o 3 lata wcześniejszą a „Myszeis“ po „Sobieskim“ Deotymy. Streszczeń tu również niewiele; nie widzimy treści ani „Maryi“, ani „Konrada Wallenroda i t. d. Z gawęd wierszowanych znajdujemy tu tylko „Trędzlowe“ Syrokomli; należało się tu miejsce typowym gawędom Pola i Kondratowicza z rodzaju „Przygód Benedykta Winnickiego“ lub „Urodzonego Jana Dęboroga“.

Urywków z nowell i powieści znajdujemy tu dość znaczną ilość; tylko stanowczo należałoby usunąć nowelkę z „Decameronu“ Bokacyusza, nieodpowiednią tu ze względów pedagogicznych.

Co do sielanki i obrazka rodzajowego, to żałujemy, iż zamiast mało charakterystycznego wiersza Karpińskiego p. t. „Dzień u matki“ nie weszedł tu „Wiesław“ Brodzińskiego, pomimo niektórych stron ujemnych najlepsza z naszych sielanek o większym zakroju, co zaś do wiersza „Śmierć słowika“ Syrokomli, to należy on w zupełności do poezyi lirycznej.

Przykłady poezyi epicznej zamykają: ballada, duma: Niemcewicza „Władysław Łokietek“ nie najlepsza i „Giermek“ Morawskie-

go, i wreszcie zupełnie niewłaściwie opis w pieśni, któremu należało się miejsce w opisie pięknym w pierwszej części.

W dziale poezyi historycznej na pierwszem miejscu postawiono przykład pieśni i dumki, ludowej i kunsztownej; co do dumek, zwłaszcza Zaleskiego, to trzeba zauważyć, że wiele z nich należy raczej do poezyi podmiotowej, t. j. epicznej, chociaż są pomiędzy niemi i inne, bardziej lirycznego charakteru.

Poezyę liryczną dopełniają: tren i elegia, oda, oraz hymn i psalm; w tym ostatnim dziale pominięto „Skargi Jeremiego“ Ujejskiego, chociaż są to najpiękniejsze w naszej literaturze próby stylu biblijnego w poezyi.

„Dodatek“ do poezyi lirycznej zawiera przykłady sonetu oraz fraszki i epigramatu; niema wcale wzorów tryoletu, sestyny, ronda, kancony, chociaż przydałoby się po jednym choć przykładzie.

Do III działu, poezyi dydaktycznej, należą przysłowia, przypowieści (szkoda, że nie przytoczono ani jednej paraboli z „Ksiąg narodu“ Mickiewicza), bajki, satyry (Juvenalis, Naruszewicz i Krasicki tylko—niema współczesnej satyry Rodocia), list poetycki i poemat dydaktyczny; za próby tego ostatniego służą „Prace i dni“ Hezyoda i „Sztuka rymotwórcza“ Fr. Dmochowskiego—niema „Ziemiaństwa polskiego“ K. Koźmiana.

Co do poezyi dramatycznej, to w tragedyi reprezentują je Sofokles, Szekspir, Feliński i „Mindowe“ Słowackiego, w komedyi Molier, Niemcewicza „Powrót Posła“ oraz „Zemsta“ Fredry, w dziale wreszcie dramatu „Pani Kaszlelanowa“ Korzeniowskiego; wybór to, jak widzimy, nie zawsze szczęśliwy.

Ogólny układ przypomina nam omawianą na tem miejscu „Stylistykę“ Wł. Wajchertówny—posiada więc niniejsza książka te same, co i powyższa, braki. Niema tu np. poezyi erotycznej, ani anakreontycznej, niema poematu opisowego; nie spotykamy tu również terminu śpiewu historycznego, chociaż podano „Władysława Łokietka“ Niemcewicza—dział zaś dramatu, najbardziej ze wszystkich ubogi, nie zawiera krotochwili operetki („Krakowiacy i Górale“ Bogusławskiego), ani wreszcie dramatu fantastycznego („Dziady“), nie mówiąc już o dramacie średniowiecznym.

Nie robimy zresztą z tego zarzutu niniejszej książce; nie ma ona pretensyi do wszechstronności, o którą zresztą w wypisach tak bardzo nie chodzi. Chociaż więc „Proza i poezya“ nie daje zupełnego pojęcia o rozwoju dziejowym każdego rodzaju utworów literackich, gdyż brak w niej częstokroć najważniejszych ogniw łańcucha genetycznego, w każdym razie, jako wypisy, w większości wypad-

ków umiejętnie dobrane, w pedagogii może oddać i odda bez wątpienia wielkie usługi, tembardziej, iż tego właśnie rodzaju podręcznika brak było w naszej literaturze pedagogicznej. *H. G.*

Selim (Władysław Bukowiński). „Z marzeń i życia". Poezye. Warszawa. Nakładem Michała Glücksberga. 1898.

Pseudonim i nazwisko p. Bukowińskiego (Selima)—nie pierwszy raz spotykamy w naszéj literaturze publicystycznéj i beletrystycznéj. Od kilku lat jest on sumiennym sprawozdawcą z ruchu literackiego; o jego zaś zdolnościach poetyckich świadczy wymownie niniejszy zbiorek poezyi na najróżnorodniejsze tematy.

Zbiorek ten stosownie do treści utworów dzieli się na kilka cyklów. Już piosenka, położona na czele cyklu pierwszego, życzliwie usposabia czytelnika względem młodego poety; jest to rzewny i tęskny wierszyk, p. t. „Grajek"; gdy młody skrzypek opuszczał rodzinną wioskę, nikt go nie żegnał i nie płakał — i on nie żegnał nikogo.

Chatynkę tylko starą, ubogą
Łąkę i pole...
I te stokrotki, i te powoje
Przy Bożéj męce —
Burka, co w oczy zaglądał moje,
I lizał ręce...
I lipy stare, co mi szumiały
Dumki żałosne,
I konwalii kwiatuszek mały
I naszą wiosnę...

A na pamiątkę wziął z sobą tylko obrazek, który dostał przed laty od swéj dziewczyny, „gałązek parę z wierzby nad strugą" i „ziemi dwie grudki szare".

Switkę na ramię, czapkę na głowę
Szkaplerz dziecięcy,
I skrzypki moje, skrzypki lipowe,
I nic już więcéj...

Po przeczytaniu tego ujmującego prostotą wiersza mimowoli przychodzą na myśl piosenki tych naszych teorbanistów i lirników, których od kilku lat nie stało już na naszéj ziemi.

Cykl II, zatytułowany „Starzy i młodzi" pod względem siły uczucia i słowa należy stanowczo do najlepszych części niniejszego

zbiorku. Jak z samego tytułu wnioskować można, poeta przeciwstawia tu siebie samego, wpatrzonego w „rozświt tęczowy”, „może już niedaleki”, tym, co żyją „wśród ciasnéj bezmógich przesądów łupiny” i pełzają po ziemi, „jak nędzne gadziny”, dążąc „przez całe życie do marnego celu”.

Punktem wyjścia dla ideałów poety jest tu ta smutna obserwacya życiowa,

Że przed wiekami był Chrystus na ziemi.
I dla jéj szczęścia poniósł śmierć i rany,
I ma wyznawców moc, lecz jest nieznany..

Ale wkrótce inna ma zastąpić era:

Ludzkość nieznane jakieś odczuwa już dreszcze.
Które zwiastują erę w jéj rozwoju nową
I każą zórz rozświtu spodziewać się jeszcze.

Ale nim ta nowa era nastąpi, walczyć należy z ciasnymi przesądami—więc walczmy! choćby upaść w boju... I młody entuzyasta rzuca staremu pokoleniu piorunujące wyzwanie w wierszu, p. t. „*Więc zdusić chcecie mnie*”... wy chcecie mnie zdusić i nagiąć do waszych poziomych celów i pragnień—daremno!

Złamać możecie mnie i zmiażdżyć mnie możecie,
Bo macie na to dziś brutalnéj dosyć siły,
Lecz do swych nędznych stóp méj głowy nie zegniecie.
Wielu podobnych mnie moc wasza jeszcze zgniecie
Aż wyda żyzny plon kwiat, wzrosły z ich mogiły,
I blaski nowych zórz zabłysną już na świecie.

Podobną siłą odznacza się wiersz, p t. „*E pur si muove...*”; serce moje żyje jeszcze, powiada tu poeta, „choć umrzeć mu każecie”, ku jednéj stronie się zwraca i jedne ma pragnienie; kończy się zaś ten wiersz pełnymi wewnętrznéj siły przekonania wyrazami:

Choć może w mym pochodzie roztrzaskam hardą głowę,
Sam jeden idę w drogę.

A w innych poezyach tego cyklu poeta woła, iż żąda burzy i walki, bo „chryzmem swym idei chrzest naznaczył jego duszę”.

Wogóle cykl „Starzy i młodzi” należy wysunąć na naczelne miejsce w tym zbiorku i przynosi on prawdziwę chlubę młodemu poecie; wyróżnia go wśród dekadenckiéj poezyi współczesnéj prawdziwy zapał do idei, żądza czynu i energia, ufność we własne siły i wiara w lepszą przyszłość, jakie cechowały pierwsze utwory naszego romantyzmu.

Z majolikowych cyklów: III „Szkice i obrazki” i VII „Różnobarwne kartki” wyróżnimy kilka tylko wybitniejszych utworów; piękny monolog zabójcy tyrana ateńskiego Hipparcha, p. t. „Arystogiton”, poemacik liryczny „W noc majową” na wzór „W Szwajcaryi” Słowackiego, i wreszcie kilka wierszy, w których zdradzają się panteistyczne upodobania autora, jak „Echa wsi”, „Dąb”, „Pieśń”, i w których poeta na łonie matki—natury składa bólem tętniącą skroń i tam znajduje ulgę i ukojenie.

Matko-naturo! Dobrze na twém cichem łonie
Odpocząć po nużącem życiu w miejskim gwarze,
Pomarzyć tak, jak teraz, od trosk wolny marzę,
Wyszedłszy w noc miesięczną na srebrzyste błonie...

mówi poeta w wierszu, p. t. „Pieśń”, wsłuchany w „pieśń pełną tęsknoty, którą tworzą: las, łąki, strumień, miesiąc złoty”...

Najmniéj ciekawemi dla ogółu czytelników są poezye erotyczne, zawarte w cyklach: IV „Na strunach serca” i V „Przez mrok do światła”. Spowiada się tu poeta ze swoich uczuć miłosnych względem téj, co została towarzyszką jego życia, wynurza swoje bóle, zwątpienia. nadzieje i rozkosze, aż wreszcie widzi się „u celu”, a organy grają mu pieśń radosną „Veni Creator!” Bądź co bądź, wiersze te, chociaż wyłącznie egotyczne, szczerością uczucia miłe sprawiają wrażenie.

Pozostawiliśmy na koniec dwa cykle, w których poeta nasz spłacił dług wiekowi i wypowiedział się, jako nieodrodny syn schyłku XIX stulecia; mówimy tu o cyklach VI „Z kropel goryczy” i VIII „Nokturny”.

O ile w innych poezyach p. Bukowiński poszedł śladami dawnych mistrzów, o tyle w tych ostatnich jest poetą nawskroś współczesnym. I on, jak tylu innych, rozczarował się do życia i na dnie czary szczęścia znalazł „krople goryczy”; i on jęczy pod brzemieniem „duchowéj nędzy”, a ból straszliwy wykrzywił mu usta; serce moje, powiada,

...jako czara pusta,
Gdzie na dnie samém nieco mętów stoi —
A czoło moje blade, niby chusta...

To duchowe rozdarcie i przygnębienie podziela poeta z całém współczesnem sobie młodém pokoleniem, o którém powiada:

Dziś słońce nie świeci nam w górze,
A myśli nasze, gdzie mogilne krzyże,

A głosy nasze w pogrzebowym chórze.
(„Pod brzemieniem“).

I on skarży się „na złudzeń rój, które za prawdę brał umysł mój” („Skarga”), i on cierpi, znajdując w cierpieniu swém „rozkosz, jakiéj tłumy zrozumieć nie mogą” („Ja cierpię!”); i jemu pozostało jedno tylko pragnienie—nirwany. Smutne doświadczenie wykazało mu bezcelowość wszelkich zabiegów, i walk, i poświęceń—dla ideałów, bo

I po co
Przychodzić na świat, i żyć, i umierać,
I własną duszę cierpieniem rozdzierać,
I straszne męki znosić dniem i nocą
Jeżeli w wiecznej konać ma rozterce
To biedne moje zakrwawione serce,
Którem kochałem?...
(„I po co?“)

To bolesne i ironiczne pytanie, wyrzucone z ust, wykrzywionych cierpieniem, to zaprawdę gorzki owoc z drzewa wiadomości—złego.

I chociaż napozór warunki życia zmienią się na lepsze—próżna radość! to tylko „celę więzienną zmieniono!” („Więzień”). Pięknie to powiedziane, ale, niestety, od tego nastroju do pełnych ognia i siły życiowéj wierszy z cyklu „Starzy i młodzi” jakże daleko!

„Nokturny” niewiele dodają nam nowych rysów do charakterystyki naszego poety. Oto w jednym z nich skarży się, że

W pomroce ginie życia cel,
Do życia — chęci brak. (III).

W innym maluje cudowny krajobraz nocny, tchnący spokojem i szczęściem—cóż, kiedy nie może go ukoić ta „letnia atmosfera”.

Tęsknota, niby rdza
Znów trawi mego ducha,
Przenika serce me
Jak najsmutniejszych dni...
W mem tylko sercu ból,
I moja pała skroń. (V).

I noc przeminie, i zorza wzejdzie na niebo, ale duszy jego nie rozświeci.

Gasną gwiazdy, noc przemija,
Różowieje wschód.
Serce—bolu szarpie żmija
U rozpaczy wrót. (XVII).

Tu wreszcie raz jeszcze wypowiada się panteizm poety, który patrzy „w staréj księgi karty” i wreszcie odpycha ją z niechęcią, wołając z zapałem:

Ach, nad wszystkie kulty świata
Wyżej stawiam—kult natury! (XIII).

Taką jest zawartość niniejszego zbiorku. Widzimy więc, iż p. Bukowiński, nie zrywając sympatycznéj nici, wiążącéj współczesnych poetów z dawniejszymi, wchłania w siebie i pierwiastki nastroju współczesnych „schyłkowców”, zwłaszcza w dwu ostatnio rozpatrywanych cyklach. Znajdziemy u niego liczne oddźwięki natchnionych pieśni Słowackiego, Krasińskiego, Lenartowicza, Konopnickiéj, z rosyjskich Lermontowa i Nadsona, ale inne znowu poezye żywo przypominają nam i Tetmajera i Langego.

Formie wierszy p. Bukowińskiego nie zarzucać nie można; jest ona różnorodną, a zawsze poprawną, płynną i częstokroć melodyjną, chociaż poeta nie sili się na kunsztowność i oryginalność. Styl piękny, choć nie wyszukany, to potężny i gromki, to miękki i pieszczotliwy, zależnie od tematu, jaki poeta traktuje—prawdziwie poetycznych metafor w rodzaju „rozperlona w tony piosnka płynie w dal” lub „zima-macocha, wychudła i blada, gdzieś w bezmiar wytrzeszcza błyszczące swe ślepie” wieleby można zacytować.

Henryk Galle.

Józef Tokarzewicz (Hodi) „Wybór prac literackich (1872—1897)“. Warszawa, nakład i druk S. Lewentala, 1899. str. 608.

Z zaznaczonego w tytule okresu lat (1872—1897) wypadałoby, że jest to wydanie jubileuszowe; brak atoli przedmowy, jakiemi zazwyczaj „Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“ opatruje zcalone części niektórych, w zeszytach poprzednio ogłoszonych przez siebie rzeczy, czyni domysł niepewnym.

Spora część „Wyboru prac“ Hodiego spotkała się po raz pierwszy z farbą drukarską w „Ateneum“. Do rozpraw najdawniéj w piśmie naszém zamieszczonych należy traktat, p. t. „Wolność nauczania“—treściwy rzut oka na sprawę organizacyi szkół rządowych i prywatnych we Francyi od czasów konwencyi narodowej, z wyraźném odbiciem polemiki, jaka za dni „kulturkampfu“ Ferry'ego toczyła się między obozem bezwyznaniowców republikańskich a stronnictwem katolicko-monarchiczném. Idą dalej, w porządku chrono-

logicznym: „U źródeł cywilizacyi“,—dwa rozdziały o pierwotnéj umysłowości rasy aryjskiéj i semickiéj, o ich współzawodnictwie na drogach rozwoju wyobrażeń religijnych, moralnych i społecznych, o ich zasługach w dziejach oświaty powszechnéj; „Świt XIX stulecia“ i „Nowe przymierze“—przyczynki do historyi naszych czasów, ze wstępem (nie z „Ateneum“), wykazującym znaczenie i potrzebę badania dziejów doby ostatniéj, czyli „dziejów dnia wczorajszego“,—ze szczególném uwzględnieniem gruntu ojczystego. „Wiemy wszyscy, że w żyłach naszych, w popędach, trybach bytu, obyczajach, narowach i cnotach, we wszystkich tajnikach duszy obiega i tętni ta sama krew, która niegdyś, na widok szczęścia lub zbliżającéj się niedoli, oblewała rumieńcem lub bladością drogie oblicze przeszłości dawnéj. Bardzo być może, żeśmy w sobie przechowali to samo stare serce, ten sam oddech, tę samą co i przodkowie nasi wrażliwość; ale inny już całkiem otoczył nas skład warunków i wymagań zewnętrznych, inaczéj się przędzie wątek zdarzeń determinujących, w innych kierunkach promienieje cieplik cywilizacyjny, inna gleba możliwości powstała pod naszemi nogami. A czém jest mianowicie owo otoczenie, o tém żadnego racyonalnego wyobrażenia nie mamy“ (str. 253).

Z sześciu rozdziałów niepotrzebnie podzielonych na dwie części, p. t. „Epizody dyplomatyczne“ i „Na wschodzie“,—wspólnie poświęconych kwestyi wschodniéj, szósty, dotyczący antagonizmu Austryi i Rosyi nad Bosforem, drukowany był również w „Ateneum“,—tak samo, jak i ostatnia z dziewięciu luźnych charakterystyk działalności księcia Bismarka, pod ogólnym tytułem „Ponury zwrotniczy wieku“, gdzie autor kolejno przebiega, ze stanowiska o wiele bardziéj dziennikarskiego i anegdotycznego niż dziejopisarskiego główne fazy politycznéj karyery zmarłego „żelaznego księcia“ Osobno w zbiorze zamieszczona monografia, p. t. „Niemcy zjednoczone“ organicznie zdaje się wiązać z pomienionym cyklem doraźnych rzutów pióra o ponurym zwrotniczym, choć niewątpliwie powstała znacznie wcześniéj.

„Wśród zwyciężonych nazajutrz po klęsce“ (str. 137—250) jest wyrównaną wiązanką sprawozdań pisanych z Paryża w latach 1872—74, dotykających ulotnie i pobieżnie, lubo nie bez głębszego współczucia, zmiennéj powierzchni życia i świeżych jeszcze wówczas ran pobitéj Francyi,—w budownictwie, poezyi, malarstwie,—na trybunie parlamentarnéj, zebraniach ludowych, katedrze uniwersyteckiéj;—po sądach, zajazdach, zaułkach ulicznych,—w dzienniku, teatrze, książce, kościele. Żywiołowa walka dwóch prądów, z któ-

rych wsteczny i przygniatający zagarnąć pod siebie usiłuje postępowy i naprawczy, uwydatnia się dość wyraźnie; sprawozdawca nie staje wobec niéj w roli bezstronnego widza; przyznaje się owszem dość otwarcie do zasad, któreby streścić można w cytacie jego z filipiki znanego niegdyś agitatora włoskiego przeciwko Renanowi: „Duch apatyi milczącéj, sprowadzonéj do pojmowania i podziwiania dzieł ludzkich, zastąpił u wielu myślicieli ducha przedsiębiorczości i działania, który wnioskuje, przewiduje, przetwarza. Cechą wszystkich prawie dzisiejszych dzieł filozoficznych, religijnych i politycznych jest, jeżeli nie krytycyzm, to erudycya; jeżeli nie kompilacya, to tarcie jednego o drugie. Możnaby sądzić, że poczucie przyszłości zagasło wśród pokoleń tegoczesnych. Nie znamy téż takiéj poezyi narodowéj—jedną może wyjąwszy—któraby wielkie swe posłannictwo rozumiała i pełniła“ (247). Kroniki te paryskie mają swoją wartość, gdyż Hodi należy do niewielkiéj garstki naszych rodaków, którzy po dłuższym pobycie we Francyi przetrwali w jéj stolicy katastrofę podwójnego oblężenia: przez Prusaków i podczas komuny. Pierwiastek osobistego doświadczenia zaznacza się tu wybitnie.

Nie można tego samego powiedzieć o szeregu listów, pod napisem „Na wakacyach“, obejmujących wrażenia podróżnicze z krótkiéj wycieczki do Szwajcaryi, Holandyi i Anglii. Są to przeważnie studya i przeglądy sporządzone z książką w ręku, jak to zresztą sam autor skrupulatnie wszędzie zaznacza. Stylowo, wyróżniają się szczególnie obrazki gospodarstwa angielskiego w Indyach, Irlandyi i we własnym domu. Górujący nastrój—pessymistyczny; autor gorąco staje w obronie ludów podbitych i pognębionych. „Sumienie ludzkie—powiada w jedném miejscu (str. 606)—zwłaszcza ten jego kryształ drogocenny, rodowo aryjski, który późniéj oprawę Chrystusową otrzymał, to wiekuisty protest przeciwko wszelkiéj zagładzie, wszelkiemu znicestwieniu. Gwałty, których się np. Rzym pogański dopuszczał na ludach iberyjskich i celtyckich—że już nic nie powiemy o ludei ani o Grecyi—są tak ohydne, olbrzymie, krzyczące, że samo ich przypomnienie po wieki wieczne, dopóki stać świata, nie przestanie budzić w duszach ludzkich przekleństwa i wstrętu dla ciemięzców, a najtkliwszych, najrzewniejszych, najgłębszych uczuć pożałowania i tęsknoty—dla ofiar. Tu filozofii z ratunkiem i pomocą spieszą religia, moralność, sztuka, poezya; tu duch nieśmiertelnych przeznaczeń człowieka, strapiony widokiem krwawych i płomiennych ścieżek ziemskiéj jego wędrówki, woła doń najpiękniejszemi, najwznioślejszemi słowami największego z wieszczów: „Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów, będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić“.

Odbiciem teoryi społecznych, panujących czas jakiś w piśmiennictwie zachodniém, jest praca o „Samorządzie społecznym dawnym i nowym“. Artykuł pierwszy ukazał się był przed kilkunastu laty w dawnej „Niwie“ (za redakcyi Mścisława Godlewskiego), artykuł czwarty—w warszawskiém „Słowie“,—drugi czy trzeci z rzędu (w układzie obecnym, zaznaczonym cyframi rzymskiemi) usunięty został bez powodu; drukowany on był również w „Niwie“, a obejmował charakterystykę nowoczesnych doktryn o swobodach społecznych, zupełnie zgodną pod względem kierunku i dążności ze swemi towarzyszkami, które uzupełniał.

Dr. Piotr Chmielowski, w ostatniéj czwartéj edycyi swego „Zarysu najnowszéj literatury polskiéj“ zamieścił o kilkunastoletniéj publicystycznéj działalności Tokarzewicza-Hodiego parę serdecznych słów oceny (str. 421). „Umysł bystry i subtelny, czujący się w dziedzinie abstrakcyi jak u siebie, a jednak nie tracący z uwagi i stosunków realnych, ogarniający wszystkie niemal sfery poznania i działalności ludzkiéj. Rozporządza stylem giętkim i wykwintnym, wyrobionym długą wprawą, lubo wpadającym niekiedy w zawiłość. W pogadankach swoich, feljetonach, krytykach dotykał przedmiotów bardzo różnorodnych i miał sposobność wypowiedzenia wielu zdań śmiałych lub paradoksalnych. Opinie swoje modyfikował nieraz, bo należy do ludzi nadzwyczajnie wrażliwych“... Owo wpadanie w zawiłość i paradoksalność ciekawszy czytelnik bardzo dokładnie sprawdzić może w rozprawie, p. t. „Barbarzyńska spuścizna wieków“,—poświęconéj obronie równouprawnienia kobiet. Przenośnie, porównania, antytezy, odskoki, przeskoki retoryczne, przepełniające dykcyę niespokojną, niecierpliwą, upędzającą się za jaskrawą dosadnością wyrażeń, wniwecz obracają najlepsze nieraz intencye autora. Z pisarzy, na których się widocznie wzorowała proza jubilata,—Libelta, Chojeckiego, Mierosławskiego, obok lekkiéj warstwy modyfikacyjnych wpływów obu Śniadeckich, wziął tym razem górę wyłącznie niemal Mierosławski z pstrokacizną i rogacizną swych metafor cudackich. Przez gąszcz ścigających się i wzajem siebie prześcigających aforyzmów wprost nieraz niepodobna przebrnąć. Jako okoliczność łagodzącą, dodać należy, że „Barbarzyńska spuścizna wieków“ jest hermetycznie ściśniętém i zamkniętém streszczeniem długiego pocztu rozwlekłych i roztrzęsionych artykułów w „Kłosach“, pod szumnym niegdyś tytułem—jeżeli się nie mylimy: Stanowisko niewiasty w społeczeństwie i rodzinie...

Nie osłabia to, oczywiście, ani samej idei wziętéj w obronę, ani téż trafności ogólnego sądu d-ra Chmielowskiego, stwierdzonego

w ostatnich czasach. z filozoficznego punktu widzenia przez Struvego w jego „Wstępie krytycznym“. Szkoda tylko, że właśnie monografie, na które się powołuje Struve, nie zostały uwzględnione w „Wyborze prac“ Józefa Tokarzewicza (Hodiego). W każdym razie, „Kraj“ petersburski, [1]) którego jubilat był w ciągu lat kilkunastu — tak samo jak poprzednio w „Kłosach“—stałym i wyłącznym współpracownikiem, nie wiele zapewne przesadził, gdy podając krótką recenzyę książki Hodiego i jego wizerunek, nazwał go „jednym z najwytworniejszych naszych stylistów“.

Antoni Gustaw Bem. „Teorya poezyi polskiej z przykładami w zarysie popularnym analityczno-dziejowym”. Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego, 1899.

Teorya poezyi—to jedna z najtrudniejszych nauk. Ująć w niezmienne ramy „teoryi”, t. j. klasyfikacyi i definicyi to, co najmniej ma wspólnego ze ścisłością naukową — twórczość poetycką, zbadać drogi, po których duch ludzki kroczy ku ideałowi piękna—zadanie to nad wyraz trudne. Oddawna już badawczy umysł teoretyczny usiłował wtargnąć w niedostępną krainę twórczego ducha, nietylko stwierdzając, jak się tworzy, ale nawet dając przepisy, jak się tworzyć powinno: Arystoteles, Horacyusz, Boileau—oto imiona wszechświatowego rozgłosu wielkich prawodawców w dziedzinie poetyki, którzy na dalszy rozwój poezyi wywarli wpływ niemały.

W nowych czasach poetyka, czy teorya poezyi, skromniejsze sobie wybrała zadanie. Przekonawszy się od czasu bankructwa szkół jezuickich i narodzin romantyzmu, iż żadne przepisy i reguły nie stworzą poety, jeśli ten nie ma wrodzonego talentu, nauka nasza przedsięwzięła na podstawie materyału, dostarczonego przez wiekowy rozwój piśmiennictwa, wyśledzić genezę i stopniową ewolucyę różnych rodzajów utworów poetyckich w literaturze ludzkości i oddzielnych narodów, nie wyrokując bynajmniej, jakiemi drogami ewolucya ta iść ma w przyszłości.

Zadanie to dla naszego piśmiennictwa spełnia wybornie niniejszy podręcznik znanego badacza na polu lingwistyki i literatury.

---

[1]) Przymiotnik ten staje się nieodzownym w razie obecnym, gdyż Tokarzewicz współpracował także niegdyś w „Kraju“ krakowskim.

Ze wstępu, w którym autor podaje krótki rys historyi poetyki w naszéj literaturze, okazuje się, iż wszystkie istniejące u nas dotychczas w téj gałęzi podręczniki nie czynią zadość wszelkim wymaganiom naukowym; nie wyłączają się stąd nawet najnowsze dzieła Cegielskiego, Bądzkiewicza i Ziemby.

Bez wątpienia, podręcznik p. Bema przewyższa wszystkie dotychczasowe dzieła nasze w tym zakresie wielu kardynalnemi zaletami.

A więc przedewszystkiém, metoda dzieła niniejszego jest analityczną, czego dotychczas w tego rozdzaju dziełach nie było. Oto np. w jednym z pierwszych rozdziałów autor, chcąc doprowadzić czytelnika do pojęcia figur retorycznych, przytacza przedewszystkiem urywki z „Grażyny", „Konrada Wallenroda" i „Ojca Zadżumionych", podkréślając w nich wszystkie zwroty stylistyczne; albo w rozdziale o tragedyi podaje w streszczeniu i wyjątkach kilka wzorowych utworów, jak „Antygona" Sofoklesa „Koryolan" Szekspira, „Książę Niezłomny" Kalderona w mistrzowskim przekładzie Słowackiego, wreszcie „Nieboska komedya" Krasińskiego—i na podstawie téj lektury dochodzi się do wniosków i uogólnień.

Metody téj trzyma się prawie zwykle p. Bem, i w tém zawiera się wyższość jego podręcznika nad wszelkiemi stylistykami i naukami poezyi powołanych i niepowołanych autorów. Przykładów tu jest wielka ilość z literatur obcych i naszéj — jest więc ta książka zarazem podręcznikiem i wypisami—co także jest zaletą niemałą.

Na podstawie dopiéro tych przykładów dochodzi się do określań, które u p. Bema z małymi wyjątkami są wierne, ścisłe i zwięzłe, o co najbardziéj w tym razie chodzi; określeń wadliwych lub niedostatecznych moglibyśmy tu naliczyć bardzo niewiele.

Wreszcie, najważniejszą zaletą „Teoryi poezyi" jest to, że jest ona zarazem rysem historyi ewolucyi każdego rodzaju utworów poetyckich. Autor zna wybornie literatury obce i swoją i, co równie jest nader ważném, umié wybiérać z masy materyału historycznego to, co jest najpiękniejszém i najbardziéj charakterystyczném. Nie ogranicza się przy tem suchém wymienianiem nazwisk i tytułów, ale podaje treść, wyjątki i zwięzłą charakterystykę utworów lub ich grup. Z podręcznika więc tego uczeń nietylko może się dowiedzieć, co to jest sielanka lub elegia, ale zarazem, jak powstały tego rodzaju utwory, jak się rozwijały w starożytności i w literaturach europejskich, wreszcie, jak przeszły do naszego piśmiennictwa i jakie znalazły tu zastosowanie; i to wszystko illustrowane umiejętnie dobranymi przykładami. Nie potrzeba chyba dodawać, jak tego

rodzaju sumienne traktowanie przedmiotu może okazać się pożytecznem w praktyce pedagogicznej.

Dzieło niniejsze składa się z dwóch części. Pierwsza z nich mówi o „ogólnych zasadach poezyi wraz z teoryą wierszowania polskiego”, a więc o istocie poezyi i jéj stosunku do prozy, o formie jéj, stylu i wierszowaniu; zwłaszcza rozdział o wierszowaniu jest nader sumienny i drobiazgowy. Druga część: „Rodzaje i odmiany poezyi” traktuje o klasyfikacyi utworów i wreszcie o różnych ich rodzajach od pieśni pierwotnéj do dramatu.

Co do klasyfikacyi, to autor odrzuca wiekami ustalony podział na epos, dydaktykę, lirykę i dramat i proponuje swój podział i terminologię. Względnie do tego, czy w danym utworze występuje na pierwszy plan podmiot (t. j. autor), czy przedmiot (t. j. opisywana sytuacya), p. Bem dzieli utwory poetyckie na: 1) czysto podmiotowe, 2) względnie przedmiotowe i 3) przedmiotowo-podmiotowe; i jeszcze co do tego ostatniego działu, że utwory, należące doń, mogą zawierać mniéj lub więcéj pierwiastku subjektywnego lub objektywnego, dzielą się na przedmiotowo-podmiotowe, gdy przedmiot w nich góruje, lub naodwrót podmiotowo-przedmiotowe.

Nie ogranicza się jednak na tem ten podział subtelny; doprowadza on autora do rozróżniania np. bajki i satyry podmiotowéj i przedmiotowéj czego już nie można nazwać szczęśliwym pomysłem. Możnaby się ograniczyć zastrzeżeniem, że w jednych satyrach lub bajkach uwidocznia się bardziéj pierwiastek subjektywny, w innych zaś objektywny.

Cały ten podział wprowadza nadmierny szematyzm w układzie dzieła i w rezultacie nie doprowadza do celu, gdyż tradycyonalny podział pozostaje nietknięty, tylko że w nagłówkach autor dodaje tego rodzaju adnotacye: poezya liryczna (podmiotowa i przedmiotowo-podmiotowa), poezya epiczna (przedmiotowa i podmiotowo-przedmiotowa), poezya dramatyczna (przedmiotowa i podmiotowo-przedmiotowa).

Ostatecznie, ani dawniejszy, ani proponowany przez p. Bema podział nie wytrzymują krytyki; bo téż jest to rzecz niezmiernéj trudności. Klasyfikacya utworów ducha ludzkiego niegdy nie da się uskutecznić z taką ścisłością, jak klasyfikacya np. procesów chemicznych, gdzie jedna formuła uogólnia tysiące analogicznych zjawisk. W dziedzinie twórczości poetyckiéj, gdzie wszystko zależy od stanu psychologicznego, ogólnego i chwilowego, tworzącéj jednostki, nie może być mowy o takiéj ścisłości.

To jedno możnaby zarzucić autorowi, zastrzegając, iż w każdym razie należy mu się uznanie, że nie chciał iść utartym szlakiem, sam torując sobie drogę.

Co do drobniejszych usterek, to w rozdziale, traktującym o „utworach, zamkniętych w ściśle określonych formach stroficznych" brak kilku szematów. Niema tu np. *ronda*, chętnie używanego przez współczesnych poetów, *kancony*, *gazeli*. Autor nie zna widocznie głębokich treścią, a pięknych formą „Rymów duchownych" Sebastyana Grabowieckiego z roku 1590. Inaczéj nie mówiłby, iż sonet uprawiali w XVI wieku tylko Kochanowski i Szarzyński, iż oktawę wprowadził do poezyi naszéj Piotr Kochauowski swym przekładem „Jerozolimy Wyzwolonéj" Tassa, iż sekstyny pierwszy używał u nas Andrzéj Morsztyn, iż zwrotka pięciowierszowa nie była przez dawnych naszych poetów używaną, gdyż wszystkie te wzory stroficzne znalazłby w tym zbiorze pieśni z końca XVI wieku, a prócz nich inne jeszcze, jak kancona, sestyna (niewykształcona) tercyna, siedmiowierszowe zwrotki i inne bardziéj jeszcze egzotyczne układy.

Wreszcie, co się tyczy „Pana Tadeusza", to określenie jego, jako gawędy poetyckiéj, a także długi ustęp o zależności jego od „Odyssei", niezupełnie trafiają nam do przekonania.

Wreszcie, nieszczęśliwa kwestya pisowni! Autor zajmuje stanowisko krytyczne względem ustaw, uchwalonych przez Akademię Umiejętności w Krakowie, i chciał pozostać i w tym punkcie samodzielnym. Czy nie należałoby jednak zrobić ofiary ze swéj samodzielności w imię „platońskiéj idei dobra", na którą p. Bem powołuje się w przedmowie? Kwestya to paląca i domaga się niezwłocznego rozwiązania. *H. Galle.*

Dante Alighieri. „Boska komedya" w przekładzie Edwarda Porębowicza. I. Piekło. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1899 Wydanie miniaturowe.

Wielkie arcydzieła poezyi są własnością duchową wszystkich narodów; wielcy mistrze nie są synami jednego społeczeństwa, lecz całéj cywilizowanéj ludzkości. Czytając „Hamleta" lub „Fausta", zapominamy, iż autor pierwszego był Anglikiem, XVI w. drugiego—Niemcem XVIII stulecia—zdaje się nam, iż arcydzieła te, przedstawiają celudzkość całą na pewnym stopniu duchowego rozwoju, powstawały po za warunkami czasu i miejsca. Nic więc dziwnego, iż każda lite-

ratura stara się posiadać przekłady tych arcydzieł, jak najwierniejsze i jak najpiękniejsze.

Że o połączenie tych dwóch sprzecznych warunków nader trudno, wiedzą o tém wszyscy, co zadali sobie kiedykolwiek pracę porównania przekładu z oryginałem jakiegoś arcydzieła. Ażeby je należycie przekładać, trzeba samemu urodzić się poetą; nie każdy może tak tłumaczyć. jak Mickiewicz „Giaura” lub Słowacki „Księcia Niezłomnego”. Gdybyż wszystkie arcydzieła wszechświatowe mogły być tak po mistrzowsku przyswojone naszéj literaturze!

Do takich utworów europejskiéj chwały należy bezsprzecznie „Boska Komedya” nieśmiertelnego piewcy Beatrycze, jako najwspanialszy wyraz średniowiecznego pietyzmu katolickiego. Od sześciu wieków jest ona przedmiotem podziwu i drobiazgowych studyów nad każdym wersetem, jak dzieła Homera i Szekspira; od sześciu wieków stanowi ona wzór naśladownictwa dla poetów, którzy w „Piekle” szukają barw, pełnych ponuréj potęgi i grozy, w „Raju” —czystych i jasnych, dla odmalowania światów idealnych. W naszéj literaturze zwłaszcza Krasiński i Słowacki ulegli wpływowi Danta, pierwszy szczególniéj w „Niedokończonym Poemacie”, drugi— najbardziéj w „Poemacie Piasta Dantynka”. Nic więc dziwnego, iż oddawna kuszono się o przyswojenie naszéj litereturze epopei wielkiego wygnańca florentyńskiego. Tłumaczyli oddzielne ustępy Mickiewicz, Asnyk, Faleński (Felicyan), mamy wreszcie dwa całkowite przekłady „Boskiéj Komedyi” Korsaka i Stanisławskiego; ale pierwsze trzy są, niestety tylko fragmentami, dwa ostatnie zaś nie stoją na wysokości zadania.

Niedawno przybyło nam jeszcze jedno tłumaczenie, uskutecznione przez wybornego znawcę literatur europejskich i naszéj, p. Edwarda Porębowicza.

P. Porębowicz zaszczytnie znany jest w naszéj literaturze krytycznéj, jako autor studyów literackich, a zwłaszcza wybornéj rozprawy o Andrzeju Morsztynie, która dała nowy kierunek naszéj krytyce literackiéj, oraz doskonałego przekładu „Don Juana”; niniejsza praca świadczy również chlubnie o jego sumienności i talencie.

Przekład „Boskiéj Komedyi” można nazwać z wielu względów wzorowym. A przedewszystkiém co do formy; poprzednicy p. Porębowicza używali w swoich przekładach różnych form wersyfikacyjnych, po większéj części wiersza 11-zgłoskowego, rymowanego lub nierymowanego. P. Porębowicz chciał być pod tym względem wiernym oryginałowi i pierwszy dał nam przekład całéj części poematu tercynami (używali ich dotąd tylko we fragmentach Asnyk

i Faleński). A trudną tą formą p. Porębowicz włada znakomicie; rymy u niego zawsze kunsztowne, wyszukane, rzadko gramatyczne, wiersz piękny, pełny i potoczysty.

Język przekładu oddaje wybornie ponure obrazy „Piekła"; tłumacz wzorował się widocznie naszéj dawnéj literaturze, okrasza więc swój przekład zręcznie użytymi archaizmami, a czasem śmiałymi i jędrnymi neologizmami, aby stanąć na poziomie twórcy włoskiego języka literackiego. Jedném słowem, można powiedziéć, iż p. Porębowicz nie tłumaczy niewolniczo, ale z natchnienia Danta tworzy samodzielnie.

Aby wykazać zalety stylistyczne i wersyfikacyjne niniejszego przekładu, weźmy jeden z najpiękniejszych ustępów „Piekła"—pieśń XXXIII, opowiadanie hrabiego Ugolina o jego śmierci głodowéj wraz z dziećmi, na którą skazał go nielitościwy arcybiskup Ruggiero, i zobaczmy, jak brzmi ten urywek u różnych naszych tłumaczy.

Mickiewicz tak ten urywek przekłada:

Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca,
I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać.
Natenczas z bólu gryzłem sobie ręce.
Synowie myśląc, że mię głód tak pali,
Łamiąc rączęta ze łzami wołali:
Ojcze kochany, ulżyj twojéj męce,
Zjedz twoje dzieci, tyś nas ubrał w ciało,
Tobie nas biednych rozebrać przystało.
Musiałem milczeć i ból w sobie morzyć,
Wkrótce i mowa w ustach nam zamarła!
Jęczyć nie śmiałem, by dzieci nie trwożyć.
O! ziemio, czemuś ty nas nie pożarła!
Weszło czwartego dnia światło zabójcze,
Anzelmek mały przywlekł się pod nogi,
I rozciągniony wołał, ojcze drogi!
Ach czemuż ty nas nie ratujesz, ojcze?
Wołał i skonał!—jak mnie tu widzicie,
Tak ja widziałem wszystkie dzieci moje,
Jedno po drugiem—wszystkich było troje
Wszystkie u nóg mych zakończyły życie.
Od zwłok jednego do drugiego biegłem,
Ślepy na trupach potknąwszy się ległem.
Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu,
Krzyczałem z żalu, a nakoniec—z głodu,
Bo głód był jeszcze sroższy od żałości.

U Stanisławskiego ustęp ten brzmi, jak następuje:

Gdy do więzienia boleści się zbłąkał
Malutki promyk i kiedym obaczył

Własny mój obraz na ich czterech twarzach—
Naonczas z bólu gryzłem obie ręce;
A oni myśląc, że to czynię z głodu,
Nagle powstali i mówili: „Ojcze!
Ach, mniej nierównie będzie nas bolało,
Gdy jeść będziesz:—ty nas przyodziałeś
W to nędzne ciało i ty nas rozdziejesz“.
Naonczas, nie chcąc dodawać im smutku,
Udałem spokój—i wszyscy dzień cały
I dzień następny siedzieliśmy niemi:
Ziemio! ach czemuż tyś się nie rozwarła!...
Gdyśmy czwartego dnia już doczekali,
Gaddo mi do nóg rzucił się jak długi,
Mówiąc: „Mój ojcze, czemu nie ratujesz?“
I u nóg skonał!... Jak mnie tutaj widzisz,
Widziałem jeszcze dzieci moich troje,
Jak one między dniem piątym a szóstym,
Jedno po drugiem popadały wkoło!
Oślepły z żalu począłem omackiem
Czołgać się, w kolej do każdego z synów...
Dwa dni po śmierci jeszcze ich wołałem...
I głód nakoniec przemógł nad boleścią!...

Faleński w taki sposób strofy te wykłada:

...Aż kiedy wraży
Świt się zabłąkał w jamy naszej progi,

I w niej bladawy światła blask rozżarzy,
I gdym oczyma, stojącemi kołem
Mój własny wygląd zgadł z ich czterech twarzy,

Z wściekłości sobie ręce gryźć począłem;
A oni sądząc, że to głodu sprawą
Ten czyn popełniam, wstali wszyscy społem

I rzekli: „Ojcze! mniej nam będzie krwawą
Śmierć w twoich zębach. Tyś nam przecie z siebie
Dał nasze ciało; ty je wziąć masz prawo“...

Co? ja mam katem być im w tej potrzebie?
Niceśmy z sobą odtąd nie mówili...
O ziemio, gdzież twój dreszcz, co żywcem grzebie?

W dniu czwartym—pomnę—Gaddo mi się chyli
Do nóg i woła: „Ratuj, ojcze, panie!“—
Wołał i trupem padł w tej samej chwili.

Tak, jak mię widzisz, całkiem spodziewanie
Dni pięć musiałem w uczuć mych zniewadze
Patrzeć na dalsze synów mych konanie.

W szał wpadłem. Wyjąc, iż nic nie poradzę.
Trzy dni tuliłem pierś w te zwłoki trupie...
Głód wściekły wreszcie wziął na bólem władzę...

Wreszcie, p. Porębowicz rymuje takie dźwięczne tercyny:

I kiedy w lochu zrobiło się jasno,
W cztery oblicza spojrzę i tak na nie
Wzrok kładąc, twarz w nich odgaduję własną.

Więc ręce sobie do krwi i bólu ranię,
A oni myśląc, że to ból ze czczości,
Nagle się dźwigną: Ojcze mój i panie!...

Wołają do mnie; oszczędzisz żałości
Z ciał naszych jedząc; tyś nas oblókł niemi
Wolno-ć je zezuć z naszych nędznych kości.

By ich nie płoszyć, zmilkłem i tak niemi
Trwaliśmy dwa dni z nadziei zatratą;
Czemuś nie pękło, twarde łono ziemi?...

A kiedy czwarty dzień błysnął za kratą,
Gaddo do kolan moich się przywlecze
I woła: Czemu nie ratujesz, tato!...

Wołał i skonał; jak mnie tu, człowiecze,
Widzisz, tak chłopcy w oczach mych konały
Do dnia szóstego; więc mi wzrok wyciecze

We łzach; oślepły między synów ciały
Pełzam i trzy dni wołam na nieżywe...
Aż głód mocniejszy był, niż bólu szały!

Do tych wymownych przykładów żadnych uwag nie dodamy; życzymy tylko p. Porębowiczowi, aby „Czyściec" i „Raj" ukazały się, jaknajrychléj, w jego pięknym przekładzie. *H. G.*

Nowości naukowe i literackie.

= Album Henryka Sienkiewicza „**Quo Vadis**". Łódź 1899. Wydawnictwo to stanowiące wyraz popularności, jaką w ojczyźnie swéj i po za jéj granicami cieszy się znakomity utwór naszego powieściopisarza, składa się z piętnastu kartonów, ilustrujących

wybitniejsze sceny z téj powieści. Szkoda, że pomiędzy ilustratorami nie spotykamy ani jednego nazwiska polskiego — nie wydawca wszakże winien jest temu, lecz nasi artyści, którzy, jak to zresztą często bywa, zaniedbali odłogiem leżące pole, pozwalając się ubiedz cudzoziemcom. Howard Pyle, Edmund H. Garrett, Ewert van Muyden i Leon Benouville złożyli się na całość. Najwięcéj prac i to najpiękniejszych dał przedostatni z nich. Ze starannie trawionych ilustracyi najbardziéj zadawalniają nas następujące: „Spotkanie Poppei z Ligią w ogrodzie Nerona“, „Chilon Chilonides u Petroniusza obiecuje odszukać Ligię“, „Ligia i Winicyusz, przerażeni rykiem dzikich zwierząt“ — znać tu sumienną, iście artystyczną pracę Autotypii Meisenbacha i Riffartha. Całość wydana starannie, ozdobiona pięknym portretem Henryka Sienkiewicza, może zadowolnić najwybredniejsze wymagania estetyczne i przynosi zaszczyt młodéj, a ruchliwéj firmie wydawniczéj Jana Fiszera.

Kimont.

= *Walery Łoziński:* „**Zaklęty dwór**“, powieść. Wydanie nowe, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1899, tomów dwa. — Okrągłych lat czterdzieści upłynęło od daty pierwszego wydania „Zaklętego dworu“ Walerego Łozińskiego, a już i wtedy uskarżano się w prasie i rozmowach towarzyskich na nadmiar i wygórowaną wyłączność powieściowego tego działu piśmiennictwa ojczystego. Pewien niesmak i zniechęcenie z tego powodu w społeczeństwie Łoziński, wytrawniejszy w swoim czasie publicysta niż beletrysta, przypisał raczéj jakości niż ilości produkcyi. „Powieść nasza—powiadał w pierwszym zaraz rozdziale „Zaklętego dworu“—acz tak ogromnie wzmogła się ostatniemi czasy, tkwi przecież w tak ciasnych jeszcze ramach, że biednemu powieściopisarzowi trudno krok zrobić, aby zaraz nos w nos nie zetknąć się z dziesięciu poprzednikami... I ani się nieraz spostrzeże, że układając i kombinując zupełnie nowe i oryginalne w własném przekonaniu charaktery, rysy, sytuacye, kolizye i peripetye, powtarza je tylko za kimś innym, jak za panią matką pacierz,— składa tylko nowy obraz ze starych kalejdoskopijnych fatałaszków, kleci nową całość z dawnych stokroć zużytych cząstek“... Oczywiście, autor żartuje tu sobie przyjemnie z kogoś,—z publiczności może, z krytyki, z kolegów,—tylko nie z siebie. Sam on wyśmienicie świadom jest przepisów estetycznych i wymagań swojego fachu. Nie wiele sobie z tego robi. Powołując się na zdanie któregoś z dzisiejszych (1859!) pięknoznawców niemieckich, zaznacza

z przekąsem, że choćby powieść tegoczesna prócz zabawy żadnych innych nie miała celów, musi opływać we wszelkie cudowne barwy i blaski fantazyi, jak bajka z Tysiąca i jednej nocy, a tchnąć przytém prawdą i naturalnością jak sama najpowszedniejsza rzeczywistość, musi nam co chwila odsłaniać nieznane dotychczas strony duszy i serca ludzkiego, ale w tém wszystkiém opierać się powinna na jak największéj prostocie uczucia, na jak najogólniejszych prawdach psychologicznych, zrozumiałych dla każdego, a wolnych od wszelkich rysów wyjątkowych... Aż tyle—to znowu nie. Dośćby zapewne było szczerze wierzyć w możliwość tego, co zmyślamy, a zarazem dla siebie samych, nie dla innych, dla własnéj przyjemności szukać piękna w tém, cośmy istotnie doświadczyli kiedykolwiek lub doświadczamy. W „Zaklętym dworze“ umiarkowane i skromne to żądanie dostaje odprawę w dwudziestu pięciu co najmniéj rozdziałach na ogólną ich liczbę trzydzieści i jeden. Nie znaczy to jeszcze wcale, że szkielet powieści, jej treść, fabuła wytrząśniętą została jak bicz z piasku. Owszem, w Galicyi najniezawodniej działy się niegdyś rzeczy niezwykłe: wieszano np. ludzi, którym następnie powierzano moc wieszania tych, co ich samych poprzednio skazywali na szubienicę. Ręczyć więc można gardłem, że między innemi zaszedł tam i następujący wypadek. Po dłuższym pobycie w Paryżu, starościc Żwirski, przejeżdżając przez Niemcy, przywdział był, dla większego bezpieczeństwa, suknie swego kozaka, Oleksy Pańczuka, jemu zaś kazał włożyć swoje własne. Podróżni, w tak zmienionych „krojach“ (boć nie postaciach) przybyli do Drezna. Tu nagle zachorował domniemany Żwirski—i pomimo starań lekarzy (a gdzieżby polskiego chama Niemiec odróżnił od polskiego pana!) zmarł. Fałszywy Oleksy Pańczuk pogrzebał „po wszelkiéj formie“ sfabrykowanego Żwirskiego i za natchnieniem wyższéj idei zatrzymał przy sobie przygodne incognito, które mu pozwoliło spokojnie zamieszkać w ojczystym zaklętym dworze... Fakt więc faktem,—rady na to nie ma. Ale jeśli następstwa zamilczanego na razie i na sam koniec zachowanego faktu (*respective* przypuszczenia, tezy, punktu wyjścia, dźwigni moralizatorskiéj etc.) nawijać zaczniemy na prątek akcyi najzgodniéj według recepty „dzisiejszego“ estetyka niemieckiego (cieniutką niteczką przygód środkujących między cudownością z Tysiąca i jednéj nocy a rzeczywistością żywcem wyjętą z notat naszych kalendarzowych),—wypaść z tego może czasem arcydzieło, czasem... naiwna, dziecinna zabawka. Niepodobna dziś wyrokować, do któréj z dwu tych możliwości należy „Zaklęty dwór“. Odczytaliśmy powieść ponownie z odgrzebaném na dnie duszy i najstaranniéj do życia powo-

łaném uczuciem i przypomnieniem lat dawnych, dawno minionych, a więc w mgławém, tęsknem odbiciu przyjemności... niepowrotnéj.

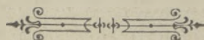
J. T. H.

= *Marya Turzyma.* **„Nadbrzeżne fale“.** Warszawa, 1899 r. Beletrystyka tendencyjna należy już chyba do przeszłości, a hasło—sztuka dla sztuki rozlega się coraz donośniéj. Pomimo to są i będą pisarze, dla których literatura piękna—to najpodatniejsza forma dla wypowiedzenia pewnéj filozofii życiowéj i uwydatnienia poglądów społecznych. I dobrze, o ile obserwacye ich są trafne, a myślenie głębokie. Zbiorek nowel, który mamy przed sobą, praca mało znanéj dotąd autorki, nie olśniewa niezwykłością formy, ani poetyckim polotem, nie daje prawie bajki, ale zastanawia wytrawną i głęboką obserwacyą życiową i filozoficznym podkładem myślenia. Tytuł nadała mu nowela końcowa, w któréj autorka przeciwstawia jednostkę i tłum. Temat to w ostatnich czasach często poruszany, może nawet nadużywany, ale p. Turzyma ujęła go oryginalnie, gdyż bohater nie gardzi tłumem, nie wywyższa się jego kosztem, lecz przeciwnie poświęca się zań i ginie z jego ręki. A on mimo to przebacza zabójcom, gdyż: „Ból, co pierś ich gniecie, mrok, co dusze ich obsiada—czczość, co wnętrzności ich trawi, są dla nich wieczystém źródłem niezaspokojonych żądz i nieustających buntów“. Tematem przeważającym w innych nowelach, zarysowanym na tle stosunków dnia powszedniego i uniesień erotycznych, nabożnéj ekstazy, zarówno jak i czysto fizycznéj walki, jest przebudzenie się w kobiecie człowieka. Nie chcąc streszczać pojedyńczych nowel, przytoczymy kilka szczęśliwie pochwyconych momentów, w których się dokonywa uświadomienie kobiecéj istoty. „O świcie“ opowiada dzieje Maryi z Magdali i chwilę, w któréj pokochała Chrystusa, a potém przyszła odwiedzić ciało Jego w grobie. Gdy zbliżył się do niéj Mistrz zmartwychwstały, „z piersi jéj wyrwał się okrzyk—pierwszy okrzyk kobiety, w którym nie było żądzy i namiętności, pierwszy okrzyk duszy kobiecéj, zbudzonéj do duchowego życia i rzucającéj się w proch przed potęgą wielkiego ducha“. To znów w bajce „o skrzydlatéj duszy“ o kobietę walczą dwaj ludzie, z których jeden uosabia pierwiastek fizycznéj, drugi—duchowéj miłości, a choć pierwszy zwycięża, tęsknota za życiem przeważnie duchowém zostaje. Skoro autorka od tych symbolów przechodzi do zwykłych wypadków życiowych, daje nam bezpretensyonalny obrazek pierwocin literackiéj pracy kobiety. Młoda poetka wierząca w swój talent, gdy nikt dru-

kować jéj utworów nie chciał, dochodzi do przekonania, że dzieci jéj ducha są pospolite i banalne, kiedy mąż—wydawca robi dobry interes na szóstym tomie jej nowel. Zarówno ogólny nastrój umysłu, jak wybór tematów i pewna anemiczność, ilekroć chodzi o istotnie beletrystyczne obrazowanie, wnosić pozwalają, że p. Turzyma w noweli i powieści niezupełnie właściwą obrała dla siebie drogę. Niewątpliwie umie czuć i myśléć i słusznie by dzieliła się z publicznością rezultatem tego czucia i myślenia. Sądzimy jednak, że przybywa w jéj osobie nie tyle talent powieściopisarski, jak raczéj uzdolniona bojowniczka za sprawę kobiecą. *zd.*

= Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia d-ra J. Mianowskiego ma zaszczyt do powszechnéj podać wiadomości, iż zmarły d. 9 listopada 1891 roku Władysław Pepłowski uczynił Kasę pomocy spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tém polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie Władzy rządowéj uzyskała, Komitet zarządzający Kasą oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżéj wyłuszczonym określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebném i możliwém. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy pomocy w Warszawie, przy ulicy Niecałéj Nr. 7, lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyłuszczonych na piśmie.

SPROSTOWANIE. W zeszycie lutowym, na str. 325, w wierszach 14—15 czytać należy: „co mamy wnioskować o jéj autorze?”



KRONIKA MIESIĘCZNA.

W życiu społeczném bywa tak jak w życiu jednostek. Nie zawsze nieszęście, które na człowieka spada, jest złem największém, gorszém jest częstokroć to, że jednostka, równie jak społeczeństwo, zamiast stawić czoło nieszczęściu, pochyla bezradnie czoło, że zamiast myśléć o zaradzeniu klęsce, oddaje się gnuśnéj apatyi. Niema kraju, niema ludu, któryby w kronice wypadków nie zapisywał katastrof i przeciwności. Nad temi z nich można tylko rozpaczać, które w takich chwilach tracą głowę i nieszczęść nie umieją znosić.

Te myśli nasunęły nam się po przeczytaniu artykułów prasy naszéj o smutnych zajściach w naszych najwyższych zakładach naukowych. Społeczeństwo struchlało w pierwszéj chwili, oprzytomniało jednak i wypowiedziało, co myśli. Obok świetnych artykułów Bolesława Prusa i Ludwika Straszewicza, ukazało się rozumne i obywatelskie przemówienie „Słowa“ a równocześnie wyszły artykuły jednobrzmiące w dwóch „Kuryerach“. Czerpaliśmy w nich niekłamaną otuchę i pociechę. Społeczeństwo zabolało nad nieszczęściem, zagrażającém młodzieży, ale nie tając swych myśli, wypowiedziało je spokojnie, poważnie, tonem, w którym stanowczość łączyła się z miłością. Ogół ma dla młodzieży wiele uczucia, wiele wyrozumiałości i w każdym wypadku niesie jéj pomoc chętnie. Ale zarazem pragnie, by oddawała się naukom, by praca była jéj programem.

Życzenie to wypowiedziane było wyraźnie. Ta zgodność opinii w punkcie zasadniczym dowodzi, że w chwilach ważnych, rozstrzygających o przyszłości młodzieży, a zatém o przyszłości kraju, umie-

my jeszcze dostrajać się do wspólnego akordu, umiemy znaleźć dźwięk stanowczy, który przenika do serca, bo z serca płynie.

Ostatnie tygodnie zimy ożywiły instytucyę, która pod względem popularności nie miała niegdyś równéj sobie w Warszawie, a dziś świeci się jeszcze dawną swą chwałą. Mamy tu oczywiście na myśli nasz Teatr Rozmaitości.

Dziwna jest u nas niestałość wszystkiego. Był czas, w którym się zdawało, że wysoki poziom komedyi i dramatu w Warszawie zapewniony jest na długie lata. Należało się wprawdzie spodziewać, iż pierwszorzędnych talentów może kiedyś zabraknąć, ale z drugiéj strony nie ulegało na pozór wątpliwości, że tradycya dobréj gry nie pójdzie w zapomnienie, że w trupie warszawskiéj nie zaniknie poszanowanie kodeksu aktorskiego, nakazującego, przedewszystkiém umiéć rolę na pamięć i nie powtarzać w każdéj z nich tego samego szablonu; zdawało się, że mogą wprawdzie powymierać wielkie gwiazdy, ale że w téj atmosferze, która niegdyś ożywiała nawet mniejsze talenty swojém tchnieniem, wychowa się przyszły reżyser sceny naszéj, umiejący dawać aktorom instrukcye i umiejący zapewnić sobie należyty posłuch.

Jakże daleko odbiegliśmy od owych czasów! Gdy nasi grają sami między sobą, znosimy cierpliwie to, do czego nas już niestety przyzwyczajono. Nie gniewa nas ani głos suflera, rozlegający się czasem złowrogo, ani wszelki brak harmonii między dykcyą tych, co uparcie pielęgnują dawny patos, a swobodnym tonem zwolenników nowéj szkoły. Nie gniewa nas nawet widok tych biédnych ofiar, które na każdéj innéj scenie pod kierunkiem prawdziwego reżysera mogłyby grać nienajgorzéj, a u nas zagrałyby także inaczéj, gdyby je ktokolwiek wsparł dobrze obmyślaną wskazówką. Na codzień nie mamy już nawet pretensyi do tego i godzimy się z losem.

Całą niedolę naszą oceniamy dopiéro wówczas, gdy się na scenie naszéj ukaże jakaś siła nowa, nie zmanierowana jeszcze po warszawsku; wtenczas widzimy dopiéro, że świat poszedł naprzód, a myśmy się cofnęli.

Występy p. Żelazowskiego przypomniały nam tę smutną prawdę tak samo, jak przed dwoma laty przypomniały nam ją występy p. Śliwickiego. Po przedstawieniu „Pietra Carusa“ i „Nieuczciwych“ publiczność nie ukrywała co myśli. „Więc to się tak gra na prawdę?“ „Jak on odbija od naszych!“ „Co się to z temi Rozmaitościami stało!“ Nie słyszał tego chyba ten, kto słyszéć nie chciał.

I w jaki sposób to się stało? W bardzo prosty.

Przez tyle lat wmawialiśmy w siebie, że mamy pierwszą scenę na świecie, że Paryż, Wiedeń i Berlin powinny do Warszawy przyjeżdżać na naukę, przez tyle lat wmawialiśmy w artystów naszych wszelkie zalety i talenty, aż ostatecznie musieliśmy zabić dążność do lepszego, pracowitość i sąd o sobie samym. I oto stało się to, co przewidzieć trzeba było. Scena warszawska zaniedbała się i podupadła. Kto się utrzymać chce na wyżynie, musi wejść w siebie, musi zdawać sobie sprawę ze swych ułomności, nie może upajać się kadzidłami.

Na szczęście i prasie warszawskiéj zaczynają się już przecierać oczy. To, co napisała „Gazeta Polska“ po przedstawieniu „Nieuczciwych“, jest zapowiedzią zbawiennego zwrotu, a uwagi „Słowa“ o zmianach w obsadzie kilku ról téj sztuki odbijają chlubnie od śmiesznych panegiryków, któremi przez lat tyle obkadzano nasz teatr.

Ale zmiana w opinii publiczności to dopiero pierwszy przebłysk lepszéj przyszłości. Czegoż potrzeba, ażeby sprawa posunęła się rzeczywiście o krok naprzód? Czy nowych aktorów?

Naszém zdaniem punkt ciężkości spoczywa gdzieindziéj. Ze słabszym i mniéj licznym doborem sił dają sobie radę na innych scenach i dają przedstawienia, o jakich my nie marzymy. Warszawie potrzeba przedewszystkiem reżysera. Wieczném wzdychaniem za Kudliczem i Żuczkowską, za Żółkowskim i Modrzejewską nie uzdrowimy naszéj sceny. Trzeba stanąć na podstawie realnéj, trzeba powiedzieć sobie, że umiejętność kierowania i trupą aktorską i pojedyńczemi przedstawieniami poczyniła w ostatnich czasach postępy, jakich przed laty trzydziestu nie przewidywano. Dziś nie wolno już aktorowi grać dla siebie, dziś każdy musi mieć na oku powodzenie całości, a ta całość jest instrumentem, na którym gra ręka reżysera. Ale ażeby na instrumencie grać, trzeba nad instrumentem panować. Rzecz to nie łatwa, ale scena warszawska nie odrodzi się, dopóki nie znajdzie się człowiek, który tego dokaże.

Nie wiadomo, gdzie trudniéj o harmonię między aktorami, grającymi na téj saméj scenie, czy między dziennikarzami, pracującymi w tym samém mieście. W Warszawie prasa rozbita była dotychczas zupełnie. Dawniéj udawano od czasu do czasu, że między pojedyńczemi kółkami istnieje jakaś spójnia, w okresie ostatnim nie wysilano się już nawet na to.

I nagle wszystko się zmienia. Warszawa posiada od dwóch tygodni Kasę literacką. Świat piszący, zgrupowany około kilkudziesięciu redakcyi, uzyskał nareszcie jakieś ognisko, jakąś spójnię.

Na czele kasy stanęli Henryk Sienkiewicz i prof. Struve, a w obec tych nazwisk wszelkie, gdyby gdziekolwiek istniało, powątpiewanie o losach nowonarodzonego dziecka, musi zamilknąć.

Zadaniem kasy jest niesienie pomocy literatom i dziennikarzom. By jednak tę pomoc sobie zapewnić, trzeba wspólnemi siłami pracować, trzeba o tém wspólném dobru myśleć. Jesteśmy może optymistami, ale wyznajemy, że ten wspólny interes i ta wspólna troska większą jest w naszych oczach rękojmią zbliżenia, niż niejedna uczta składkowa z najszumniejszemi toastami. Ludzie są najwyrozumialsi, najpobłażliwsi, najsprawiedliwsi dla siebie, gdy się potrzebują wzajemnie. Mamy nadzieję, że się to pokaże w Kasie literatów, a w nadziei téj utrwala nas przeświadczenie, że potrzebę jakiegoś *modus vivendi* uczuwamy wszyscy żywiéj, niż kiedykolwiek.

Kasie literatów życzymy przy narodzinach, by okazała tyle żywotności i ochoty do działania, co młodziuchne Towarzystwo hygieniczne. Co dzień czytamy w dziennikach sprawozdanie z jakiéjś jego sekcyi. Dziś radzą o sanatoryach dla suchotników, jutro o zdrowotności mieszkań, pojutrze o opiece lekarskiéj nad robotnikami. Widzimy, że inteligencya nasza odczuwała dotkliwie wszystko, czego nam pod względem hygieny niedostaje. Sądzimy, że odczuwa ona również nasze cierpienia i choroby etyczne, społeczne, zbiorowe. A chorób tych jest niemało.

Jesteśmy biedni. Zawiele między nami głodnych. Gdyby każdy z tych, co nie dojadają, mógł odtąd powiedzieć sobie, że co tygodnia przybędzie mu dzień jeden bez troski, gdyby to powiedzieć mogli wszyscy zgłodniali na całym obszarze kraju, ileż łez, przekleństw, złorzeczeń ubyłoby na naszéj ziemi, ile godzin błogiego snu możnaby naliczyć, ile siły, zdrowia, energii przybyłoby i naszemu i przyszłym pokoleniom.

Bywamy nieraz głodni z własnéj winy. Często nie umiemy pracować, częściéj nam się nie chce. Stary grzech próżniactwa, grzech pierworodny w dziejach naszych, nie zmyty z nas do dnia dzisiejszego, bruździ nam i przeszkadza we wszystkiém! Na nic się nie zdadzą traktaty ekonomiczne, dopóki się nie nauczymy przysparzać dóbr w praktyce. Nie ma rady—pracować trzeba. Pomyślmy tylko, że naród nasz nauczył się nagle przecierać oczy o godzinę wcześniéj. Pomyślmy, że ci wszyscy, którzy dziś pracują za mało, będą mogli pochwalić się od jutra, iż dorzucają do ogólnego zbiorowiska o godzinę pracy dziennéj więcéj.

Rok, w którymby dokonano takiéj reformy, byłby epoką w dziejach. Tchnąć taką wolę w społeczeństwo—znaczyłoby spełnić akcyę ratunkową, wobec któréj maleją wszystkie inne.

Uczymy się za mało. Dla milionów książka jest jeszcze u nas sprzętem bezużytecznym; dla kroci tysięcy zbytkiem, na który pozwalają sobie rzadko; dla reszty bawidełkiem, dobrém póty, póki rozwesela. Lubimy czasem zestawiać dla kontrastu kraj nasz z krajami, w których każde miasteczko szczyci się wzorowym zakładem naukowym. Sądzimy, że może jeszcze jaskrawszém byłoby porównanie inne. Zestawmy wieś polską ze wsią w krajach, w których każda wieśniaczka zapisuje przez rok cały wszystkie wydatki domowe i w których wieśniak nie sprzeda korca zboża, niedowiedziawszy się z gazety, jakie są ceny w stolicy państwa, a jakie w najbliższym porcie. Policzmy oszczędności, które w ten sposób gromadzą się przez lat dziesiątki; policzmy straty, których unika jednostka, rodzina, wieś cała. Wchodząc w takie szczegóły, pojmujemy te olbrzymie rezultaty, które cywilizacya stwarza w ciągu wieków.

A obok téj oświaty ogólnéj, weźmy pod uwagę błogosławione skutki wiedzy fachowéj. Pomyślmy, jakby wyglądała wieś nasza, gdyby każdy zagon był zorany prawidłowo, gdyby każde bydlę utrzymane było schludnie, gdyby każdy sprzęt domowy wyrobiony był umiejętnie i odpowiednio do przeznaczenia. Wszak dziś, gdy wracamy z zagranicy, widok chudego bydła na pastwisku ostrzega nas od razu, żeśmy już w ziemi rodzinnéj.

Potrzeba więc światła młodemu pokoleniu, które nie zakrzepło jeszcze w starych ułomnościach i narowach. Niech dorasta zdrowo i niech po drodze życia spotyka jak najwięcéj ognisk, oświetlających mu widnokręgi.

I niech żyje ze sobą w zgodzie. Niech chłop polski nie prawuje się z sąsiadem o lada drobnostkę, a inteligencya polska niech zrozumie nareszcie, że na tym świecie musi znaleźć się miejsce dla ludzi wyznających różne przekonania. Pojmujemy, że każdy uważa swe własne poglądy za bardzo mądre, a zdanie przeciwnika za głupie; tak było zawsze. Ale zrozumiejmyż raz przecie, że słońce przyświeca nietylko filozofom i mężom stanu, lecz i prostaczkom, którzy się ich teoryami nigdy nie przejmą.

A do zdrowia potrzeba nam spokoju. Nie spokoju tych, którym obojętny jest ból, obojętna niedola bliźnich, ani spokoju tych, którzy, widząc, że nie wyplenią złego, złożyli broń i pogrążyli się w rozpaczliwéj zadumie, ale spokoju tych, którzy stając do walki, gdy trzeba, mogą potém otrzeć czoło ze znoju i spocząć pod strzechą rodzinną z czystém sumieniem, z przeświadczeniem, że się zasłużyli współbraciom, z wiarą, że ta służba policzona im będzie.

Spokoju ducha potrzeba nam, jak wędrownéj karawanie potrzeba oazy z źródłem, cieniem i murawą. Ten błogi stan wydaje nam się skarbem, do którego bronią nam dostępu wszystkie potwory fantastycznych podań i baśni. Pokolenia, które skarb ten zdobywać sobie umiały, uchodzą w oczach naszych za szczęśliwe. Patrząc na portrety starych wiarusów, zazdrościmy im nietyle ich sławy, nietyle może nawet szczęśliwych chwil w miesiącach młodości, ile téj czerstwéj jasnéj pogody, jakiéj nie zamąciły im burze, których nie przetrzymałyby nasze nerwy, nasza wola, nasza odporność. Jesteśmy niespokojni, pełni lęku, podejrzliwości i zniechęcenia.

Ludzkość nie od dnia dzisiejszego jest chora. Romantycy nie byli zdrowi, ale cierpienie ich było inne. Było ono sympatyczne, jak bywają sympatyczne kalectwa. Romantyzm narażał na wiele bólów urojonych, ale słodził je urojonemi rozkoszami. Konrad mickiewiczowski cierpiał — zapewne — ale za to czuł się dumnym i wielkim, a w wyobraźni swéj deptał mędrców i proroków; Manfred patrzył na świat z niedostępnych szczytów; Fantazy szczycił się tém, że doznaje wrażeń, nieznanych tłumowi. Umieli się pieścić i cieszyć swą boleścią, jak dziecko chwali się, gdy po raz pierwszy z rozkazu lekarza zostaje w łóżku, zamiast iść do szkoły. Inna jest choroba pokolenia dzisiejszego. Pokolenie, dotknięte tą newrozą, brzydzi się nią, jak cuchnącym wrzodem. Z każdéj książki, malującéj cierpienia dusz współczesnych, wygląda ku nam owo uczucie wstrętu. Ludzkość lęka się własnego lęku, gardzi własnemi pragnieniami, nudzą ją własne wyznania, a gniewa ją świadomość, że nawet powodzenie nie sprawia jéj uciechy.

Czyż wobec tego można nie zazdrościć pokoleniom, które nie zaznały téj dolegliwości moralnéj? W szpitalach zauważono, że chorzy zazdroszczą towarzyszom niedoli, cierpiącym na inną chorobę. Suchotnik wyobraża sobie, że chorzy na tyfus powinni być wdzięczni losowi; dotknięci rakiem zazdroszczą suchotnikom. Cóż dziwnego, że nam wszystkie newrozy przeszłych pokoleń wydają się milszemi od naszéj.

Ta, która nam dokucza, jest wytworem naszych warunków bytu. Tamci walczyli, by po walce odpocząć. My czujemy dziś, że walka toczy się nieustannie i bez końca. Wiedzie ją jednostka z jednostką, warstwa z warstwą, rodzina z rodziną, lud z ludem. Nie kończy się ona i nie przerywa. Każde pomnożenie pracy jest w téj walce posunięciem się wgłąb obozu przeciwnika; każda przepróżnowana godzina jest cofnięciem się wstecz. Każdy ogląda się co chwila, niepewny, czy fala nie odrzuciła go daleko po za stano-

wisko, które zajmował dziś rano. Gdzie będziemy jutro? Gdzie schronimy głowę i co włożymy do ust? A gdy dzień jutrzejszy przeminie, czy pojutrze nic się groźnego nie zjawi? Te pytania snują się dziś przez życie jednostki, splatając młodość z wiekiem dojrzałym, wiek dojrzały ze starością.

To szalone współzawodnictwo jest nieodłącznèm znamieniem naszéj epoki demokratycznéj i dorobkiewiczowskiéj zarazem. Zniknęły szufladki, w których w wiekach przeszłych gnieździły się warstwy społeczne.

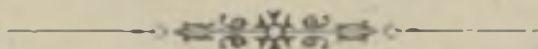
Nikt nie czuje nad sobą przegródki, nie dozwalającéj mu przenieść się do wyższego przedziału. Kto się nie pnie, niech nie wyobraża sobie, że zostanie tam, gdzie jest. Z zajętéj siedziby wyprą go ci, których dzisiaj ma pod sobą. Kogo nie nęka myśl, w jakiby sposób wynieść się wyżéj, temu niebawem dokuczać zacznie troska, w jaki sposób ustrzedz się zepchnięcia w przepaść.

Jeżeli czasem w wędrówce po świecie ujrzymy zakątek, którego mieszkańcy nie noszą na czole gorączkowego piętna, wyciśniętego przez myśl o jutrze, jeżeli patrzą z pod swéj strzechy na przechodnia wzrokiem pogodnym, niezamąconym troską, jeżeli słyszymy, że ich nie trapi żądza zmian, i że do szczęścia wystarcza im pewność, iż najbliższa chwila pozostawi im to, co mają dzisiaj, — to doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy wstępowali w mury przedpotopowego miasta, odgrzebanego z popiołów. Żegnając taki zakątek, uczuwamy w sercu żal, że są jeszcze na świecie plemiona zdrowe, spokojne, silne na duchu i że my nie jesteśmy takimi.

Czy w téj walce, w téj gonitwie, w tém wspinaniu i spychaniu się nieustannèm wolno nam stać na uboczu i z obojętnością sybaryty przypatrywać się zapasom gladyatorów?

Wytężać wszystkie siły, by polepszyć byt materyalny i moralny kraju, a zachowaćzimną krew i spokój ducha, jeżeli robota idzie opornie, zdawać sobie sprawę z ogromu zadań, które nas czekają, a nie pomiatać tém, co już nam przypadło w udziale, — pamiętać, że bez znoju nie posuniemy się ani o krok naprzód, a nie rościć sobie prawa do nadzwyczajnéj zapłaty za każdy wysiłek: byłby to zaiste idealny stan pogody ducha. Dany on nam nie będzie. Starajmy się przynajmniéj zbliżyć do niego.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

NOWE KSIĄŻKI

NADESŁANE DO REDAKCYI „ATENEUM".

1. **Rozprawy** Akademii Umiejętności. Wydział matematyczno-przyrodniczy. Serya II, tom XIV, z 10-ciu tablicami. Krak. nakł. Akademii, 1899, str. 492.
2. **Nasze kółka rolnicze**. Rzut oka na stan obecny, zadania i potrzeby kółek rolniczych w Galicyi. Napisał *Tadeusz Kudelka*. Krak. 1899, 8-o, str. 34.
3. Dr. *Anna Wyczołkowska*. **Szkice psychologiczne**. Krak. nakł. W. L. Anczyca i Sp. 1899. 8-o, str. 159.
4. *Kazimierz Sterling*. **Abbadonach**. Poemat w 4-ch pieśniach. Warszawa 1899, 8-o, str. 58.
5. *Edward Słoński*. **Poezye**. I. Warszawa w księg. Gebethnera i Wolffa, 1899, 8-o, str. 155.
6. *Włodzimierz Spasowicz*. **Pisma**. Tom VII. Petersb. księg. K. Grendyszyńskiego, 1899, 8-o, str. 444.
7. **Sprawozdanie** komisyi fizyograficznej. Tom 33. Krak. nakł. Akad. Umiej, 1898, 4-o, str. XVII+200+211+45.
8. Z dziedziny estetyki. **Co jest logiką w Architekturze?** Skreślił *Antoni Jasieńczyk-Jabłoński*. Warsz. 1899, 8-o, str. 48.
9. *Dr. J. de Fontenelle*. **Les microbes et la mort** (Les livres d'or de la Science, Nr. 10). Paris, librairie C. Reinwald, Schleicher frères, éditeurs. 1899, 8-o, str. 179.
10. *Stanisław Zdziarski*. **Pierwiastek ludowy** w poezyi Adama Mickiewicza, Lwów, nakł. Towarzystwa ludoznawczego, 1898, 8-o, str. 119.
11. **O łąkach** i jak się z niemi obchodzić, aby mieć korzyści największe. Dla rolników napisał *Maryan Prawdzic*. Warsz. Księgarnia Krajowa K. Prószyńskiego, 1899, 8-o, str. 104.
12. **Jak należy uprawiać kartofle?** dla użytku gospodarzy rolnych napisał *Tymoteusz Łuniewski*. Warsz. nakł. zapisu Wład. Pepłowskiego w zawiadywaniu Kasy im. Józ. Mianowskiego, 1899, 8-o, str. 57 (cena kop. 10).
13. *Władysław Abraham*. **O materyałach do dziejów polskich** w wiekach średnich (z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich). Krak. nakł. Akademii um. 1899, wielkie 8-o, str. 232.
14. **Poviest** Jevreiskoga, Julijeva i Grgureva Koledara: obzirom na Svetkovanje Vazmenog Blagdana Sastavio *Otac Vicko Tomašić* Reda S. Frane. Zadar, brzotiskom „Katoličke hrvatske tiskarne", 1898, 8-o, str. 238 i XXXVI.
15. **Bulletin international** de l'Academie des sciences de Cracovie. Decembre 1898 i Fevrier 1899.
16. **Sprawozdanie** z działalności Towarzystwa Kolonii Letnich w m. Warszawie za rok 1898, str. 89.
17. *S. Orgelbranda* **Encyklopedya Powszechna** z ilustracyami i mapami. Zeszyty 69—73. Warsz. wyd. Towarzystwa S. Orgelbranda Synow.
18. *Stanisław Paciorkowski*. **Miejscowe górnictwo** i prawo górnicze. Piotrków, nakł. Redakcyi „Tygodnia"., 1898, str. 47.
19. *Bogusław Adamowicz*. **Poezye**. Serya I. Warsz. w księg. Stanisława Sadowskiego, 1899, 8-o str. 56.
20. *Zofia Kęczkowska*. **Na strunach duszy**. Poezye treści religijnej. Warsz. skład w księg. Machwitza, 1899, 8-o, str. 40.
21. *Juliusz hr. Ostrowski*. **Księga herbowa** rodów polskich. Zeszyty IV i V. Warsz. skład gł. w księgarni antykw. B. Bolcewicza, 1898, wielkie 4-o, rysunki 511—941, tekstu str. 57—96.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.